

KAMIL CYWKA

BEKART

UCZESTNIK KONKURSU
LITERACKI DEBIUT ROKU 2014



NOVAE RES

KAMIL CYWKA

BEKART



NOVAE RES

Ta historia wydarzyła się naprawdę.

Spis treści

[listopad 2006](#)

[czerwiec 1994](#)

[maj 1995](#)

[marzec 1997](#)

[czerwiec 1999](#)

[styczeń 2000](#)

[lipiec 2000](#)

[sierpień 2001](#)

[sierpień 2001](#)

[wrzesień 2001](#)

[czerwiec 2002](#)

[lipiec 2002](#)

[lipiec 2002](#)

[październik 2002](#)

[styczeń 2003](#)

[marzec 2005](#)

[kwiecień 2005](#)

[kwiecień 2005](#)

[maj 2005](#)

[maj 2005](#)

[listopad 2006](#)

listopad 2006

Dwaj policjanci, którzy przybyli na miejsce zdarzenia - osiedlowy skwer u zbiegu ulic Krańcowej, Drogi Męczenników Majdanka i Łabędziej - czekali na przyjazd lekarza mającego stwierdzić zgon czterdziestokilkuletniego mężczyzny, leżącego przy jednej z ławek w błocie i własnych wymiocinach. Wokół ławki walały się butelki po alkoholu niewiadomego pochodzenia. Rozejrzawszy się pobieżnie, policjanci uznali sprawę za na tyle oczywistą, że spokojnie odpalili papierosy i zaczęli ze sobą rozmawiać. Dość intensywnie przy tym gestykulowali, co sprawiało, że dym z papierosów wił się wokół nich jak satynowa wstążka wokół ciała zawodniczek gimnastyki artystycznej. Kilkanaście metrów dalej zebrała się niewielka grupka gapiów, głównie spacerowicze z psami i nastolatki z pobliskich wieżowców. Ludzie ci podchodzili coraz bliżej ciała denata, by w końcu stłoczyć się wokół niego w odległości kilku kroków, tworząc półkole. Część przyglądała się w milczeniu, podczas gdy pozostali szeptali sobie coś na ucho. Gdyby nie ich codzienny, zwyczajny ubiór, wyglądałoby jak studenci obserwujący operację i wymieniający między sobą cenne

spozstrzeżenia. Przyjrząwszy się dokładniej, kilka osób rozpoznało w mężczyźnie miejscowego menela. Informacja ta błyskawicznie obiegła utworzone półkole, wywołując wzmożony szmer. Nikt nie podchodził już bliżej w obawie przed reakcją policjantów, którzy, choć odwróceniem do nich bokiem, cały czas mieli zbiorowisko w zasięgu wzroku i patrzyli nań ostrzegawczo. Jeden z nich – wyraźnie starszy od drugiego, przysadzisty, poważnie wyglądający funkcjonariusz – trzymając w ręku dowód zmarłego, recytował młodszemu partnerowi jego dane.

- No dobra, co my tu mamy? – odsunął dowód od siebie; ewidentnie był dalekowidzem. – Zbigniew Stawicki, urodzony w Lublinie, lat czterdzieści sześć, sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, zamieszkały na Krańcowej sto dziewięć.

Jego głos był suchy, beznamiętny, zupełnie jakby wpisywał te informacje do jakiegoś rejestru, myśląc jednocześnie o czymś innym, przyjemniejszym.

- Na Krańcowej sto dziewięć, mówisz? – dopytał młodszy.

- Tak, a co?

- Nic, mam tam znajomego.

- Tak? No popatrz, a więc jesteś w kręgu podejrzanych – żartował tamten, stanowczym gestem nakazując grupce gapiów, by się odsunęła.

Grupka zrobiła kilka kroków w tył. Większość patrzyła teraz na policjantów i tylko nieliczni wciąż nie mogli oderwać wzroku od zwłok.

- Jestem gotów dobrowolnie poddać się karze, wysoki

sądzie. To ja poczęstowałem tego człowieka alkoholem. Proszę jednak o łagodny wymiar kary, albowiem Jurij z targu, znany i szanowany w tej okolicy sprzedawca, zapewniał mnie, że do tej pory nikt z jego klientów na ten konkretny produkt się nie skarżył. Pragnę zaznaczyć, że w tej sytuacji również i ja czuję się poszkodowany.

Obaj wybuchli gromkim śmiechem. Grupka gapiów przyglądała się im z uwagą, szukając w minach współobserwatorów wytłumaczenia takiego zachowania.

- A to dobre! Rozwaliłeś mnie! - zanosił się od śmiechu starszy policjant. - Ale uważaj! - dodał po chwili.

- Na co?

- No wiesz, dzisiaj nagrywanie w modzie, skąd wiesz, że cię nie nagrywam?!

- No...

Młodszy jakby zawahał się, przez chwilę zastanawiając się, czy aby nie posunął tego żartu zbyt daleko. Ta dwójka musiała pracować ze sobą od niedawna, bo doświadczeni partnerzy, którzy spędzają ze sobą więcej czasu niż z własnymi rodzinami, znają nawzajem swoje poczucie humoru na wylot, podobnie jak wszelkie grzeszki i tajemnice.

- Żartuję, wyluzuj - zapewnił starszy, poszturchując zdezorientowanego partnera.

Po tych słowach raz jeszcze obejrzał dowód z dwóch stron, po czym schował go do kieszeni i głęboko zaciągnął się papierosem. Delektował się dymem, długo nie wypuszczając go z ust.

- Mówisz, że ile miał, czterdzieści sześć? - przerwał mu

tę przyjemność młodszy, patrząc na denata.

- Bez miesiąca.

- Kurde, młody facet, nie?

- Fakt.

- Pewnie zapił się chłopina na śmierć...

- Pewnie tak. Niestety, tak to już jest, jak się tego nie kontroluje - stwierdził starszy. Wraz ze słowami z jego ust wydobywał się dym, dzielony przez intonację na małe kłębki i uwalniany w różnych odstępach czasu. Facet przypominał teraz starego Indianina pykającego fajkę.

- W sumie masz rację - zgodził się młodszy - ale i tak szkoda gościa. Menel, nie menel, ale jak by nie patrzeć, wciąż człowiek. Pewnie dzieci zostawił.

- Pewnie tak - pokiwał głową starszy. - Ale jak dla mnie, to sam jest sobie winien. Rodzina, dzieci i o, tak zdychać na skwerze? Jak pies? Powiedz, do czego to podobne?

- Najgorsze, że to już drugi w tym miesiącu.

Starszy popatrzył na niego z reprimendą w oczach, tak jak doświadczeni, zahartowani w swoim fachu funkcjonariusze patrzą na żóltodziobów aspirujących do pracy w policji.

- Nie licz takich rzeczy - ostrzegł.

- Nie liczę, tak mi się jakoś skojarzyło.

- To nie kojarz, bo pierdolca dostaniesz. Znam takich paru. Przejmowali się tym całym gównem, a potem nawet psycholog nie był im w stanie pomóc. Spaczona psychika do końca życia. Po co ci to?

- Wiem - bronił się młodszy, choć nie potrafił

zakamuflować tego, że był dość przejęty całą sytuacją, która zakrawała już niemal na serię zgonów.

- Ale powiem ci coś - zagadnął starszy.

- Co?

- W sumie to masz rację.

- Z czym?

- Że jakoś dużo tego ostatnio. Tamten poprzedni też był na Bronowicach, nie?

- No - zamyślił się na chwilę młodszy. - Pewnie dlatego tak mi się skojarzyło.

Starszy wypuścił dym z papierosa i spojrzał na zegarek.

- Powiem ci szczerze, że już mam chwilami dosyć tej dzielnicy - stwierdził. - W kółko to samo, jak nie awantury, to menele, jak nie menele, to złodzieje. Przejdź się po osiedlu, a paragraf sam się znajdzie.

- Fakt.

- Ostatnio nawet opierdolili Bank Żywności, dasz wiarę?

- No coś ty?

- Naprawdę. Mówię ci, tutaj nie ma niewinnych. Każdy ma coś na sumieniu. Jak by można było zamykać za twarz, to tu w tych blokach - powodził palcem dookoła siebie - byłyby same pustostany.

Młodszy uśmiechnął się gorzko.

- Jak słyszę z dyspozytorni jaki rewir - ciągnął tamten - to odehciewa mi się jechać!

- O tyle dobrze, że przynajmniej nie wzywają po głowy - pocieszał się młodszy. - Byłby tu wtedy o wiele większy bajzel.

- To jeszcze mało wiesz.

- Jak to?

- Normalnie - starszy ostatni raz zaciągnął się papierosem, po czym przygasił go nogą na ziemi. - Pierwszy z brzegu przykład. Kojarzysz Hotel Polonia? Ten przy skrzyżowaniu Krańcowej z Pogodną?

- No, kojarzę.

- No więc, jakiś czas temu zadźgali tam kobietę w windzie. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Wszędzie krew, po prostu masakra. Zabezpieczaliśmy teren, a ona leżała tak w tej windzie wypatroszona, poharatana. Bebechy jej wyszły na wierzch niemalże. Kumple odwracali głowy, krzywili się. Okropny to był widok, mówię ci. Nigdy bym nie przypuszczał, że można tak zmasakrować człowieka. Z karpim na święta bym tak nie postąpił, jak Boga kocham.

- Znaleźliście sprawcę?

- Nie, ale podejrzewam, że to któryś z tych Rumunów, co tam mieszkali.

- Pewnie tak.

- Poza tym było jeszcze parę przypadków, ale co ci będę opowiadał - machnął ręką, po czym sięgnął do kieszeni po kolejnego papierosa.

Dochodziła dziewiętnasta. Był zimny, listopadowy wieczór. Temperatura zdawała się spadać w tempie wędrującej po tarczy dłuższej wskazówki zegarka, na który co chwila spoglądał starszy z policjantów. Wiatr kołysał nagie żywopłoty, a opadłe z drzew pożółkłe liście mieszały się z błotem i przyklejały do chodników oraz podeszew

butów. Wąskimi alejkami skweru pośpiesznie przemykali przechodnie – część w jesiennych kurtkach, ale większość już w zimowych, dodatkowo opatulona szalikami. Jakiś menel wychodził ze śmietnika, ciągnąc za sobą wózek z makulaturą. W oddali trolejbusy ślimaczyły się Drogą Męczenników Majdanka. Kilkadziesiąt lat temu ludzie szli tamtędy na pewną śmierć; dziś była to ulica jak każda inna, łącząca Bronowice z Kośminkiem z jednej, a Felinem z drugiej strony.

- Podejrzewam, że z tym Stawickim to było tak, że kupili od ruskich jakieś gówno i zaczęli to pić – stwierdził starszy, zmieniawszy temat. - Pewnie ten Stawicki coś postawił, a wtedy, wiadomo, wielcy koledzy. Jak alkohol się skończył, to go tu zostawili. Pomyśleli pewnie, że za bardzo się najebał i jak przetrzeźwieje albo mu się zimno zrobi, to wstanie i pójdzie do domu.

- A może kupili nie od ruskich, tylko u Siatkarza, tego, co ma metę na Krańcowej?

- Nie, u Siatkarza to na pewno nie. Od tego by się nie przekreślił – starszy zdecydowanie wykluczył tę opcję. - Siatkarz ma dobry alkohol, sam u niego kupuję czasami – przyznał.

- No to trzeba to będzie ustalić.

- Ustalić, ustalić – ganił żółtodzioba doświadczony partner. - Co ty chcesz ustalać? Myślisz, że ktokolwiek ci tu coś powie? Idź poczytaj na klatkach, jak nas tu kochają!

- Ale... – młodszy próbował dojść do słowa.

- Nie ale, tylko sprawa jest zamknięta. Dajemy sobie

spokój. Facet zapił się na śmierć, tyle w tym temacie. Nikt mu do gardła nie wlewał, wierz mi – odpalił w tym momencie papierosa, którego trzymał w ręku już dłuższą chwilę. – No i gdzie ten konował? Ile jeszcze będziemy tu, kurwa, marzli?

Młodszy nie zareagował. Bał się kwestionować decyzje starszego stażem kolegi. Patrzył w zamyśleniu na coraz liczniejszą grupkę gapiów.

- Tak w ogóle, to ci powiem – ciągnął tamten – że to wszystko przez brak roboty. Ludzie są zwyczajnie zdesperowani. Nawet jak pracują, to za marne grosze. Przecież nie pójdziesz zbierać złomu, jak masz dwójkę, czy tam ile, dzieci na utrzymaniu. Nie ma w tym mieście normalnej roboty. Jak nie masz znajomości, to możesz co najwyżej zamiatać ulice, a i to też pewnie z angielskim. Owszem, są miejsca, gdzie praca jest w miarę pewna, no, dajmy na to w takim MPWiK-u, gazowni, Lubzelu czy nawet w tym jebanym ZUS-ie, ale tam to kolesiostwo jest. A nie, przepraszam – poprawił się – mają na to teraz ładniejsze słowo: nepotyzm. W każdym razie, nikt cię tam nie przyjmie ot tak. A wiadomo, jak nie ma roboty, to jest bieda i kryminał. Zobacz, co się stało, jak Daewoo padło. Tatary to teraz getto bezrobotnych, meneli i bandytów. Widziałeś, jaki tam napis mają na któryś z bloków?

- Jaki? – odpowiedział mechanicznie młodszy, wyrwany z zamyślenia.

- *Witajcie w krainie, gdzie obcy ginie.*

- Ja pierdolę, no to nieźle.

- No, to samo pomyślałem, jak to pierwszy raz

zobaczyłem. Ale wracając do tego nieszczęsnego Daewoo, to, jak by nie patrzeć, z Bronowic też sporo osób tam pracowało.

- Fakt.

- Albo taka Odlewnia. W sumie żarło to tyle prądu, że niemalże na cały Lublin by starczyło, no i pewnie przez to w pewnym momencie przestało się opłacać, no ale tylu ludzi poszło na bruk i nikt tym specjalnie się nie przejął.

- Pamiętam.

- Syn kolegi pracował tam przy rozbiórce. Mówił, że tyle złomu to nigdy na oczy nie widział. Tylko czekać, jak się za Cukrownię wezmą. Dobrze, że chociaż tych studentów mamy. Jacy by nie byli, ale przynajmniej jakieś pieniądze tu zostawiają, bo bez tego to sam już nie wiem, co by było.

- Trzeba by było stąd spierdalać.

- Tylko gdzie?

- No, nie wiem, gdziekolwiek...

- Ale gdzie? Do Puław? Do Łęcznej? Młody to pojedzie za granicę albo do stolicy, ale ci, co mają swoje lata i rodziny na utrzymaniu, to już nie bardzo.

- No ale może jeszcze ten Lublin rozwinie się? Przecież nie jest powiedziane, że tak będzie już zawsze.

- Chuja się tam rozwinie. Ja ci powiem, jak się rozwinie. Niedługo to miasto stanie się miastem supermarketów, a jedyną pamiątką dla turystów będzie, kurwa, zdjęcie pod Biedronką, o!

- Nie przesadzaj - oponował młodszy. - Przecież inne rzeczy też stawiają, nie tylko markety. Lotnisko jest w planach, lada moment Plazę otworzą.

- No i co ci z tej Plazy? Jak myślisz, ile ludzie tam będą zarabiać? Tysiąc? Tysiąc dwieście? A taki Włoch czy Francuz będzie się cieszyć, że Polaczki kupują w jego sklepach. A myślisz, że gdzie ten pieniądz idzie? Za granicę! Nasz pieniądz, kurwa mać! - uniósł się starszy.

- No dobra, ale za to są miejsca pracy, nie?

- Miejsca pracy? Mówisz o kasjerkach w pampersach czy o ochroniarzach, kurwa, z drugim stopniem niepełnosprawności? - ironizował. - Temu miastu jest potrzebny biznes, zakłady produkcyjne, centrale firm, a nie jakieś tam jebane galerie handlowe! Galerie są dla miast nowoczesnych, a nie zaściankowych, a takim niestety jest Lublin. Gdzie mamy zarobić pieniądze, żeby kupować w tych wszystkich Plazach i Olimpach, co?

- W sumie racja - przyznał młodszy z rezygnacją, widać nie chciał się kłócić.

- Gdzie możliwość zarobienia więcej niż tysiąc złotych? Człowiek pracuje, a i tak ledwo wiąże koniec z końcem. To jest właśnie współczesna bieda. Jest na to teraz takie określenie - starszy sypał zasłyszany gdzieś terminami jak z rękawa - to się nazywa, czekaj, chyba „pracujący biedni” czy jakoś tak. Podobno zrobiło się z tego zjawisko społeczne, w telewizji o tym mówią.

- A wiesz, że chyba gdzieś słyszałem? To z angielskiego, nie?

- Nie wiem, chyba tak.

- Właśnie tak mi się zdawało.

- Zwał jak zwał, w każdym razie ja czuję, że ludzie już

niedługo wyjdą na ulice i upomną się o tę średnią krajową, co ją tak w gazetach wychwalają. Zobaczysz, już niedługo.

Mateusz Stawicki zbiegał po schodach, zapinając kurtkę. Drżącymi palcami próbował chwycić rozkołysany, uciekający mu suwak. Ścigał się z echem, które rozniosło się po klatce po tym, jak trzasnął drzwiami od mieszkania. Chwilę wcześniej zadzwonił któryś z jego kumpli, w szoku nie zdołał zapamiętać który, i powiedział, że jego stary leży na skwerze i chyba nie żyje. Zbiegając, słyszał ciocię Alicję wołającą, by poczekał. Cały czas miał też przed oczami widok płaczącej matki, którą rzadko kiedy widywał we łzach, oraz młodszego brata, który zamknął się w swoim pokoju i założył słuchawki na uszy. Zbiegał po ciemku. Znał schody na pamięć. Pokonywał je po dwa naraz. Głos cioci Alicji gonił za nim zawzięcie. Przytrzymał go za kurtkę, lecz ten wyrwał mu się, aż zbiegli razem na parter i rozpędzeni doskoczyli do drzwi wejściowych, otwierając je z impetem.

Na zewnątrz głos rozpląnął się nagle w listopadowym powietrzu. Mateusz spojrzął przez ramię. Samozamykacz cierpliwie przyciągał drzwi do siebie, pozwalając wiatrowi zakradać się niepostrzeżenie przez utworzoną szczelinę. Było zimno. Schował ręce do kieszeni i ruszył szybkim krokiem w kierunku górujących nad okolicą wieżowców na ulicy Łabędziej. Wychudzone jesienną słotą żywopłoty przyprawiały go o mdłości. Zakręciło mu się w głowie, a jego oczy nagle się zaszklily. Łzy zbierały mu się pod powiekami

jak wezbrana woda. Nie pozwalał im jednak spływać po policzkach. Czego jak czego, ale płaczu zawsze się wystrzegał. Nie w jego przypadku, nie na tym osiedlu. Co chwila przyspieszał kroku. Najpierw przeszedł wzdłuż swojego bloku, potem minął garaże, a następnie wszedł między wieżowce. Po swojej prawej miał teraz Bank Żywności, po lewej dawny supersam, zamieniony na ośrodek dla katolickiej młodzieży, a z przodu osiedlowy skwer, na którym leżał jego prawdopodobnie już martwy ojciec. Z każdym kolejnym krokiem odczuwał coraz większy niepokój. Szybko zbliżał się do trawników i alejek skweru. Z tej odległości widział już jakichś ludzi. Będąc naprawdę blisko, nagle zawahał się. Zwolnił nieco. Chciał nawet zawrócić, ale niepohamowana potrzeba zobaczenia ojca po raz ostatni, niezależnie w jakim stanie, prowadziła go bezwiednie w jednym tylko kierunku.

Gdy doszedł do skweru, zatrzymał się. Stał pod jakimś drzewem w ciemnym, niedostępnym dla światła latarni miejscu. Założył kaptur na głowę. Nie miał odwagi podejść bliżej. Patrzył, jak ratownicy medyczni wnoszą do karetki przykryte płachtą ciało jego ojca. Wszystkiego pilnowali jacyś policjanci, którzy odsuwali gapiów, by zrobić ratownikom trochę miejsca. Wyglądali na mocno zniecierpliwionych - niczym robotnicy w fabryce wyczekujący momentu, kiedy będą mogli podbić swoje karty i zejść ze zmiany. Zdążył tak naprawdę na samą końcówkę. Po chwili drzwi karetki zamknęły się, a za nimi zniknęli ratownicy z ciałem ojca. Policjanci wymienili skinienia głowy

i wsiedli do radiowozu. Oba pojazdy w krótkich odstępach czasu opuściły skwer. Zbiorowisko z wolna zaczęło się rozchodzić. Jakaś nastolatka pokazywała coś koleżance na komórce. Łysiejący pan w długim, szarym płaszczu głaskał psa. Menel z wózkiem uginającym się od makulatury szedł w swoją stronę, mieląc w gębie kawałek bułki. W okolicznych blokach ludzie opuszczali żaluzje w oknach. Normalność, cokolwiek by ona na Bronowicach nie znaczyła, szybko powróciła na osiedle po tym niecodziennym przerywniku.

Wkrótce na skwerze nie było już nikogo. Mateusz popatrzył nieobecny wzrokiem daleko przed siebie: na sunące po trakcjach pałaki trolejbusów, na światła uliczne, na dachy budynków. Zrobiło się bodaj jeszcze chłodniej. Miał pustkę w głowie. Bał się, że już na zawsze zostanie uwięziony w tej scenie, w której to jeden Mateusz jechał z ojcem tamtą karetką, a drugi zostawał na skwerze; stojący pod drzewem, wystraszony, dwudziestoparoletni chłopak nie wiedział, którym z nich jest ani, co gorsza, którym chciałby być.

Więcej na: www.ebook4all.pl

czerwiec 1994

Świeżo pomalowana na zielono ławka wciąż pachniała farbą. Mimo że została pokryta emulsją olejną, a takie zwykle kojarzą się z ciężką, zamulającą wonią, unoszący się dookoła niej zapach nie był drażniący. Ławka ta stała w na wpół zacienionym miejscu w obrębie osiedlowego placu zabaw na ulicy Krańcowej 109 i z założenia przeznaczona była dla rodziców, którzy chcieli mieć swoje bawiące się na nim pociechy w zasięgu wzroku. Plac ten, jeden z trzech sąsiadujących ze sobą, miał standardowe wyposażenie: drabinki, karuzelę oraz piaskownicę. Huśtawkę dawno już wyrwała miejscowa chuliganeria, podobnie zresztą jak na pozostałych dwóch placach. Swego czasu stał tu nawet wbudowany w beton kosz, ale pewnej nocy ktoś po pijaku zawiesił się na obręczy i wyrwał ją z tablicy.

W piaskownicy bawiła się grupka dzieci z jednego z okolicznych bloków. Sypały się piachem, który tańczył w powietrzu, by następnie lądować we włosach, oczach, za koszulkami, a nawet w spodenkach. Na murku otaczającym piaskownicę stały całkiem pokaźnych rozmiarów, starannie

ulepione babki. Nagle jedno z dzieci, najwyraźniej z nadmiarem piachu w oczach, porzuciło zabawę i pobiegło z płaczem do swoich rodziców. Pozostałe nie przejęły się zbyt utratą rąk do pracy i chwilę po tym, jak płaczek je opuścił, zostawiły babki i zabrały się za realizację nowego projektu - autostrady dla resoraków.

Wszystkiemu przyglądał się z ławki przystojny, postawny mężczyzna, z wyglądu trzydziestokilkuletni. Klasyczny brunet. W jego ładnych, ciemnych oczach trudno było doszukać się wielkiej inteligencji albo jakiejś szczególnej emocjonalnej głębi, jednakże spojrzenie Zbyszka Stawickiego było badawcze i z pewnością nie bezrefleksyjne. Na jego gładkiej, dokładnie ogolonej twarzy rysowało się zadowolenie. Popijał swoją ulubioną perłę, ciesząc się dniem wolnym od pracy. Przy każdej okazji posyłał swemu bawiącemu się w piaskownicy synkowi promienny uśmiech. Nieco spienione, ciepłe piwo (w sklepie akurat zabrakło z lodówki) miało, mimo wszystko, całkiem przyjemny smak. Zresztą, wszystko smakuje lepiej, o ile nie trzeba się z tym spieszyć. Ekspedientki z pobliskiego warzywniaka, w którym to Zbyszek najczęściej kupował alkohol, znały jego zamiłowanie do „Perełki”. Na ogół wystarczyło, gdy powiedział „dwa piwa”, zamiast „dwie perły”. Robiąc zakupy, zawsze zamieniał z nimi kilka serdecznych słów.

Zbyszek był inkasentem. Chodził z bloku do bloku i z klatki do klatki, wręczając ludziom rachunki za prąd. Było to dość żmudne, monotonne zajęcie, a przy tym wymagające dobrej kondycji fizycznej. Nie w każdym bloku były bowiem

windy, co zmuszało Zbyszka do wchodzenia po schodach. Jego praca wiązała się również z tym, że nosił przy sobie spore ilości gotówki, bywał w niebezpiecznych miejscach, a niekiedy nawet wysłuchiwał gróźb sfrustrowanych lokatorów na widok kwoty do zapłaty. Czasem ktoś, umyślnie lub nie, zapominał zamknąć psa w pokoju (Zbyszek nosił ze sobą odstraszacz na ultradźwięki, gaz oraz zamykaną na szyfr walizkę). Innym razem ktoś zagroził skargą na rzekomo zawyżony rachunek. Bywało, że błagano go o przymknięcie oka na lekko podrasowany licznik. Mimo to większość ludzi była uprzejma, choć ci biedniejsi na jego widok reagowali przygnębieniem, a najchętniej zapomnieliby, że w ogóle korzystają z energii elektrycznej.

Zaciągnął się łapczywie papierosem, po czym dał znak synkowi, by ten pozbierał zabawki i pożegnał kolegów. Zostawił sobie jeszcze kilka chwil na dopalenie czwartego tego dnia papierosa. Palił nałogowo. Nie sprawiało mu to już przyjemności, ale nie potrafił rzucić. Często powtarzał, że w rzucaniu palenia najgorsze jest to, że nie można palić. Dym na dobre zadomowił się w jego płucach. Były dni, gdy rozluźniał je, ale były też i takie, gdy je ścisnął i podduszała jak agresywny kochanek. Od pewnego czasu Zbyszek był pogodzony z tym, że już zawsze będzie palić. Dlatego nie kłócił się z papierosem, nie przeklinał go, nie gardził nim ani tym bardziej sobą, tak jak robili to ci, którzy chcieli rzucić, a nie mogli.

Jego syn wyraźnie ociągał się z wyjściem z piaskownicy, dlatego, zgasiwszy papierosa, Zbyszek zawołał go.

- No już, Marcin, zbieraj klamoty, mama na nas czeka!

- Już, tato, już, pozbieram tylko resoraki! - krzyczał Marcin, zachęcony rychłą perspektywą spotkania z matką, której nie miał dziś jeszcze okazji zobaczyć, bo pojechała wcześniej rano załatwiać jakieś sprawy na mieście.

- Idziemy, synku, powiedz cześć chłopakom!

- Cześć! Jutro dokończymy, dobra? - rzucił w stronę kolegów i wybiegł z piaskownicy z resorakami w rękach.

Czerwcowe słońce powoli nabierało animuszu i coraz śmieiej pieściło twarze, ramiona oraz inne odsłonięte części ciała przechodniów. Upał dawał się wszystkim mocno we znaki. Zbyszek wraz z synem opuszczali właśnie otoczony blokami plac, gdy spostrzegli dwóch biegnących w ich stronę chłopców - na oko jakieś kilka lat starszych od Marcina. Chłopcy ci ubrani byli w stroje sportowe Ajaxu i Milanu. O ile spodenki leżały na nich całkiem dobrze, a przynajmniej nie spadały, koszulki były wyraźnie za duże jak na ich drobne ciała. Wyższemu, szczupłemu chłopcu o czarnych włosach, z nogami jak sarenka i ześlizgującymi się z nosa okularami w plastikowych oprawkach, zdawało się bardziej zależeć na dobiegnięciu do Zbyszka i Marcina. Niższy - blondynek o jaśniutkich, niebieskich oczach - utrzymywał równe tempo, ale nie był tak podekscytowany jak jego wyższy kolega. Przyduże koszulki Litmanena i Weah'a ledwie trzymały się barków rozpedzonych chłopców, a rękawy sięgały im co najmniej przedramienia. Choć od Zbyszka i Marcina dzieliła

ich jeszcze znaczna odległość, chłopiec o czarnych włosach sprawiał wrażenie, jakby już teraz chciał wykrzyknąć wszystko to, co nie pozwalało mu się zatrzymać. Im bliżej był celu, tym bardziej podkręcał tempo, zostawiając blondynka kilka metrów za plecami. Tamten, całkowicie zamyślony, biegł trochę obojętnie, a jednocześnie lekko jak w baletkach. Nie starał się zbyt forsować, wiedząc, że to, co miało niedługo nastąpić, i tak go nie ominie.

Zbyszek z Marcinem przystanęli, dając chłopcom do zrozumienia, że byli gotowi dowiedzieć się, o co chodziło. Po kilku chwilach zasapany brunecik dobiegł do nich, pochylił się i wspierając ręce na kolanach, ciężkimi haustami zaczął łąpać stojące, czerwcowe powietrze. Tymczasem blondynek w swoim zamyśleniu omal nie zderzył się z jakąś staruszką wracającą z targu z siatkami pełnymi zakupów. Końcowe kilkanaście metrów pokonał już leniwym stępem zajechanego konia.

Mały Marcin zmierzył brunecika badawczym wzrokiem. Oddech tego ostatniego z każdą sekundą stawał się coraz bardziej miarowy, a sam chłopiec nieco spokojniejszy.

- Mateusz! - krzyknął do starszego brata Marcin, mimo że ten stał tuż przy nim. - Wiesz, że mam nowe naklejki? I trafił się ten, no, dwadzieścia dwa, co go nikt nie ma z placu i trudno go trafić i już wkleiłem, ale trochę krzywo i...

- Weź, daj spokój, głupku! Nie widzisz, że chcę coś tacie powiedzieć? - tonował podniecenie Marcina starszy brat.

- Nie biegaj tak, bo się zapocisz - przerwał im ojciec. - Coś się stało?

W międzyczasie dołączył do nich blondynek. Grzecznie powiedział Zbyszkowi dzień dobry i stanął z boku, by przysłuchiwać się dyskusji. Zbyszek doskonale znał tego chłopca. Miał na imię Karol i był częstym gościem domu Stawickich oraz najlepszym kolegą Mateusza. Mieszkał kilka bloków dalej, na Sokolej. Mateusz i Karol byli ze sobą bardzo zżyci. Spędzali razem lwią część każdego dnia. Chodzili też do jednej klasy. Rodzice Karola oraz państwo Stawiccy, podobnie jak ich dzieci, przyjaźnili się i regularnie bywali u siebie nawzajem.

- Tato! - zaczął z przejęciem Mateusz. - Zabrali nam portfele i wszystkie turbówki, i pieniądze mieliśmy, i cały portfel, wszystko!

- Dobrze, ale kto i gdzie, Mateuszu?

- No bo my chcieliśmy wejść na drzewo i weszliśmy, ale położyliśmy portfele pod drzewem, a oni wtedy podeszli i nam zabrali. Śmiali się z nas, tato! No i my baliśmy się zejść, aż Karol powiedział, żeby szybko zeskoczyć i polecieć po ciebie, bo cię widział, jak siedziałeś z Marcinem na placu.

- Oni, to znaczy kto? - spytał spokojnym głosem ojciec.

- Ci faceci!

- Jacy faceci?

- No ci, spod przychodni!

- Spod przychodni?

- Tak.

- A o której to było?

- Dopiero co.

- Aha, czyli pewnie jeszcze tam są?

- Tak! Na ławce siedzą! - wtrącił się Karol, namiętnie gestykulując.

- No dobrze, zatem chodźmy. Jestem pewien, że to jakieś nieporozumienie. Panowie na pewno się pomylili.

- Nie, tato, na pewno nie. Oni się z nas śmiali!

- Pójdziemy i wszystko wyjaśnimy. Zobacysz, że mam rację.

Ruszyli w komplecie alejką w stronę przychodni. Zbyszek szedł przodem, zaś chłopcy jakieś dwa metry za nim. Dało się po nich poznać lekkie napięcie. Nieśmiały dreszczyk emocji hasał im pod skórą, przybierając na sile z każdym kolejnym krokiem zbliżającym ich do celu. Zerkali na siebie co kilka sekund, ale skrzętnie ukrywali przed pozostałymi towarzyszące im podniecenie. Zbyszek szedł spokojnie, a jego twarz nie zdradzała najmniejszych emocji. Cień, jaki rzucała jego postura na idących za nim chłopców, praktycznie ich zakrywał. Co jakiś czas spoglądał na nich na wpół odwrócony, posyłając im ciepły uśmiech. Czuli się przy nim pewnie i bezpiecznie, a jego chód budził w nich szacunek. Gdy zbliżyli się na odległość około pięćdziesięciu metrów do ławki, na której siedzieli opisani przez Mateusza mężczyźni, Zbyszek zatrzymał się i odwrócił do nich. Ci, w zgodnym marszu, omal nie wpadli na niego, a każdy z nich lekko się wzdrygnął.

- No, to wy tu sobie grzecznie postoićcie, a ja pójdę porozmawiać z tymi panami - powiedział Zbyszek do Mateusza, spoglądając jednocześnie na pozostałą dwójkę. - To na pewno jakaś pomyłka. Panowie po prostu nie wiedzieli,

że to wasze portfele. Zaraz dostaniecie turbówki z powrotem i wszyscy pójdziemy na lody, tak?

Marcin uśmiechnął się na wieść o lodach. Gdy uśmiechał się niewymuszenie, to mógł rozpromienić nawet największego pesymistę. Za to Mateusz z Karolem nie mieli przekonanych min. Spoglądali niepewnie jeden na drugiego. Jakby w reakcji na to, ojciec położył dłoń na ramieniu starszego syna, zapewniając:

- Gdyby ci panowie wiedzieli, że to wasze portfele, to na pewno by ich nie wzięli. Pomyśleli, że po prostu je znaleźli. Skąd mogli wiedzieć, że akurat jesteście na drzewie?

- Ale... - próbował tłumaczyć Mateusz.

- No już, chłopcy, nie ma co gadać. Idziemy na lody czy nie? Chyba, że nie chcecie? Zaraz będę z powrotem, nie oddalajcie się.

To powiedziawszy, poszedł w kierunku ławki umiejscowionej za wysokimi, gęstymi krzakami, tuż przy przychodni. Z oddali dochodziły przebijające się przez bujną zieleń dźwięki gitary oraz śpiew. Chłopcy bacznie odprowadzali wzrokiem Zbyszka, który posłał im z daleka jeszcze jeden uśmiech, zanim całkowicie zniknął za krzakami.

Wokół ławki przy przychodni walały się turbówki z kolekcji chłopców. Ich portfele, otwarte i opróżnione, leżały porzucone na świeżo skoszonym, pachnącym trawniku. Obok stały butelki po wiśniówkach. Tylko jedna z nich była jeszcze

pełna. Każdy z siedzących na ławce czterech mężczyzn, którzy i tak byli już mocno podpici, zerkał na nią ochotnie. Ich twarze – pomarszczone, zwiotczałe i zbordowiałe – zdawały się nie pasować do opisu żadnej z ras człowieka. Mężczyźni ci mieli na sobie schodzone, wytarte oraz kompletnie niedopasowane ubrania. Kontrastowały one z eleganckim, męskim stylem ubioru Zbyszka, który od dobrych kilkunastu sekund stał przy nich niezauważony.

Jeden z mężczyzn przygrywał pozostałym na gitarze. Wyraźnie wczuwał się w swoją rolę, usiłując wydobyć z instrumentu jak najczystsze dźwięki. Koledzy śpiewali coś do wygrywanych przez niego melodii z całkiem niezłym, zważywszy na ilość promili we krwi, wyczuciem rytmu. Trudniejsze partie słowne zastępowali dźwięcznym la, la, la, la, fa, ra, ra, ra lub czymś zbliżonym. Śpiewali donośnie, aczkolwiek nieco bełkotliwie.

– O, Zbyszek! – gitarzysta wreszcie zauważył przybysza. – No co tam? Aleś mnie wystraszył – mężczyzna rzeczywiście wyglądał na wystraszonego. – Dobry z ciebie szpieg! U esbeków mógłbyś dorabiać!

Pozostali zgodnie podnieśli wzrok. Zrobili to dokładnie w tym samym momencie, niemal jak na sygnał.

– Przysiądź się, Zbysiu! – powiedział jeden z nich. – Walnij se gorzałki, a nie się tak czaisz. Starczy dla wszystkich.

– No, dajcie mu tu flachę, bo jakiś nie w humorze dzisiaj – zaproponował gitarzysta, bez fałszu w oczach.

Jeden z mężczyzn sięgnął po butelkę, ale nie podał jej

Zbyszkowi, tylko sam pociągnął z niej dużego łyka.

- No, jak tam w robocie, powiedz? - zagadywał gitarzysta. - Pewnie za prąd nie chcą płacić, co? Ludzie tacy właśnie są, lokatorzy zasrani!

- Ty już nie bądź taki mądry! Sam nie płacisz, a pierdolisz na kogoś! - dogryzł mu inny, pół żartem, pół serio, wywołując uśmiech na twarzach pozostałych.

- Ale oni mają z czego, a ja nie - tłumaczył się gitarzysta. - Zresztą i tak nie korzystam. Światła nie palę, ewentualnie w kiblu, żeby nie oszczać sedesu, a w telewizji, to, proszę ciebie, albo nic nie ma, albo ciągle reklamy, to nie oglądam, bo po chuj oczy męczyć?

- Przecież ty już dawno telewizora nie masz! - zdemaskował go tamten.

- No właśnie, przecież o tym mówię - gubił się gitarzysta. - W każdym razie ja se dam radę bez prądu, gorzej jak gaz odetną, wtedy to już przejebane.

- No, jak ci Ruskie przykręcą kurek, to będziesz musiał jeść w Pikolo na miejscu. Skończy się branie w garmażerce, bo nie będzie jak odgrzać - zauważył inny z mężczyzn, siedzący po jego prawej.

- Przecież on i tak kartki na obiady sprzedaje, to co ma, kurwa, odgrzewać? - odezwał się ten sam mężczyzna, który dogryzł gitarzyście wcześniej; wyglądało na to, że mieli ze sobą na pieńku.

- Ja se dam radę! Ja se dam radę nawet bez kartek, niech cię głowa o to nie boli - zapewniał gitarzysta. - A ty, Zbysiu? - spojrzał na Zbyszka. - Pewnie wszystko w porządku, co?

W końcu rodzina na utrzymaniu, dzieci, trzeba jakoś zarabiać, nie? Powiem ci, że ja to ci trochę zazdroszczę. W Lubzelu pracujesz, za prąd pewnie grosze płacisz. Dobra taka praca.

- To sam idź do roboty, a nie na rencie siedzisz i pierdolisz, jak ci źle! Nie chciałeś iść ostatnio z nami targu posprzątać. Na dobrą flachę by było, ale nie, bo tobie wiecznie coś nie pasuje! - uszczypliwa wymiana zdań pomiędzy mężczyznami nabierała rumieńców.

- To sobie sam, kurwa, idź za takie pieniądze zapieprzać! Co ty sobie myślisz, że ja będę targ sprzątać za tyle? No chyba cię pojebało! Nie ma szacunku do ludzi w tym kraju. No kto by poszedł za tyle? Zbyszek, poszedłbyś? - spytał kolegę ze szkolnych lat, jakby szukając u niego poparcia, wręcz ratunku dla swojej słabnącej pozycji w toczącej się dyskusji.

Ale Zbyszek nie reagował. Jego zmrużone oczy nabrały złowrogiego wyrazu. Stał obok ławki, pałając do mężczyzn autentyczną, niezakamuflowaną nienawiścią. Na zmianę zaciskał i rozluźniał pięści, jakby chcąc dać ujście szalejącemu wewnątrz gniewowi. Żądza ukarania spodłonego towarzystwa za złe potraktowanie jego syna zawładnęła całą osobą przykładowego ojca, męża i obywatela. Nie myślał już o chłopcach czekających w napięciu na jego powrót. Nie myślał też o żonie - do tej pory pewnie już mocno zniecierpliwionej ich nieobecnością.

- No co tak patrzysz i nic nie mówisz? Obraziłeś się czy jak? Mówię ci, napij się, bo masz minę, jakby cię

wykastrowali! – niecierpliwił się gitarzysta, nie ważąc w tym momencie słów.

Mężczyzna, który chwilę wcześniej podniósł wiśniówkę, podał ją Zbyszkowi. Zachęcająco skinął przy tym głową. Zbyszek wziął ją od niego bez słowa i trzymał w opuszczonej ręce, bardziej jakby z zamiarem rzucenia nią niż wypicia zawartości.

- Wiśnia najlepsza na dzień dzisiejszy – stwierdził ten, który podał mu butelkę. – Winogronówka popsuła się jakoś, jabłuszko zresztą też.

- Walnij se, Zbysiu – zachęcał gitarzysta.

Zbyszek spojrział za ramię, a następnie zrobił dwa mierzone kroki w tył. Obdarzył przy tym całą czwórkę cynicznym uśmiechem. Powiew, jaki niósł za sobą ten uśmiech, paraliżował, wzmagając czerwcowy gorąc, w który mężczyźni wtopili się i w którym z wolna zastygali. Ich spowite alkoholową mgiełką oczy nie zdołały pochwycić obrazu butelki rzuconej z całym impetem o beton. Reagowali zbyt wolno, dlatego zanim zdziwienie podniosło ich powieki na widok Zbyszka biorącego potężny zamach – było po wszystkim. Butelka rozbiła się tuż przed ich nogami, oblewając ich spodnie wiśniówką. Nalewka zalała też niestety kilka turbówek z kolekcji chłopców. Jedynie oni mogli stwierdzić, czy należały do rzadko spotykanych. W każdym razie zostały bezpowrotnie stracone, tak jak bezpowrotnie stracona dla mapy jest wyschnięta rzeka.

W oddali kilku przechodniów usłyszało brzdęk tłuczonego szkła. Żaden jednak nie zatrzymał się. To, co

w innych lubelskich dzielnicach mogło wywoływać poruszenie, na Bronowicach było codziennością, swoistym elementem lokalnego folkloru. Nikt tu nie nazywał braku reakcji na takie rzeczy „znieczulicą”.

- Pojebało cię, kurwa?! Zobacz, co narobiłeś! - gitarzysta oraz jego koledzy byli skrajnie wzburzeni. Ich oczy napuchły rozgoryczeniem, a w ciałach kłębiły się wszelkie możliwe negatywne uczucia.

Zbyszek tymczasem stał niewzruszony, a cyniczny uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Co więcej, nabierał coraz śmielszego wyrazu.

- Powinieneś teraz iść do sklepu i postawić flachę! - sądząc po twarzach, gitarzysta wyraził w tym momencie zdanie wszystkich. - Po chuj żeś ją rozbił?!

- Dokładnie - dodał z przekonaniem kolega po prawej. - Powinieneś teraz wyłożyć sarę i kupić drugą! Nie wiem, co ty do nas masz, Zbyszek - podsumował, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Zbyszek nie krył swojej pogardy dla pijanego towarzystwa, przy czym wymierzanie im kary w miejscu publicznym bynajmniej go nie bawiło. Brzydził się zaistniałą sytuacją oraz tym, że musiał zniżyć się do ich poziomu. Owszem, znał wielu takich ludzi - z gitarzystą nawet się wychował - ale dzieliła ich teraz gruba kreska, a właściwie margines, po którego węższej stronie znaleźli się oni.

Rozlany trunek przysychał w oczach pod presją czerwcowej

aurę. Zamyśleni mężczyźni gapili się na znikającą z betonu wiśniówkę jak na ukochaną machającą im z odjeżdżającego na zawsze pociągu. Bez pieniędzy nie mogli ujarzmić wścieklej ochoty na alkohol, a ta miała powrócić już niedługo ze zdwojoną siłą.

Zbyszek zrobił dwa zdecydowane kroki, tym razem z powrotem w kierunku ławki, przesłaniając gitarzyście widok. Stanąwszy nad nim, szybko i znienacka wyrwał mu z ręki gitarę. Złapał ją za węższą część i spokojnie podszedł do stojącej nieopodal latarni. Spojrzał jeszcze na mężczyznę pytającym wzrokiem, ale ci nie reagowali. Po chwili silnym uderzeniem roztrzaskał gitarę o latarnię. Trzask drewna zmieszał się z ostatnimi pojękiwaniami strun, z chaotycznymi, nieczystymi dźwiękami. Były one krótkie, lecz gwałtowne, jak orgiastyczne jęki kobiety w szczytowym momencie, po którym zostają już tylko cichutkie, ledwie słyszalne westchnienia.

Jednakowo apatyczny wyraz zagościł na twarzach czwórki mężczyzn. Byli zrezygnowani. Poddali się rwącemu biegowi wydarzeń. Jednak dla Zbyszka to wciąż nie był koniec. Ponownie podszedł do ławki i stanął blisko nich. Jego postura górowała nad nimi monarszo. Siedzieli wpatrzonymi w niego jak w złowrogie, mściwe bóstwo, przekonani o swojej niewinności i absurdzie całej sytuacji.

- Zbyszek, powiedz no, o co ci chodzi? - spytał nieśmiało jeden z nich.

Zbyszek nawet na niego nie spojrzał. Widać atmosfera napięcia i złości udzieliła się w tym momencie również

i jemu. Na jego czole wystąpiły bowiem małe kropelki potu, a na policzkach zagościła nieśmiała czerwień. Nie dało się tego nie zauważyć.

- Dobrze już, Zbysiu, nie denerwuj się tak. Powiedz, o co chodzi, to będziemy coś radzić - łagodził gitarzystę niczym wytrawny dyplomata.

Poczekawszy, aż skończy, Zbyszek chwycił go nagle bardzo mocno za gardło, by za chwilę silnym ruchem ręki podnieść z ławki na proste nogi; następnie rzucił go na beton praktycznie bezwładnego, rozkazując:

- Zbieraj.

Pozostali chcieli chyba zareagować, ale Zbyszek spojrzał na nich wzrokiem tak diabolicznym, że zatrzymałby on nawet spłoszone stado antylop. Rzucony na beton gitarzysta nie poczuł upadku - alkohol uśmierzał jego ból niczym doświadczony anestezjolog.

- Zbieraj! - powtórzył Zbyszek.

Gitarzysta z wolna zaczął pojmować, o co chodziło. Wiedział już, co zrobił i za co leży teraz na asfalcie. Nie miał wyrzutów sumienia ani też nie dbał o dalsze upokorzenia. Jedyne, o co dbał, to by nie dostać w ryj.

- Zbieraj, kurwa! - zagrział Zbyszek.

Gitarzysta zaczął zbierać turbówki z trawnika. Szło to bardzo mozolnie. Zbyszek niecierpliwił się, wiedząc, ile czasu pochłonął już cały incydent - cennego czasu z wolnego dnia, który chciał spędzić z rodziną. Jego noga wierciła się, a mięśnie napinały. Kusilo go, by kopnąć gitarzystę w twarz. To jednak na pewno nie przyspieszyłoby zbierania, toteż

zrezygnował. Zerkał tylko groźnie co chwila na pozostałych, upewniając się, czy aby na pewno czegoś nie knuli. Ci zrobili się bardziej poważni i nieco wystraszeni. Siedzieli w bezruchu, nie siląc się na żaden komentarz.

Po kilku przeciągających się minutach gitarzysta wybierał wszystkie turbówki i podał je na kolanach Zbyszkowi, w pozie przypominającej wręczanie darów bożkowi.

- Portfele - powiedział Zbyszek.

Gitarzysta rozejrzał się. Dostrzegłszy portfele, podniósł je i włożył do środka wymięte turbówki. Podał je Zbyszkowi, chwiejnie podnosząc się z kolan. Zbyszek wyciągnął ze swojego portfela pewną kwotę i włożył ją dyskretnie do portfeli chłopców.

- Idziemy - rzekł do gitarzysty.

Ten posłusznie podążył za nim, nie pytając dokąd i po co. Zdezelowana intuicja podpowiadała mu jednak spotkanie z chłopcami. Pozostali wstali z ławki, by odprowadzić ich wzrokiem. W oddali widać było machających rękami chłopców, będących w samym środku ożywionej rozmowy.

- Mówię ci, pewnie im butelki rozwalił na głowie! Na pewno dostali wpierdol! Tata im wpieprzy, zobaczysz! Mają przejebane! - chwalił się ojcem jedenastoletni Mateusz.

- No, twój stary to potrafi! Pewnie już leżą. Udawał tylko takiego spokojnego, ale widać było, że wkurwiony! Chciałbym to zobaczyć! - podniecał się Karol.

- Czaisz, ja też! - krzyknął z niemal dziką ekscytacją Mateusz.

Tymczasem mały Marcin przysłuchiwał się z zaciekawieniem. Jego oczy błyszcząły. Czuł powagę sytuacji. Wprawdzie nie do końca rozumiał, co się działo, ale wiedział, że na pewno coś ciekawego.

- Ciekawe, czy przyniesie portfele? - zastanawiał się Karol.

- O kurde, nasze turbówki - uświadomił sobie Mateusz, który z tego wszystkiego zupełnie zapomniał, jaki był cel interwencji ojca.

- Szkoda by było, nie opłacałoby się zbierać od nowa.

- Od nowa? Daj spokój, tyle zbierania!

- Może przyniesie?

- Może.

- Ale myślę, że kasy to nie. Już pewnie se pryte kupili.

- Nie wiadomo tylko, czy zdążyli wypić - zaśmiał się Mateusz; trzeba przyznać, że jak na swój wiek miał już cięty żart.

Karol i Marcin również wybuchli śmiechem, choć ten ostatni nie wiedział do końca, z czego się śmieje.

- Pewnie im wylał! Albo rozwalił! - kreślił czarne scenariusze Karol.

- No, chciałbym to zobaczyć. Powiemy Piotrkowi, nie uwierzy!

- Bez kitu, wszystko mu powiemy!

Tymczasem w alejce pojawił się Zbyszek z gitarzystą. Ten ostatni szedł przodem. Zbyszek już z dystansu uśmiechał

się do chłopców, a z każdym krokiem zbliżającym go do nich promieniał jeszcze bardziej. Był zdecydowanie wyższy i lepiej zbudowany od gitarzysty, toteż widać go było za nim wyraźnie.

- Idzie twój stary - powiedział półszepem Karol.

- Z tym facetem - odparł jeszcze ciszej Mateusz.

Marcin uśmiechnął się na widok ojca, a gdy on i gitarzysta podeszli bliżej, począł wnikliwie przyglądać się nieznajomemu. Cofnął się o malutki kroczek, patrząc na niego nieufnie. Karol z Mateuszem czekali, co powie ojciec.

- Mówiłem wam, że pan się pomylił. I o co tyle zamieszania? - powiedział łagodnie Zbyszek. - Naprawdę, chłopcy, wy to jak coś wymyślicie. Pan nie wiedział, że to wasze portfele. Znalazł je po prostu. Nie róbcie na drugi raz zamieszania - czochrał po ojcowsku włosy Mateusza.

- Tak. Właśnie. Nie wiedziałem. Przepraszam, chłopaki - dukał gitarzysta, robiąc pauzę po każdym słowie.

- No, widzicie, i po sprawie. Portfele są, wszystko jest.

Zbyszek skinieniem głowy dał znak gitarzyście, by sobie poszedł. To skinienie nie miało znamion rozkazu, wyglądało bardziej jak przyjazne pożegnanie dobrego kolegi.

- Do widzenia - rzekł gitarzysta i oddalił się z powrotem w kierunku ławki.

- Do widzenia - zgodnie odparli chłopcy, zabierając się za przejrzenie zawartości portfeli.

Spoglądali na siebie z radością na widok odzyskanych turbówek. Te najcenniejsze były na swoim miejscu, choć trochę wymięte. Reszta prędzej czy później zostanie znów

zdobyta, pomyśleli. Po chwili ze zdumieniem stwierdzili, że kwota w portfelach znacznie przewyższała tę uprzednią.

- Ale my mieliśmy tylko... - zaczął Mateusz.

- No, widzicie, to będzie na lody. Wy stawiacie! - żartował Zbyszek.

- Ja chcę loda! - krzyknął Marcin.

- Ja też, Marcinek, już idziemy. Mama nas zabije za to czekanie, słowo daję. Musisz się do niej ładnie uśmiechnąć i powiedzieć, że bawiłeś się z chłopakami w piaskownicy, tak?

- Tak, tato! - krzyknął raz jeszcze Marcin, uśmiechając się od ucha do ucha, jakby ktoś włożył mu w poprzek banana w usta. Na szczęście był za mały, by rozumieć takie kłamstewka.

Idąc w kierunku lodziarni, Mateusz i Karol ukradkiem spoglądali na siebie. Nie mogli się już doczekać sposobności opowiedzenia Piotrkowi o tym, co się wydarzyło.

maj 1995

To był trzeci raz tego dnia, kiedy Mateusz, Karol i Piotrek weszli do osiedlowego supersamu, żeby kraść. Dotychczas udało im się wynieść ze sklepu pięć wafelków Prince Polo, cztery bobo fruty, garść gum Turbo i jedną dwulitrową fantę. Dochodziła czternasta. Podobnie jak godzinę oraz dwie godziny temu, tak i teraz wewnątrz panował spory ruch. Ludzie krzątali się między regałami, wrzucając produkty do koszyków. Kasjerki wybijały na kasach ceny oraz kody towarowe, które w sobie tylko znany sposób potrafiły spamiętać. Nowe polskie złote, do których nie wszyscy jeszcze zdążyli się przyzwyczaić, grzechotały w przegródkach kas. Kupujący stąpali ostrożnie po śliskiej podłodze. Ilekroć ktoś nadepnął na dopiero co umyty fragment, sprzątaczką - podstarzała, zadyszana kobieta w sfatygowanym fartuchu w grochy - kręciła głowę z dezaprobatą, a następnie podchodziła do zbezczeszczonego miejsca, by szmatą przywrócić mu połysk. Na zewnątrz kilkoro dzieci czekało na swoich rodziców. Znużone zaglądały przez szyby do środka, przedrzeźniając się z rówieśnikami. Parada min, gestów, zezów oraz uśmiechów

maszerowała tam i z powrotem wzdłuż przeszklonej części sklepu.

Wziąwszy dla niepoznaki koszyki, trójka chłopców rozdzieliła się. Piotrek poszedł na dział napojów, Mateusz na słodycze, a Karol stanął przy kasach, od strony wyjścia. Tym razem to jemu przypadła rola dywersanta. Miał zrobić zamieszanie, jeśli koledzy zostaną przyuważeni. Miał być ich oczami i uszami; miał w porę ostrzegać, dawać umówione znaki, pilnować, by nikt ich nie zaskoczył. Przy tak wielkiej odpowiedzialności za kolegów kradzież wafelków wydawała mu się dziecinnie prosta. Był podenerwowany. Nie dość, że jak dotąd nie zdołał wymyślić, jak w razie czego odwróci uwagę kasjerek, to na domiar złego zachciało mu się siku. Przesępował z nogi na nogę, jakby czekał na przystanku w siarczysty mróz. Miał też wrażenie, że ludzie w sklepie go obserwują, że już wiedzą, że chyba się zorientowali. Wrażenie to zawładnęło nim tak bardzo, że wzdrygnął się i niemal podskoczył ze strachu, gdy wpadł na niego jakiś malec, goniący za zielonkawo-turkusową, kauczukową piłeczką, która wypadła mu z rąk.

- Uważaj, gdzie leziesz, gnojku! - warknął na malca.

Chłopczyk był za mały, by zrozumieć, co powiedział do niego nieznajomy, ale wystarczająco duży, by wyczuć nieprzyjazny ton w jego głosie. Jest taki moment, kiedy dziecko uderzy się o coś albo upadnie, gdy przez krótką chwilę zastanawia się, czy się rozpłakać; moment, kiedy zaczyna kalkulować, czy płacz mu się opłaci, kiedy patrzy na rodzica i prowadzi z nim psychologiczną grę. Właśnie w taki

sposób malec patrzył teraz na Karola. Ten jednak ignorował go, nie spuszczał wzroku z kolegów. Chłopczyk ostatecznie nie rozplakał się, choć w jego ciut wyłupiastych oczach wciąż czaiła się bojaźń, a rzęsy drżały – gotowe w każdej chwili zanurzyć się we łzach.

Podniósłszy piłkę, brzdąc ścisnął ją w dłoni, jakby chciał ją zgnieść. Wysoko rozwinięty dziecięcy instynkt, który większość z nas traci z biegiem lat, podpowiadał mu, że to Karol wyszedł zwycięsko z tej próby sił. W odróżnieniu od jego matki, która chuchała na niego i oglądała niczym lekarz, gdy choćby otarł się o kant stołu, od Karola wiało chłodem i obojętnością. Chłopczyk nie był przyzwyczajony do takich reakcji ze strony dorosłych, dlatego zrezygnowany pobiegł do mamy, gdy ta go zawołała.

Odkąd Mateusz z Piotrkim zniknęli między regałami, nie widzieli już siebie nawzajem. Obydwaj widzieli za to Karola, którego dziwne zachowanie zaczęło przyciągać uwagę klientów oraz ekspedientek. Pomyśleli, że celowo się wydurnia, przeskakując z nogi na nogę i wykrzywając usta, jakby przeżuwał kandyzowany owoc. Korzystając z okazji, Mateusz zwijał z półek kolejno draże, czekoladę, cytrynową mambę i jakieś tam batoniki. Dziś rano specjalnie założył spodnie z głębokimi kieszeniami, żeby jak najwięcej się w nich zmieściło. Zapach świeżych wędlin, który napływał z działu mięsnego jak przyjemny, śródziemnomorski wiatr, łaskotał jego apetyt. Nie dość, że nie jadł dziś śniadania, to

jeszcze stres potęgował u niego uczucie głodu. Z trudem powstrzymywał się przed zjedzeniem na oczach wszystkich tego, co do tej pory nakradł. Właśnie sięgał po kolejnego batonika, gdy usłyszał za plecami znajomy głos sąsiadki.

- O, ten jest ponoć dobry! Chyba wezmę jednego wnuczku. Jadłeś go kiedyś, Mateuszu?

Mateusz wziął batonika i zamiast do kieszeni włożył go do koszyka, choć nie miał pieniędzy, żeby za niego zapłacić. Nie chciał wdawać się w rozmowę z sąsiadką, ale nie mógł jej tak po prostu zignorować. Mieszkali na tym samym piętrze i na pewno nie omieszkałyby wspomnieć jego matce, że był wobec niej nieuprzejmy.

- Tak, bardzo dobry - wystękał, odwróciwszy się do niej, a jego usta uniosły się ku zaczerwienionym policzkom i ułożyły w wymuszony uśmiech.

- No, to wezmę jednego, albo czekaj - przerwała na chwilę, a jej ręce zaczęły wałęsać się po półce z batonikami.
- Może lepiej dwa? Tak, lepiej wezmę od razu dwa, po co mam się później wracać?

Mateusz popatrzył na Karola, który pokazywał mu coś palcami w dyskretny, ale niezrozumiały sposób, a już na pewno nie tak, jak się umawiali. Ze zmarszczonymi brwiami i lekko wysuniętą do przodu głową, Mateusz mocno się skupiał, by rozszyfrować tę chaotyczną gmatwaninę ruchów. Tymczasem na dziale słodczy zrobiło się tłoczno. Ludzie kręcili się wśród półek, ocierali o siebie nawzajem, mijali, zamieniali miejscami, zataczali koła. Wszystko to przypominało taniec towarzyski na bardzo ograniczonej

przeestrzeni.

- Aleś się na nią zapatrzył - zmieniła temat sąsiadka, spojrzawszy na filigranową blondyneczkę o śniadej cerze, która stała jakieś dwa metry od Karola i miętosła w ustach chupa-chupsa. - Gotowa pomyśleć, że się zakochałeś! To wam w tym wieku już takie rzeczy w głowach?

- Rzeczy? - odpowiedział pytaniem Mateusz, wciąż przyglądając się gestykulującemu Karolowi.

- No, te rzeczy - wyjaśniła sąsiadka. - Zresztą nieważne. Powiedz no lepiej, co tam w szkole? Dalej masz problemy z ułamkami?

Mateusz nie był dzisiaj w szkole. W ogóle ostatnio w niej nie bywał. Nie powiedział też rodzicom o zbliżającej się wywiadówce w obawie, że nieobecności wyjdą na jaw. Każdego ranka jadł śniadanie, brał plecak i szedł po Karola. Wychodzili razem do szkoły, ale chwilę potem chowali się za kioskiem, czekając, aż matka Karola pójdzie do pracy, po czym wracali do niego do mieszkania i cały dzień grali na komputerze.

- Z ułamkami? Nie, z ułamkami nie - odparł po dłuższym namyśle.

- Nie? No to pewnie z fizyką? Wiesz, że zawsze możesz do mnie przyjść, to ci pomogę? Daleko nie masz, przecież mieszkamy drzwi w drzwi. Nie krępuj się. Jak sobie z czymś nie radzisz, to po prostu przyjdź i powiedz. Po co ciągle łapać pały? Sam wiesz, jak ciężko się potem z tego wygrzebać. Mama mówiła, że masz słabe stopnie - spojrzała na niego podejrzliwie. - To prawda?

W tym momencie Karol wybiegł ze sklepu jak z płonącego budynku, a za nim jedna z kasjerek w białych drewniakach, które stukały najpierw o podłogę, a potem o asfalt niczym koła karety na kamienistej drodze. Kasjerka gonila za nim z furią w oczach, odgrając się w niewybrednych słowach, co mu robi, gdy go złapie. Ale Karol dawał duże susy. Biegł tak szybko, że zdawał się unosić nad asfaltem. Po przebiegnięciu kilkunastu metrów kasjerka zrezygnowała. Nie była w stanie dogonić młodego, zwinnego chłopca, który miał aktualnie najlepszy czas na sześćdziesiątkę w piątej „D”.

Zobaczywszy uciekającego co sił Karola, Mateusz poczuł się nagle jak zamknięte w klatce, szykowane do cyrku zwierzę. Osiedlowy supersam okazał się dla niego pułapką, jakimś głębokim grobowcem, w którym miał już na zawsze zasnąć, a w najlepszym razie zostawić w nim część siebie. Był spanikowany. Chciał się rozpląnąć, zmienić w plamę na podłodze, którą zmyje sprzątaczką w fartuchu w grochy. Regały ze słodyczami zdawały się z wolna zbliżać ku sobie niczym ściany zgniatarki, a on stał pomiędzy nimi jak zardzewiały, nikomu niepotrzebny trabant. Myślał o Piotрку i o tym, czy to z jego powodu Karol dał nogę. Nie dosłyszał ostatnich słów sąsiadki, toteż nie wiedział, o co dokładnie go pytała i co powinien był jej odpowiedzieć.

- Z ułamkami nie - powtórzył swoją ostatnią odpowiedź jak nieznośną mantrę, by po chwili ugryźć się w język, uświadomiwszy sobie, że wygaduje głupstwa.

- Co z tobą, chłopcze?! - powiedziała ze wzburzeniem

sąsiadka, przy czym widać było, że nie miała na myśli tej niefortunnej wypowiedzi. – Nie widzisz, co się dzieje?!

Mówiąc to, kobieta patrzyła raz na niego, a raz na kasjerkę wracającą do sklepu po nieudanym pościgu.

– Tylko popatrz, chłopcy w twoim wieku, a już kradną! To samo będzie z tobą, jak nie będziesz się uczyć! Poucinałabym takiemu ręce, jak Boga kocham! Nienawidzę złodziejstwa!

– Ja też – rzekł Mateusz z pełnym przekonaniem.

– To ja, biedna, stara nauczycielka, emeryturę mam tak niską, że wstyd listonoszowi w oczy spojrzeć, jak ją przynosi, liczę się z każdym groszem, odejmuję sobie od gęby, żeby rachunki popłacić, a tu przyjdzie taki jeden z drugim i kradną! Niech ich ręka boska broni, jak ich kiedyś dorwę!

Tego „przekonania” nie wystarczyło Mateuszowi na zbyt długo. Trząśił się ze strachu do tego stopnia, że zaczęła to zauważać nawet sąsiadka, a chyba tylko ona sama wiedziała, ile miała dioptrii w tych swoich wielkich, porysowanych, kupionych od ruskich okularach. Mateuszowi wydawało się, że ukradzione rzeczy wypalały mu teraz na skórze szkarłatne litery. Bał się, że za chwilę wypadną mu z kieszeni i zostanie zdemaskowany. Czuł się napiętnowany niczym czarownica. Nie zamierzał jednak spokojnie patrzeć, jak palą go na stosie. Postanowił zrobić wszystko, by się z tego wyplątać. Nie wiedział tylko co.

– Muszę już iść – wymyślił w biegu. – Mama kazała mi jeszcze kupić makaron na zupę.

– No, to idź, bo zaczniesz się niepokoić. Mam nadzieję, że nie kazała ci też kupić jakichś kości na tę zupę, bo na

mięsnym kolejka, że hej!

- Nie, kości nie - odparł Mateusz.

- No dobrze, to zmykaj. I nie zapomnij stopni poprawić! - przypomniała.

- Nie zapomnę, do widzenia - pożegnał sąsiadkę i skierował się w stronę pól z makaronami.

Wychodząc z działu słodczy, wpadł jednak wprost na jedną z ekspedientek, która trzymała Piotrka za koszulkę na wysokości karku i siłą prowadziła na zaplecze. W przeciwieństwie do Mateusza, Piotrek nie wyglądał na wystraszonego. Miał niewzruszoną minę i milczał niczym przesłuchiwany gangster, który bardziej od więzienia obawia się zemsty współników. Jakby na przekór swojej beznadziejnej sytuacji, Piotrek nie okazywał cienia skruchy, a przy tym udawał, że widzi Mateusza pierwszy raz w życiu. Ekspedientka nie dała się jednak na to nabrać; od razu poznała wysokiego, drobnego chłopca w białym T-shircie, czarnych spodniach dresowych oraz robbinsach w tym samym kolorze.

- A ty nie udawaj niewiniątka! - krzyknęła z bliska na Mateusza, a na jego okularach wylądowały drobniutkie kropelki jej śliny. - Obydwoje wiemy, że się znacie! - dodała, wykręciwszy koszulkę Piotrka tak mocno i niekontrolowanie, że ta zaczęła uciskać go w szyję.

- Ale, pani Zosiu - wtrąciła się nagle sąsiadka - on był przez cały czas ze mną! Da pani spokój chłopakowi, przyszedł tylko po makaron dla matki.

- Już pani go nie broni, pani Kozłowska! - naskoczyła na

nią ekspedientka, która była w tym momencie tak wściekła i rozemocjonowana, że mówiła to już prawie na bezdechu. – Oni tu przychodzą od zeszłego tygodnia! Mamy przez nich manko! Niech lepiej pokaże, co ma w kieszeniach, gówniarz jeden!

Mateusz pobladł. Krew odpłynęła mu z twarzy jak wody kobiecie w ciąży. Jego ręce zlodowaciały, a nogi stały się miękkie jak z plasteliny. Utknął gdzieś pomiędzy gniewnym, bazyliżkowym spojrzeniem ekspedientki a rozczarowanym i zdumionym sąsiadki. Tymczasem ludzie w sklepie przerywali zakupy i zatrzymywali się, by poobserwować zajście.

– No już, pokazuj, co tam masz! – naciskała ekspedientka.

– Ja? Ale ja nic nie mam, pani mnie zostawi! – szedł w zaparte Mateusz, nieuchronnie zbliżając się do tego znanego wszystkim kombinatorom momentu, gdy ekspedientka złapie go za rękę, a on powie, że to nie jego.

– Ja ci zaraz dam, nic nie mam! Ty bezczelny kłamczuchu! Chodź tutaj! – ale to ona podeszła do niego, chwyciła znienacka za koszulkę i przyciągnęła do siebie.

Wywiązała się szarpanina. Mateusz próbował wyrwać się z uścisku ekspedientki, ale kobieta była dość silna, a ponadto za nic nie chciała go puścić, bo to właśnie przez niego, Piotrka i Karola kierownik potracił z i tak marnej pensji jej oraz jej koleżankom to, co tamci ukradli. W pewnym momencie, w wyniku szarpaniny, koszulka Mateusza zawinęła się z jednej strony i odkryła kieszeń, z której

wystawała czekolada.

- A co to jest?! Pytam się, co to jest?! Tak cię mamusia wychowała, łobuzie? Doigrałeś się! Pójdiesz ze mną!

To powiedziawszy, kobieta popchnęła obu chłopców w kierunku zaplecza tak, jak żołnierz popycha jeńców, którzy ociągają się w marszu. Idąc tuż za nimi, zachowywała się, jakby prezentowała wszystkim dookoła swoje trofea. Chłopcy nie wiedzieli, że czekała na nich, odkąd weszła na swoją zmianę. Czowała, że dziś przyjdą. Śledziła ich każdy ruch, odkąd tylko weszli do sklepu. Od samego początku nie mieli żadnych szans.

Beata Stawicka zmywała naczynia, gdy usłyszała dzwonek do drzwi. Nie spodziewała się nikogo o tej porze dnia. Pomyślała, że to znowu ci przekłęci domokrażcy, od których w ostatnim czasie nie mogła się opędzić. Ludzie ci potrafili prezentować swój asortyment choćby i na klatce, a niektórzy byli tak nachalni, że na siłę wpychali się do mieszkania. Dywany, garnki, cudowne materace, odkurzacze piorące, szczupła figura, dwa, trzy i cztery produkty w jednym, promocje, perfumy prawie jak Armani, Amway, pseudowynałazki do kuchni - widziała już chyba wszystko. Postanowiła nie otwierać. Dzwonek jednak rozbrzmiewał raz po raz w kilkunastosekundowych odstępach. Jego nieznośny dźwięk, nieudolnie imitujący śpiew skowronka, rozchodził się po całym domu. Gdy zadzwonił po raz czwarty, zakręciła kran, wytarła ręce ścierką i poszła do przedpokoju.

Stanąwszy przed drzwiami, złapała za klamkę. Jako że nie miała w zwyczaju patrzeć przez judasza, kogo licho niesie, otworzyła drzwi.

Na wycieraczkę stał Mateusz, a za nim dwaj policjanci, z których jeden trzymał rękę na jego ramieniu niczym troskliwy ojciec, a drugi przyglądał się Beacie z nader sympatycznym, zważywszy na okoliczności, wyrazem twarzy. Na tle rosnących mężczyzn Mateusz wyglądał jak liliput. Bał się spojrzeć matce w oczy, mimo że ta póki co była bardziej zdezorientowana niż rozgniewana.

- Beata Stawicka? - spytał po chwili policjant trzymający rękę na ramieniu Mateusza, przyciszając jednocześnie trzeszczącą krótkofalówkę.

- Tak, a o co chodzi? - odparła Beata.

- Domyśla się pani, że o tego tutaj młodzieńca. To pani syn?

- Obawiam się, że tak - powiedziała z gorzką ironią w głosie.

Ustaliwszy podstawowe fakty, policjant przeszedł do sedna sprawy.

- Proszę pani, syn został zatrzymany za kradzież w supersamie przy ulicy Łabędziej, pewnie pani kojarzy. Ekspedientki twierdzą, że to nie pierwszy raz. Podobno wielokrotnie widziały, jak wchodzi i wychodzi, ale rzadko kiedy coś kupuje. W każdym razie jakaś spora kwota się z tego zrobiła, sami jeszcze nie mogą się doliczyć, no i my nie możemy tego tak zostawić, bo to już nie jest mała szkodliwość społeczna czynu, rozumie pani?

- No dobrze, ale... - Beata próbowała pozbierać myśli - to znaczy, że co? Że niby sam tyle nakradł?

- Oczywiście, że nie. Z dwoma kolegami. Jednego musieliśmy zatrzymać na komisariacie, bo nie zastaliśmy rodziców, a drugi zdążył uciec, zanim przyjechaliśmy na miejsce. No właśnie, a może pani będzie wiedziała, kto to?

- Bo syn zaniemówił - odezwał się drugi z policjantów. - Zapomniałeś języka w gębie, co? - szturchał Mateusza, a z jego twarzy nie zniknął ten dziwny uśmiech; z pozoru sympatyczny, ale jakiś nadgorliwy, czymś podszyty, pastwiący się. Taki uśmiech służbisty.

- Ten, który uciekł? A jak wyglądał? - spytała Beata.

- Blondynek, średniego wzrostu, nieprzystrzyżone, zawijane z tyłu włosy, szara koszulka z jakimś superbohaterem, podobno pyskaty.

- Toż to przecież Karol! - uniosła się, spojrzawszy gniewnie na syna. - Wiedziałam, że nic dobrego z tego ich łążenia nie wyjdzie! Ciągle gdzieś chodzą, niby to z psem, niby to na ławkę, a tu proszę!

- A nazwisko tego chłopca? - spokojnie dopytywał policjant.

- Werner. Karol Werner. Mieszka na Sokolej, tu w pobliżu.

- Sokolej ile?

- Jedenaście, Sokolej jedenaście - powtórzyła. - To się Hania zdziwi! Muszę z nią o tym porozmawiać, zaraz do niej zadzwonię!

- Nie ma takiej potrzeby - zapewniał policjant, zapisując

w notesie dane Karola. - Wszystkim się zajmiemy. Porozmawiacie sobie panie innym razem.

- Na komisariacie?

- Nie. Zeznania nie będą konieczne. Kierownik sklepu zgodził się nie wnosić oskarżenia, jeśli tylko pokryją panie wszystkie straty. Dodatkowo chłopcy będą przez tydzień sprzątać w sklepie w ramach takiej, powiedzmy, reedukacji. Podłogi, śmieci, szyby, tego typu rzeczy.

- Tak, oczywiście, ja wszystko pokryję, na pewno pokryję, to znaczy razem pokryjemy, jak zadzwonię do Hani - z trudem tłumaczyła Beata.

- Proszę na razie nie dzwonić. Tak jak powiedziałem, wszystkim się zajmiemy. Proszę po prostu zgłosić się jutro z synem do sklepu. Do tego czasu powinni już podliczyć straty.

- Naturalnie. Tak właśnie zrobię. Dziękuję.

- Proszę nie dziękować, naprawdę. Dla nas wystarczy, jak nie będziemy musieli tu więcej przychodzić w sprawie syna. Wie pani, jak to jest, oni z wiekiem robią znacznie gorsze rzeczy niż kradzież czekolady - zauważył kąśliwie. - Niech pani ma to na uwadze. A na razie to wszystko z naszej strony. Do widzenia pani.

- Do widzenia - odparła Beata, zawstydzona słowami policjanta, które brzmiały w jej odczuciu jak zawołowana aluzja, jak zarzut, że poniosła porażkę wychowawczą. Zabolalo ją to, zwłaszcza że słowa te padły z ust nieznajomego. Jednakże zacisnęła zęby i zdusiła w sobie frustrację. Wciągnawszy Mateusza za rękaw do mieszkania,

zaryglowała drzwi.

Była cała we łzach, gdy biła go trzepaczką. Mimo że pękało jej serce, cierpliwie wymierzała mu razy. Woląca zrobić to sama, wiedząc, że mąż użyłby do tego rąk, a celem byłaby twarz. Biła go z matczyną miłością, a jednocześnie mocno, metodycznie i tak długo, że Mateusz w pewnym momencie zobojeźniał na ból. Przy każdym kolejnym uderzeniu w pokoju słychać było już tylko jego ciche pojękiwania, które były reakcją czysto fizyczną, bo myślami zdawał się być już zupełnie gdzie indziej. Przez cały ten czas miała w głowie aluzję policjanta, który zasugerował, że była złą matką, że zawiodła, że poniosła porażkę, której nie naprawi trzepaczką, choćby biła nią syna do rana. Odpychała te myśli od siebie, ale one wciąż powracały, nie dając jej spokoju. Czuła, że będzie ją to kosztować wiele nieprzespanych nocy, że będzie godzinami patrzeć w sufit w ciemnościach swojej sypialni, zastanawiając się, gdzie popełniła błąd. Wiedziała też, że od dziś zacznie też inaczej patrzeć na swojego młodszego syna, Marcina. Ostatnie, czego chciała, to zobaczyć, jak i jego kiedyś przyprowadza do domu policja.

Mateusz leżał na tapczanie z twarzą w poduszce jeszcze długo po tym, jak matka wyszła z pokoju. Myślał o bohaterskiej postawie Piotrka, który do samego końca zapierał się, że go nie zna, oraz o tym, z jaką łatwością

przyszło matce wydanie Karola policji. U Karola w domu to ojciec z reguły nagradzał lub karał, a do tego ostatniego najczęściej używał rury od odkurzacza albo kabla. Mateusz nie mógł odżałować, że jego najlepszy przyjaciel niebawem podzieli jego los. Miał to za złe matce. Nienawidził jej za to. Postanowił, że już nigdy się do niej nie odezwie.

marzec 1997

Kościół pod wezwaniem Świętego Krzyża wypełniony był po brzegi. Wchodzący do niego ludzie, zamoczywszy palce w wodzie święconej i przeżegnawszy się, pośpiesznie, aczkolwiek z należytą powagą, zajmowali ostatnie miejsca stojące. Ci, którzy nie zmieścili się w środku, uczestniczyli w nabożeństwie na zewnątrz - stłoczeni na schodach, alejkach prowadzących do kościoła oraz wokół sklepika z dewocjonaliami. Pomimo tego, że wewnątrz nie było już miejsca, z okolicznych bloków wciąż wylaniali się kolejni ludzie zmierzający w kierunku świątyni. Były to osoby w różnym wieku, ale większość stanowiły, z racji trwających rekolekcji, zorganizowane grupy uczniów z dwóch pobliskich podstawówek: trzydziestej pierwszej i trzydziestej trzeciej. Prawie wszystkie dzieci siedziały już w ławkach wewnątrz zatłoczonego kościoła i tylko ostatnie, spóźnione grupki, poganiane przez podenerwowanych nauczycieli, przeciskały się przez tłum przed budynkiem.

Kościelny dzwon brzmiał tego dnia jakby poważniej niż zwykle. Serce uderzało o kuty z grubej stali wieniec, wydając głębokie, przeciągłe dudnienie, na dźwięk którego ci, którzy

zdecydowali się pozostać w domach, odrywali się od swoich codziennych zajęć i popadali w zadumę bądź irytację. Zimowe mrozy zelżały i choć nie było jeszcze na tyle ciepło, by zamienić grube kurtki na bardziej przewiewne okrycia, to jednak temperatura powietrza była odczuwalnie wyższa, a smagający twarze ludzi wiatr niósł ze sobą zapach wiosny. Słońce nieśmiało wyglądało zza chmur, jakby chcąc dowiedzieć się, czy była to już właściwa pora, by mocniej przygrzać. Na drzewach przesiadywało coraz więcej powracającego ptactwa, mimo tego, że gdzieś wcięż jeszcze leżał śnieg.

Ostatnie grupki uczniów wchodziły do środka i kierowały się do wyznaczonych sektorów - trzydziesta pierwsza po prawej stronie kościoła, trzydziesta trzecia po lewej. Pozostali wierni odsuwali się, by umożliwić im zajęcie miejsc jak najbliżej ambony, skąd za niedługo miał przemówić do nich przyjezdny ksiądz. Wewnątrz panował lekki przeciąg. Pod jego wpływem płomienie świec wiły się jak węże przyzywane muzyką fletu przez zaklinacza. Promienie słoneczne przebijały przez wypełniające okna kościoła różnokolorowe witraże. Skąpane w ich blasku twarze przedstawionych na witrażach świętych budziły się z zimowego zasępienia. Święci patrzyli teraz radosnym wzrokiem na wiernych, tłumnie przybyłych na rekolekcje. Organista pieścił klawisze, a organy odwzajemniały mu się najczystszyimi dźwiękami, które rozchodziły się po całej świątyni. Nawet pajęczyny utkane pod sklepieniem kościoła wibrowały w rytm muzyki.

Z zakrystii wyszli ministranci ze złożonymi do modlitwy dłońmi i ustawili się w szeregu po prawej stronie prezbiterium - milczący i bardzo skupieni. Choć czuli na sobie pełne uznania spojrzenia staruszek, które jak zwykle zajęły miejsca w pierwszych rzędach ławek, przyjmowali je bez najmniejszych emocji, niczym żołnierze pełniący wartość honorową. Kolejka do spowiedzi wydłużała się z każdą minutą, choć w tłumie ludzi i tak nie do końca wiadomo było, kto w niej stał, a kto nie. Jedni odchodzili od konfesjonału szybko, inni potrzebowali dłuższej chwili; każdy jednak cierpliwie czekał na swoją kolej.

Pomimo towarzyszącej rekolekcjom atmosfery kontemplacji i duchowej odnowy, w kościele dało się odczuć napięcie. Mając w pamięci wydarzenia sprzed roku, wierni patrzyli z niepokojem na księdza, który od kilku minut przemawiał z ambony. Jego ciepły, melodyjny głos niósł się przez głośniki nie tylko po całym kościele, lecz także po sąsiadujących z nim blokach. Głos ten zdawał się hipnotyzować staruszki z pierwszych rzędów, które przytakiwały po każdym wypowiedzianym przez kapłana zdaniu. Ten starannie dobierał cytaty z Ewangelii i ważył każde słowo, by nie zostać posądzonym o stronniczość czy nachalność przekazu. W pewnym momencie zwrócił się w kazaniu bezpośrednio do uczniów:

- Człowiek naprawdę dorosły nie jest do wszystkich negatywnie nastawiony. Człowiek naprawdę dorosły umie

oprócz zła dostrzec również dobro. Widzi słabości nie tylko u innych, ale także i u siebie. Potrafi pomnażać dobro i przebaczać. Ten, kto nie potrafi lub nie chce wybaczyć bliźniemu, nigdy naprawdę nie pozna Boga, a jego wiara będzie chwiejna i słaba. Nie pozwólmy, by ten szczególny czas - czas wyciszenia, duchowego oczyszczenia oraz oczekiwania na zmartwychwstanie naszego Pana Jezusa Chrystusa - został zmarnowany z powodu wzajemnej niechęci, waśni i pogardy dla drugiego człowieka. Jesteście dziś tu, by wspólnie przygotować się na to wyjątkowe wydarzenie. Pan Jezus patrzy na was i chce, abyście wyzbyli się nienawiści, a wtedy On zamieszka w waszych sercach.

W obu sektorach kościoła nauczyciele bacznie obserwowali nawet najdrobniejsze ruchy i gesty uczniów, którzy groźnie łypali na swoich rówieśników z drugiej szkoły. Przyjezdny ksiądz został wtajemniczony przez miejscowych wikariuszy w konflikt pomiędzy podstawówkami. Przed rozpoczęciem mszy poprosili go dyskretnie, by jak najczęściej odwoływał się w homilii do przebaczenia i pojednania. Powiedzieli mu o biegnącej ulicą Krańcową dwupasmówce, stanowiącej umowną granicę między „terenami” obydwu szkół. Wyjaśnili, że w kościele także stosują taki podział, czyli trzydziesta pierwsza po prawej, trzydziesta trzecia po lewej, bo to mniejsze zło. Tłumaczyli, że sadzając wszystkich razem, ryzykowali znacznie więcej. Opisali młodemu rekolekcjoniście sytuację, jaka miała miejsce przed rokiem, na co ten otworzył szeroko oczy, a następnie zaczął nerwowo chodzić w tę i z powrotem po

zakrystii. Księża uznali wtedy, że powinni zostawić go na chwilę w spokoju. Wychodząc, poprosili, by nie rezygnował z poprowadzenia rekolekcji.

Zaraz po ich wyjściu kapłan usiadł na krześle. Przełykał ciężką jak ołów ślinę, kręcąc z niedowierzaniem głową. Spuścił wzrok, wpatrując się zamyślony w podłogę. Czuł ciężką na nim odpowiedzialność. Koncepcja kazania, którą ułożył sobie w drodze na nabożeństwo, zawaliła się jak stara kamienica. Nie był w stanie poskładać jej teraz naprędce. Wiedział, że będzie musiał improwizować, co nie zdarzało mu się w przeszłości. Za drzwiami rozbrzmiewały dźwięki kościelnych organów, które wzywały go niczym boksera z szatni, by wyszedł stawić czoła silniejszemu od siebie przeciwnikowi. Gdy organista zagrał umówioną melodię, młody ksiądz wstał z krzesła, wziął głęboki oddech i wyszedł z zakrystii do prezbiterium. Wszystkie oczy w jednej chwili zwróciły się wtedy ku niemu.

Podczas drugiej części mszy niski, lekko przygarbiony ksiądz zbierał na tacę. Wolnym krokiem okrążał kościół, przeciskając się przez tłumy wiernych. Ci szperali po kieszeniach lub otwierali portfele w poszukiwaniu pieniędzy. Ze względu na duży ścisk duchowny był prawie niewidoczny i tylko charakterystyczny brzęk monet pozwalał określić kierunek, w którym się poruszał. Jedynie uczniowie niechętnie dorzucali do wiklinowego koszyka, ponieważ większość z nich zdążyła rozdysponować otrzymane od

rodziców pieniądze na inne cele.

Był już mniej więcej w połowie sektora zajmowanego przez trzydziestą pierwszą, gdy zatrzymał się przy większej grupce chłopców, która stała przy jednym z bocznych wejść do kościoła. Chłopcy zaczęli kolejno wrzucać do koszyka drobne kwoty, kilkukrotnie mniejsze od tych, które dostali na tę okoliczność.

- Bóg zapłać - powtarzał ksiądz, uśmiechając się.

Jeden z chłopców nerwowo macał się lewą ręką po kieszeniach dzinsów, prawą trzymając na wpół zgiętą przy ciele, jakby była w gipsie. Ksiądz cierpliwie czekał na datek. Chłopiec przeszukał dwie przednie kieszenie, następnie lewą tylną, aż wreszcie wyczuł pieniądze w prawej tylnej kieszeni. Odruchowo sięgnął po nie prawą ręką. W tym momencie spod kurtki wysliznął mu się kij baseballowy. Próbował jeszcze łapać go w locie, ale ten ostatecznie wypadł mu z rąk. Podskoczył kilkakrotnie na podłodze, po czym przytulił się do jej powierzchni i zaczął wolno toczyć się w kierunku ławek. Najbliżej stojący ludzie śledzili go wzrokiem. Gdy kij zatrzymał się, wszyscy podnieśli zgodnie głowy i spojrzeli na grupkę chłopców. Zapanowała konsternacja. Po chwili cały kościół syczał od szeptów. Wychowawczynie młodzieńców płonęła ze wstydu. Jej policzki wyraźnie zarumieniły się. Nie wiedząc, jak ma się zachować, patrzyła pytającym wzrokiem na pozostałych nauczycieli. Twarz księdza zbierającego na tacę zmieniała się jak przewijany na taśmie obraz wideo - od życzliwego uśmiechu, przez dezorientację, po zdumienie. Część wiernych, zwłaszcza ci z małymi dziećmi, zaczęła

wychodzić z kościoła. Uczniowie z obu sektorów wstawali ze swoich miejsc i na stojąco obserwowali, co się dzieje. Ci niżsi stawali na palcach albo wychylali się w lewo bądź w prawo z za pleców wyższych kolegów. Rekolekcjonista, który miał z ambony doskonały widok na całą sytuację, nie przerywał kazania, by odwrócić uwagę uczniów od haniebnego incydentu. Jednak gdy zobaczył swojego kolegę, który w jednej ręce niósł wiklinowy koszyk z datkami, a drugą prowadził za kołnierz chłopca z kijem baseballowym, odsunął od ust mikrofon i zszedł z podwyższenia. Dwójka ta mijiała kolejne rzędy ławek, kierując się w stronę prezbiterium. Wierni ustępowali im drogi niczym samochody karetce pogotowia na sygnale. Przez cały ten czas z twarzy przyłapanego chłopca ani na chwilę nie zniknął szyderczy uśmiech, którym równo obdzielał staruszki, znieawidzonych rówieśników z drugiej szkoły oraz nauczycieli.

Kościół pustoszał. Stojący na zewnątrz ludzie dopytywali się wychodzących, dlaczego głośniki nagle zamilkły. Gdy jedna z osób podała przyczynę, przed budynkiem rozgorzała dyskusja, czy lepiej zostać i poczekać na wznowienie rekolekcji, czy też wracać do domu, zanim incydent przerodzi się w coś znacznie gorszego, tak jak przed rokiem. Jedni rezygnowali od razu, inni konsultowali się z najbliższymi lub pytali o zdanie sąsiadów. Niepewność z ciekawością krążyły między grupkami ludzi, podsłuchując ich rozmowy i podpowiadając rozwiązania. Jako że w kościele zrobiło się nieco luźniej, niektórzy zaglądali do środka, by zobaczyć, co się stało. Nawet pani ze sklepiku

z dewocjonaliami, widząc panujące poruszenie, otworzyła drzwi i wychyliła głowę na zewnątrz. W całym zamieszaniu nikt zdawał się nie zwracać uwagi na coraz liczniejsze grupki chłopców, z których jedna zbierała się na rogu bloku bezpośrednio sąsiadującego z kościołem, a druga kilkaset metrów w przeciwnym kierunku, za dwupasmówką, przy głównym skrzyżowaniu Krańcowej z Pogodną.

Nagle z głośników ponownie rozbrzmiał głos księdza, choć tym razem już nie tak ciepły i melodyjny jak wcześniej:

- Oto najlepszy przykład tego, jak bardzo młody człowiek potrzebuje dziś Boga. Bo młody człowiek, moi drodzy, jest dziś bardzo zagubiony. Tylko Bóg może wskazać mu właściwą drogę i tylko wiara w Niego sprawi, że granica między tym, co złe, a tym, co dobre, nigdy się nie rozmyje. Ten kij to symbol owego zagubienia. Ten kij to znak, że w młodym sercu załęgła się nienawiść, którą należy wypłenić, nim będzie za późno.

Ksiądz trzymał kij wysoko, tak by każdy mógł go zobaczyć. Tuż przy nim stał jego właściciel. Chłopiec miał spuszczone głowę, ale nie kierował nim wstyd, a jedynie chęć ukrycia faktu, że podśmiechiwał się pod nosem. Usłyszawszy w głośnikach głos księdza, stojący do tej pory na zewnątrz ludzie zaczęli z ciekawości wchodzić do kościoła. Ministranci siedzieli na swoich krzesłach, ukradkiem spoglądając na siebie nawzajem.

Tymczasem uczniowie byli wyraźnie zniecierpliwieni przedłużającym się nabożeństwem. Część z nich wierciła się już na swoich miejscach lub rzucała zaczepne spojrzenia

w stronę rówieśników z drugiej szkoły. Kazaniu przysłuchiwali się z zakrystii również pozostali kapłani, będący pod wrażeniem opanowania przyjezdnego księdza. Czując jednak, że jego słowa nie zdołają rozładować panującego napięcia, nie mówiąc już o zażegnaniu trwającego od wielu lat konfliktu, wspólnie zastanawiali się, jak nie dopuścić do sytuacji podobnej do tej sprzed roku.

- Nie jestem tu po to - kontynuował ksiądz - by piętnować waszego kolegę. Nie jestem tu również po to, by mówić wam, co wolno, a czego nie. Nie na tym polega wiara, choć wielu chce ją do tego sprowadzić. Wiara to przede wszystkim poczucie wspólnoty, to świadomość tego, że jesteśmy ważną częścią czegoś o wiele większego od nas samych. Wiara to jedność ludzi w Bogu, to przebaczenie i pojednanie. Nie chodzi w niej o to, by być w kościele w każdą niedzielę albo składać ręce do modlitwy, gdy inni patrzą. Prawdziwa wiara to naśladowanie Boga w każdej sytuacji. To miłość i szacunek do drugiego człowieka. Najbardziej wierzącym nie jest ten, kto zna na pamięć słowa kościelnych pieśni, ale ten, kto żyje nimi na co dzień. Człowiekiem prawdziwie wierzącym nie jest ten, kto tłamsi w sobie nienawiść, ale ten, kto się jej wyzbywa. Dlatego zastanówcie się, zanim podniesiecie kij na swojego kolegę, bo tłamszona nienawiść jest jak źle wychowany pies, który prędzej czy później rzuci się na swojego pana. Tak niewiele trzeba, żeby przekroczyć granicę między gniewem, który jest grzechem, a nienawiścią, która jest prawdziwym przekleństwem człowieka. Nie pozwólcie, by wami

zawładnęła. Nie podsycajcie tych płomieni, bo one w końcu pochłoną was bez reszty. Jeżeli podnosicie rękę na bliźniego i ta ręka wam drży, to znaczy, że wciąż jest w was więcej miłości niż nienawiści. Wyzbycie się tej drugiej to warunek pojednania. Oczyszćcie swoje serca i otwórzcie je na innych ludzi. Podajcie sobie ręce. Spróbujcie dostrzec w swoim koledze czy koleżance kogoś podobnego do was, kogoś, z kim więcej was łączy, niż dzieli. Wracając do domu, pomyślcie przez chwilę, czy rzeczywiście aż tak się różnicie? Nadchodzące święto Wielkiej Nocy to idealny czas na pojednanie. Bóg na was patrzy, kochani. Nie zamieszka w waszych sercach, dopóki sami go tam nie zaprosicie. A teraz idźcie w pokoju Chrystusa.

Z organów ponownie popłynęła muzyka. Na rzutniku zamontowanym z prawej strony prezbiterium wyświetliły się słowa kolejnej pieśni. Ksiądz zamknął Pismo Święte i zszedł z ambony. Skinieniem głowy przywołał do siebie jednego z ministrantów. Podał mu kij baseballowy i nic nie mówiąc, odwrócił się do chłopca, który przyniósł go do kościoła. Zdezorientowany ministrant stał przez chwilę w miejscu i patrzył na księdza, jednak po namyśle ruszył w kierunku zakrystii. Pozostali ministranci obserwowali całą sytuację, nie odzywając się. Ksiądz delikatnym ruchem ręki odesłał właściciela kija z powrotem do kolegów. Odprowadzał go strapionym wzrokiem do samego końca. Chłopiec dołączył do swojej grupy i wymienił z kolegami kilka złowieszczych uśmiezków. Młody kapłan czuł, jak stopniowo schodzi z niego stres i spływa po całym ciele. Jeszcze nigdy podczas

swojej posługi nie spotkało go coś tak okropnego. Próbował wmawiać sobie teraz, że wyjdzie z tego silniejszy, ale harmonia oraz wewnętrzny spokój, z którymi przybył na rekolekcje, zostały wykpione. Patrzył, jak tłumy ludzi płynęły wolno w kierunku najbliższych wyjść. Chciał widzieć w każdym z nich człowieka, ale wszystkie twarze rozmazywały mu się jak pijana akwarela. Najchętniej sam popłynąłby z tłumem na zewnątrz tej przeklętej parafii. Ale nie mógł.

Tymczasem w drzwiach zakrystii pojawił się proboszcz. Podszedł do wizytującego księdza szybkim, zdecydowanym krokiem i nie kryjąc zdenerwowania, powiedział:

- No z tym składaniem rąk do modlitwy, gdy inni patrzą, i że wiara to nie jest chodzenie do kościoła, to chyba ksiądz troszeczkę przesadził. Ja rozumiem, że jest napięta sytuacja, ale nie mówi się takich rzeczy młodym ludziom. Oni mogą to wziąć zbyt dosłownie. Proszę pamiętać, że to jest pokolenie wyżu. Pomyślał ksiądz, co będzie, jeśli oni wejdą w dorosłe życie z takim nastawieniem? Jakimi będą ludźmi? Jakie rodziny założą? Uważam, że trochę księdza poniosło.

- Mnie?

- Tak, proszę księdza. Jest ksiądz w wygodnym położeniu, bo przyjechał sobie na chwilę poprowadzić rekolekcje, ale na co dzień to my musimy sobie nerwy szarpać z tą bezbożną młodzieżą. A ksiądz jeszcze dolewa oliwy do ognia! Czy wie ksiądz, co oni tu wyczyniali rok temu?

- Tak, przedstawiono mi sytuację.

- Domyślam się, że już zdążyli księdzu opowiedzieć. W każdym razie to jest smutna i wstydliva zarazem prawda, z którą musimy się co roku mierzyć. Sam ksiądz rozumie, że rekolekcje to dla naszej wspólnoty trudny czas. To nie jest zwykła parafia. Tu się waży słowa. Radzę na przyszłość o tym pamiętać. Porozmawiamy sobie później, teraz muszę im jeszcze coś powiedzieć.

Młody ksiądz spuścił wzrok. Próbował przyjąć to upokorzenie z godnością, ale karcący głos proboszcza wciąż wibrował w jego głowie, zostawiając w niej ślady jak bicz na plecach niewolnika. Nie zamierzał dłużej stać w prezbiterium. Skierował się do zakrystii. Po chwili zniknął za drzwiami i nie słyszał już słów proboszcza, który podniesionym tonem instruował uczniów:

- Najpierw wychodzi trzydziesta trzecia, a dopiero potem trzydziesta pierwsza! Po kolei proszę! Nie pchać się tam! Pamiętajcie, co mówił wam ksiądz. Głównym wejściem! Głównym, nie bocznym!

Kolejne klasy opuszczały kościelne ławki i pod okiem nauczycieli posłusznie wychodziły na zewnątrz, jak kazał ksiądz. W opustoszałej świątyni grasowało echo. Ostatni wierni, którzy wyszli tuż przed uczniami, zamknęli za sobą wszystkie boczne drzwi. Mniejszy niż wcześniej przeciąg postawił płomienie świec na baczność. Twarze świętych na witrażach, mimo padających nań promieni słonecznych, jakby posmutniały. Szepty chłopców oraz oddalający się tupot butów już tylko gdzieniegdzie przerywały ciszę. Z zakrystii dochodziły stłumione odgłosy ożywionej rozmowy.

Proboszcz patrzył w stronę głównego wejścia. Żałował, że tak mocno skrytykował wizytującego księdza. Przyrównywał go teraz w myślach do ogrodnika sadzącego kwiaty na spalonej ziemi, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zakwitną.

Jako że uczniowie uczestniczyli w rekolekcjach w ramach dwóch ostatnich lekcji, to nie musieli już wracać do szkoły. Mogli w końcu zrzucić z siebie niewygodny płaszcz pozorów i uwolnić się od skrupulatnych spojrzeń nauczycieli. Po wyjściu z kościoła nie wszyscy jednak rozeszli się do domów. Kilkudziesięciu uczniów z każdej szkoły weszło głębiej w osiedle i schowało się między blokami po swoich stronach dwupasmówki. Dwóch chłopców z trzydziestej trzeciej stanęło przy skrzyżowaniu naprzeciwko hotelu Polonia, zaś dwóch z trzydziestej pierwszej przy pasażu handlowym na Pogodnej. W każdym z tych miejsc chłopcy mieli doskonały widok na całą okolicę. Zachowywali się zupełnie normalnie. Śmiali się i rozmawiali. W rzeczywistości jednak uważnie, choć dyskretnie obserwowali swoich nauczycieli, którzy, będąc po pracy, kierowali się na przystanki bądź do swoich aut.

Dwupasmówką mknęły samochody. Co jakiś czas przejeżdżały też autobusy. Światła uliczne puszczały oko raz do przechodniów, a raz do pojazdów. Ze sklepów w pasażu, zwanego popularnie „Rondem”, wychodzili ludzie z zakupami. Pojedyncze osoby bawiły się ze swoimi psami na rozległym trawniku, znajdującym się tuż pod łagodnie

opadającą górką przed pasażem. Jeszcze nie tak dawno, jak każdej zimy, rodzice przyprowadzali tu swoje pociechy, by pojechać z nimi na sankach. W ostatnich dniach śnieg jednak w większości stopniał, a w wielu miejscach zmienił ziemię w grząskie błoto.

Przy przejściu dla pieszych, na końcu alejki prowadzącej do kościoła, od kilkunastu minut stały dwie młode nauczycielki. Zatrzymały się tam, wracając z rekolekcji, by zamienić ze sobą kilka słów. W zgiełku pędzących Krańców samochodów mogły rozmawiać głośno i bez skrępowania. Mimo tego, że od chłopców z trzydziestej trzeciej dzieliła ich tylko zebra (ci z trzydziestej pierwszej stali nieco dalej), kobiety nie czuły na sobie ich wzroku. Jedna z nich opowiadała coś drugiej, na co tamta odpowiadała szczerym uśmiechem lub pełnym skupienia przytaknięciem. Po drugiej stronie ulicy chłopcy zerkali na nie ukradkiem. Z tej odległości nie byli w stanie dokładnie zobaczyć mimiki twarzy obu kobiet, ale też nie przypatrywali się zbyt długo, by nie zwracać na siebie uwagi. Choć żadna z nich nie była ich nauczycielką, to znali je bardzo dobrze. Widywali je codziennie na szkolnym korytarzu.

Po dłuższej chwili kobiety pożegnały się i zaczęły oddalać ze skrzyżowania w przeciwnych kierunkach. Czterej chłopcy – ci przy hotelu Polonia oraz ci przy pasażu – ożywili się. Nie spuszczały z kobiet wzroku, dopóki nie znalazły się odpowiednio daleko. Gdy całkowicie zniknęły im z pola widzenia, zagwizdali, dając znak ukrytym w blokach kolegom. Po dwóch stronach dwupasmówki z osiedli zaczęły

wyłaniać się pierwsze grupki. Rozejrzawszy się dookoła i upewniwszy, że w pobliżu nie ma nauczycieli ani księży, wychodzili po kilku na główny chodnik. Ośmieleni tym dołączali do nich pozostali, aż utworzyły się dwa liczące po kilkadziesiąt osób zbiorowiska, które dzieliło teraz jakieś dwieście metrów w linii prostej. Ze względu na trwające rekolekcje uczniowie nie wzbudzali podejrzeń przechodniów, którzy mijali ich obojętnie. Dopiero w momencie, gdy zbiorowiska ruszyły na siebie, niektórzy zaczęli zwalniać kroku i przyglądać się im z większym zainteresowaniem. Chłopcy z trzydziestej pierwszej zatrzymali się na wysokości kościoła, a ci z trzydziestej trzeciej tuż za skrzyżowaniem. Odległość między nimi zmalała do kilkudziesięciu metrów. Stłoczeni na wąskim chodniku, czekali.

Najbardziej krewcy ustawili się z przodu. Za nimi stanęli ci, o których w szkole mówiło się, że „dobrze się biją”. Na końcu znaleźli się natomiast ci, którzy albo zostali zmuszeni, by przyjść, albo chcieli udowodnić, że się nie bali. Wśród tych ostatnich byli również Mateusz, Karol i Piotrek z klasy siódmej „D” szkoły numer trzydzieści trzy.

Mateuszowi kołatało serce. Uderzenia gorąca raz po raz szarpały nim jak szmacianą kukłą. Zastanawiał się, jak umiejętnie wyplątać się z tego, by nie zostać oskarżonym o tchórzostwo. Patrzył nerwowo a to na swój balkon, z którego w każdej chwili mogli go zobaczyć rodzice, a to na rówieśników z drugiej szkoły, wyciągających właśnie z kieszeni kamienie. Sam też wyciągnął dwa swoje. Karol i Piotrek zrobili to samo. Trzymali je w kieszeniach spodni

przez całe rekolekcje. Po incydencie z kijem dodatkowo zasłaniali kieszenie kurtkami, ponieważ kamienie były dość spore. Nie wiedzieli nawet, czy dorzucą nimi na taką odległość.

Chłopak, któremu ksiądz zabrał kij, stanął w pierwszym szeregu grupy z trzydziestej pierwszej. Wyglądał na starszego od pozostałych. Podobno kilka razy nie zdał do następnej klasy. W pewnym momencie wybiegł do przodu i z całej siły rzucił kamieniem, krzycząc:

- No chodźcie, skurwysyny!

Trzydziesta trzecia odpowiedziała bez wahania. W kierunku drugiej strony również poleciały kamienie. Kłębiły się w powietrzu jak rój agresywnych pszczoł. Chłopcy z trzydziestej pierwszej rozpierzchli się. Większość odskoczyła na trawnik lub jezdnię. Ci, którzy nie zdążyli, odruchowo chronili głowy. Kamienie trafiły kilka osób w plecy oraz klatki piersiowe. Jeden stłukł lusterko przejeżdżającego samochodu. Zaskoczony tym kierowca nie zatrzymał się. Uderzał histerycznie w klakson, który wył na tarasujących drogę uczniów. Bluzgi i jęki bólu tych, co zostali trafieni, potęgowały uczucie gniewu. Przerażeni przechodnie pouciekali do klatek. Słyszac dochodzące z ulicy krzyki, ludzie wychodzili na balkony albo otwierali okna, by zobaczyć, co się dzieje.

Tymczasem wymiana trwała. Grad kamieni spadał raz na jednych, raz na drugich. Chłopcy podnosili je z ziemi i niemal natychmiast odrzucali z powrotem, jakby miały wybuchnąć im w rękach. Po dłuższej chwili przestali, ponownie złączyli

się w grupki jak winogrona w kiściach i stanęli naprzeciw siebie. Chłopak od kija zaciskał zęby, krzywiąc się z bólu. Dostał w plecy, gdy schylał się po kamień. Nie odwracał się jednak do kolegów, by nie okazywać słabości i nie dać po sobie poznać, że się bał. Wyciągnął z kieszeni kastet, który udało mu się bezpiecznie wynieść z kościoła, w przeciwieństwie do kija. Założył go na prawą rękę. Zrobił to powoli, demonstracyjnie, niemal jak na filmie instruktażowym, tak żeby każdy mógł to dokładnie zobaczyć. Chwilę potem wyszedł przed szereg i sprowokował kolejne starcie:

- Jedziemy z nimi, kurwa! - wykrzyczał, choć już nie tak żarliwie jak poprzednio.

Wystarczyło to jednak, by reszta ruszyła za nim, gdy wyrwał się do przodu. Trzydziesta trzecia zrobiła to samo. Biegli teraz na siebie niczym dwa dzikie plemiona w stanie wojny. Ludzie w oknach oraz na balkonach zaczęli dzwonić na policję. Zdezorientowani kierowcy jadący ulicą Pogodną zwalniali bądź zawracali. Nie minęło kilkanaście sekund, gdy obie szkoły zderzyły się z impetem. Kilku chłopców kopniętych z wyskoku na starcie upadło na chodnik. W ferworze bijatyki nikt nie próbował ich podnosić, więc zostali stratowani przez napierający tłum. Mateusz doskoczył do najbliższego przeciwnika i zaczął okładać go pięściami. Tamten bronił się, ale również oddawał ciosy. Obydwaj mieli w oczach strach tak wielki, że można by nim obdzielić batalion wojska otoczony przez wroga. Jedynie rozsadzająca ich od środka adrenalina sprawiała, że machali pięściami

coraz szybciej, mocniej, coraz bardziej zawzięcie. Karol z Piotrkim dopadli innego chłopaka. Podcięli mu nogę i przewrócili we dwóch na ziemię. Kopali go z całej siły w głowę oraz brzuch. Mateusz zapatrzył się na nich przez moment, a gdy ponownie odwrócił się w drugą stronę, nie był już w stanie zareagować na lądujący na jego żebrze kopniak. Stracił równowagę i upadł, uderzając głową o beton. Zamroczyło go. Kontury rówieśników rozmazały mu się jak makijaż zapłakanej kobiety. Ciemność stopniowo pochłaniała otaczającą go rzeczywistość. Bluzgi, odgłosy szarpaniny i trzeszczące kości z wolna milkły. Zdawało mu się, że odchodzą gdzieś daleko. Wsłuchiwał się w nie jeszcze przez chwilę, dopóki całkowicie nie odpłynął.

Bijatyka trwała bez niego kolejnych kilka minut. Popodbijane oczy, rozcięte wargi oraz krew nie zniechęcały żadnej ze stron. Ich zapach ostudziły dopiero dwie policyjne furgonetki, z których jedna podjechała pod kościół od ulicy Krańcowej, a druga - od Pogodnej, tak by odciąć uczniom drogę ucieczki. Ci w mgnieniu oka porozbiegali się. Policjanci wyskoczyli z furgonetek i zaczęli wyłapywać ich niczym hycle. Piotrek i Karol potrzęsali Mateuszem, pokrzykując:

- Wstawaj, kurwa! Spierdalamy!

Mateusz ocknął się. Spojrzał na nich skołowanym, półprzytomnym wzrokiem. Mrużył oczy, z trudem utrzymując opadające jak kurtyny powieki. Koledzy klepali go po twarzy, by znów nie zemdlał. Kopnięte żebro dawało o sobie znać,

ilekroć brał głębszy oddech. Wzbraniał się więc, próbując oddychać miarowo i płytko. Popatrzył na policjantów, którzy wrzucali uczniów do furgonetek jak worki kartofli. Bał się, że jego też to czeka. Myśl o rodzicach odbierających go z komisariatu z rozbitą głową i złamanym żebrzem paraliżowała go. Z letargu wyrwali go nagle koledzy, którzy siłą podnieśli go do pozycji stojącej.

- Dawaj, Mati, kurwa, bo nas psy zawiną!
- Czeka! Ale mnie napierdala, Jezu! - krzyczał Mateusz.
- Nie ma czasu, spierdalamy! - poganiali go.

Cała trójka pobiegła w kierunku bloków po swojej stronie dwupasmówki, przy czym Mateusz cały czas pozostawał kilka metrów za kolegami. Ci odwracali się, by upewnić się, że nie goniła ich policja. Przebiegli na czerwonym świetle przez przejście dla pieszych, by po chwili zniknąć w blokach. Mimo usilnych próśb Mateusza nie zwalniali tempa. Pędzili co sił coraz głębiej w osiedle. Minęli pierwszy plac zabaw, a potem kolejny, zostawiając Mateusza daleko w tyle. Zatrzymali się dopiero przy ostatniej klatce bloku, w którym mieszkał Karol. Zdyszani pochyłili się. Wspierając ręce na kolanach, oddychali szybko, zachłannie, dużymi haustami. Wyglądali teraz jak dwie lalki, w które ktoś na przemian wdmuchiwał i z których spuszczał powietrze.

Tymczasem Mateusz, pokonawszy pierwszy plac, odpuścił. Szedł z cierpką miną, trzymając się za zebro. Chwiejny krok znosił go w stronę żywopłotu, o którego gałęzie co rusz zahaczał. Ból żebra był obłędny. Zdawał się promieniować na mięśnie oraz płuca. Mateusz nie miał siły

iść. Spojrzał błagalnie na stojących pod klatką kolegów. Gdy ci już nieco ochłonęli, zaczęli uważniej obserwować otoczenie. Dzielilo ich teraz około sześćdziesiąt metrów, czyli dokładnie tyle, ile co semestr biegali na ocenę na zajęciach z WF-u.

Mateusz podszedł do karuzeli i przystanął. Dla pewności chwycił się mocno poręczy, gdyż kręciło mu się w głowie. Popatrzył na okna swojego mieszkania. Strach przed karą, jaka mogła go spotkać ze strony rodziców, nie dawał mu spokoju. Zastanawiał się, jak im to wszystko wytłumaczy. Co powie, gdy spytają o obrażenia? Do tej pory na pewno dowiedzieli się już o awanturze pod kościołem, a on przecież wciąż nie wracał z rekolekcji. A co, jeśli go widzieli? Albo któraś z sąsiadek? A może ojciec już od jakiegoś czasu szuka go po osiedlu? Wzdrygnął się na tę myśl.

Podniósł wzrok i rozejrzał się. Wokół nie było nikogo. Dochodziła właśnie pora obiadowa. Ludzie zasiadali do posiłków. On też usiadł, a właściwie osunął się na karuzelę. Westchnął głęboko, a westchnienie to było pełne rezygnacji. Myślał teraz o rodzinach przy stołach, o uśmiechniętych matkach gotujących zupy i ojciech wracających z pracy. Wpatrywał się przy tym w pustą piaskownicę, w której sam zwykł się kiedyś bawić. Piach w niej był jeszcze zimny i mokry, a murek lekko podniszczony srogą zimą. W kilku miejscach stopniały śnieg odsłonił przyschnięte, zmieszane z piaskiem psie kupy. Mimo tego młodsze dzieci tęsknie spoglądały z okien na piaskownicę, wyczekując z niecierpliwością nadchodzącej wiosny.

Z tego chwilowego zapomnienia wyrwało go wołanie kolegów:

- Mati, orient!

Ocknął się już drugi raz tego popołudnia. Obrócił głowę do tyłu. Na pierwszym placu pojawiło się pięciu chłopców z trzydziestej pierwszej, w tym trzech z kijami. Jeden z nich wskazał go palcem, a po chwili cała piątka ruszyła w jego stronę. Mateusz zerwał się z karuzeli. W przypiływie paniki początkowo zaczął uciekać w bok, ale oprzytomniał i zmienił kierunek na blok przy Sokolej. Grupa biegła dużo szybciej od niego, ale dystans do pokonania miała co najmniej dwukrotnie większy. Mateusz w biegu wołał kolegów:

- Piotrek! Karol! Ej! Ej!

- Mati, szybko! - odpowiadali tamci.

W przeciwieństwie do przerażonego i niemyślącego w tej chwili racjonalnie Mateusza, Piotrek i Karol doskonale wiedzieli, że nawet we trójkę nie mieli najmniejszych szans w starciu z piątką przeciwników. Ucieczka też nie wchodziła w grę. Z poobijanym Mateuszem nie daliby rady. Jedyńm wyjściem było schowanie się w klatce.

Piotrek wcisnął pierwszy od góry przycisk na domofonie. Zamiast głosu w słuchawce zza firanki w oknie na parterze wyjrzała starsza kobieta. Spojrzała na niego i Karola podejrzliwie. Piotrek bez zastanowienia wcisnął kolejny przycisk.

- Odbierz ktoś, kurwa! - krzyczał Karol do domofonu.

Nikt jednak się nie odzywał. Zdenerwowany Karol sam wcisnął kilka przycisków naraz. Obaj nasłuchiwali

w napięciu, przytuleni do głośnika. Czekali na jakikolwiek dźwięk lub szmer niczym zasypani w kopalni górniczy.

- Tak? - usłyszeli wreszcie.

- Poczta - odparł Karol, imitując niski, męski głos.

Drzwi otworzyły się. Chłopcy spojrzeli na siebie nawzajem z niepojętą ulgą, a następnie na Mateusza, który właśnie do nich dobiegał. Ci z trzydziestej pierwszej byli już niebezpiecznie blisko.

- Dawaj, Mati! Szybko! - pokrzykiwał Piotrek.

Mateusz pokonał próg klatki w pełnym biegu. Nie mogąc się zatrzymać, odbił się od naprzeciwległej ściany i omal nie upadł. Karol w ostatniej chwili zamknął drzwi od środka.

Kilka sekund później dopadła do nich piątka oprawców. Jeden z nich zaczął szarpać za klamkę. Inny uderzał kijem w domofon tak wściekle, że aż wgniół go w ścianę bloku. Pozostali patrzyli, czy nikt nie idzie. Mateusz z kolegami wbiegli na półpiętro, gdzie przez otwarte okno mogli wyjrzeć na zewnątrz. Daszek nad drzwiami częściowo zasłaniał im jednak widok.

Nagle na balkon na pierwszym piętrze wyszedł starszy mężczyzna i wzburzony powiedział do awanturników:

- Pójdiesz stąd jeden z drugim?! Bo zadzwonię na policję!

W odpowiedzi najbardziej krewki chłopak zbił szybę w drzwiach klatki. Drobnutkie kawałki szkła rozsypały się częściowo po korytarzu, a częściowo przed wejściem.

- Ty gnoju jeden! Dzwonię na policję! - grzmiał mężczyzna.

- To sobie dzwoń, ty stary skurwysynu! Społeczniaku jebany!

Trzasnąwszy drzwiami od balkonu, mężczyzna schował się do mieszkania i zasłonił żaluzje. Chłopak z kijem sapał jak pies. Trzęsły mu się ręce. Wyglądał teraz dość nieobliczalnie; nawet jego koledzy odruchowo odsuwali się od niego. Zbluzgał jeszcze starszego mężczyznę pod nosem, po czym podszedł do klatki i przez wybitą szybę wykrzyczał do ukrytej na półpiętrze trójki:

- Macie przejebane! I tak was dojedziemy! Tylko się, kurwa, pokażcie na trzy jeden!

Mateusz, Piotrek i Karol wymienili krótkie spojrzenia. Nie mówiły one nic poza tym, że wciąż były pełne niepokoju. Mateusz, który nosił okulary, co chwila je poprawiał, gdyż zsuwały mu się po spoconym nosie. Od momentu, kiedy tamci doskoczyli do bloku, żaden z nich nie powiedział ani słowa. W milczeniu obserwowali z półpiętra całą sytuację, modląc się w duchu, by napastnicy nie sforsowali drzwi. Odetchnęli z ulgą dopiero, gdy zobaczyli, jak ich prześladowcy oddalają się spod klatki. Dwu z nich odgrażało się jeszcze, wymachując kijami. Grupka wracała na swoją stronę dwupasmówki inną drogą, niż przyszła. Być może chcieli jeszcze kogoś poszukać.

Po kilku minutach wyczekiwania chłopcy zeszli na dół po schodach. Zrobili to niezwykle cicho, niemal bezszelestnie. Piotrek złapał delikatnie za klamkę i zaczął powoli otwierać

drzwi. Mateusz z Karolem patrzyli na niego jak na śmiałka, który uchyla rąbka jakiejś niebezpiecznej tajemnicy. Otworzywszy drzwi na oścież, wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się. Na balkonach było mnóstwo ludzi.

- Nie ma ich - stwierdził z całą stanowczością.

Mateusz z Karolem wychylili głowy z klatki. Chcąc upewnić się, że Piotrek miał rację, sami też się rozejrzeli. Było bezpiecznie, co nie zmieniało faktu, że z balkonów patrzyło na nich prawie pół bloku.

- Spadamy stąd, zaraz przyjadą psy. Ten facet na bank zadzwonił. Chodźcie, nie ma czasu - tłumaczył Piotrek.

Po chwili skręcili za blok i ruszyli w kierunku basenu na Łabędziej. Mateusz chciał wracać do domu, by dobrowolnie poddać się karze, jaka go czekała, ale bał się w tej sytuacji rozdzielać z kolegami. Patrzył na nich, zastanawiając się, czy myśleli tak samo.

czerwiec 1999

To była parna, duszna noc. Jeśli można ją było do czegoś przyrównać, to chyba tylko do nocy egipskich - suchych, próżniowych, bez grama tlenu. Mimo że liście bujnie rozkwitłych drzew błagały wiatr o choćby chwilowy powiew, ten pozostawał głuchy na ich lamenty i rozleniwiony odpoczywał wysoko ponad konarami. Dziesiątki gwiazd świeciły mocno, wyglądając jak rozsypany po niebie brokat, radośnie wysrebrzający granatową płachtę. Poukrywane w trawie świerszcze, jak przystało na mistrzów jednej melodii, grały swój koncert - co noc ten sam, ale za to znakomity. Bloki oddychały ciężko, a wraz z nimi ich mieszkańcy, którzy przekręcali się z boku na bok w swoich łóżkach, nie mogąc zasnąć. Asfaltowe chodniki z wolna stygły po całym dniu upału, deptania i odkształceń.

Gęste powietrze zdawało się przyklejać do skóry Mateusza, który stał pijany pod swoją klatką. Oparty o ścianę bloku, wsłuchiwał się w ciszę, przerywaną od czasu do czasu odgłosami rodzinnych awantur albo grzebiących w śmietnikach psów. Odpalił papierosa. Chciał jeszcze chwilę postać, zanim wejdzie na górę. Dym ruskich L&M-ów,

kupionych na pobliskim targu, nie ulatywał, lecz wisiał w powietrzu niczym mgła. Mateusz zaciągał się głęboko tą zawiesiną, co sprawiało, że coraz bardziej kręciło mu się w głowie. Palił więc powoli, pozwalając odpocząć płucom pomiędzy kolejnymi zaciągnięciami.

Do znajdującego się naprzeciwko klatki śmietnika weszła kobieta. Włączyła latarkę i zaczęła przeszukiwać kontenery. Zachowywała się cicho. Jej szperanie było wyćwiczone, a ruchy skoordynowane. Wylegujące się na maskach samochodów koty patrzyły na nią leniwie półprzymkniętymi ślepiami. Mateusz dobrze ją znał. Pracowała kiedyś jako szatniarka w trzydziestej trzeciej. Straciła pracę po tym, jak dyrektor nakrył ją w pokoju socjalnym z małpką. Wciąż pamiętał, jak ganiała go ze szmatą za niezmienione obuwie. Uśmiechał się teraz na te wspomnienia. Chętnie uśmiechnąłby się i do niej, ale najpewniej nie poznałaby go.

Przed wejściem do śmietnika czekał na nią jej pies. Przyglądał się cierpliwie hasającemu po kontenerach światłu. Kobieta zawsze zabierała go ze sobą, bo jak nikt inny darzył ją szacunkiem i był jej wierny. Choć stary i zmęczony życiem, każdej nocy niestrudzenie człapał ze spuszczoneym, sunącym po ziemi ogonem za ciągniętym przez nią wózkiem. Pomimo tego, że pewnie nie potrafiłby jej już obronić, kobieta czuła się lepiej, wiedząc, że był tuż za nią.

Ogony piwnicowych kotów, które wyczuwały potencjalne zagrożenie lepiej niż niejeden agent wywiadu, nawet nie drgnęły, gdy kobieta wyszła ze śmietnika i razem z psem przeszła między samochodami. Mateusz rzucił niedopałek na

chodnik i przygasił nogą. Wziął jeszcze trzy głębsze wdechy stojącego powietrza, po czym wszedł do klatki.

Wewnątrz było ciemno, ale nie zapalał światła. Znał na pamięć każdy schodek. Układały mu się w myślach niczym kostka Rubika osobie o przestrzennej wyobraźni. Zawsze wchodził po nich pewnie, przy czym po pijaku przeważnie trzymał się poręczy. Pokonawszy kilka partii, stanął przed drzwiami swojego mieszkania na drugim piętrze. Wyciągnął z kieszeni klucz. Bez problemu trafił nim w dziurkę i otworzył drzwi. Wszedł po cichu do środka, delikatnie zamykając je za sobą.

Obudził się w tej samej pozycji, w której wczoraj zasnął. Nie pamiętał, ile razy i czy w ogóle zmieniał ją tej nocy. Kołdra leżała na podłodze. Miał na sobie tylko slipy - na wypadek, gdyby ktoś nagle wszedł do pokoju. Okno było zamknięte, mimo że wczoraj wyraźnie prosił matkę, by zostawiła je na noc otwarte. Czuł nieznośną suchość w gardle, jakby ktoś w nocy zasypał je piaskiem. Sufit mu wirował, a w uszach dziwnie szumiało. Tak, imadło polibacyjnego poranka zgniatało mu głowę.

Odwrócił ją w kierunku budzika. Był kwadrans po jedenastej. Za ścianą słyszał domowników, którzy od jakiegoś czasu nie spali. Matka zmywała w kuchni naczynia. Już sam szum kranówki, który w normalnej sytuacji niektórych nawet uspokaja, nasilał u niego ból głowy. W drugim pokoju rozlegały się dźwięki bijatyki. To Marcin grał na Playstation.

Gdy wpadła mu w ręce wciągająca gra, na ogół zaraz po przebudzeniu włączał konsolę. Często rezygnował przez to z wychodzenia na dwór. Jego kumple nieustannie mieli do niego z tego powodu pretensje.

Mateusz usiadł na łóżku. Jeszcze bardziej zawirowało mu w głowie. Przetarł oczy i spojrzął w stronę okna. Promienie słońca zalały cały pokój i rozgościły się na meblach, ukazując długo nieścierany kurz. Jako że było już bardzo ciepło, dalszy sen lub chociażby drzemka stały się niemożliwe. Wstał i podszedł do okna. Otworzył je na oścież, by wpuścić do środka nieco świeżego powietrza.

Na zewnątrz dzieci bawiły się w piaskownicy, choć właściwie trudno to było nazwać zabawą, bo tylko wyrywały sobie łopatkami i sypały się piachem. Ich skąpani w upale rodzice obserwowali je, kartkując gazety tudzież rozwiązując krzyżówki. Ludzie wracali z zakupami z pobliskiego targu, mijani slalomem przez rowerzystów mknących alejkami. Jakiś chłopiec, ciut starszy od tych z piaskownicy, wspinał się na mirabelkowe drzewo. Koło tego samego drzewa jakiś pijak zaczepiał ludzi, żebrząc o drobne. Normalny dzień, nic szczególnego.

Po kilku minutach Mateusz otworzył rozsuwane drzwi pokoju i udał się do łazienki. Chciało mu się wymiotować. Nie był pewien, ale chyba zrobił to już raz w nocy. Chyba do reklamówki. A może to był woreczek? Zanim wszedł do łazienki, z kuchni zdążyła wychylić się matka i uśmiechnąwszy się do niego, powiedziała:

- Nooo cześć!

- Cześć.

- Jakiś niewyraźny jesteś. Ładnie tam było wczoraj pewnie, oj ładnie - mówiła to z sympatią, bez przekąsu czy cienia cynizmu. - Będziesz coś jadł? Zrobić ci jakieś śniadanie?

- No właśnie nie wiem, trochę kiepsko się czuję.

- Parę jajek i herbata jeszcze nikomu nie zaszkodziły. Zaraz postawi cię to na nogi, zobaczysz.

- No dobra, to usmaż, jak możesz. A są może świeże bułki? - zerknął na chlebak.

- Są.

- Aha, czyli byłeś już na targu?

- No coś ty, same przyszyły - tego ranka żarty trzymały się matki wyjątkowo dobrze.

- No, to fajnie, że wpadły - odwzajemnił się Mateusz, by po chwili zniknąć w łazience.

Jajka skwierczały na starej patelni, z której dawno już zszedł teflon. Ponoć to rakotwórcze, ale jakoś nikt z domowników specjalnie się tym nie przejmował. W czajniku elektrycznym gotowała się woda na herbatę. W samej kuchni było dość ponuro, a to dlatego, że nie wpadało tam światło, które zasłaniały wyprane prześcieradła wiszące na balkonie. Po krótkiej toalecie Mateusz wyszedł z łazienki.

- Takemu to dobrze! Późno wstanie, śniadanie zje, wakacje ma - znów zażartowała matka, dokładnie smarując świeże bułeczki masłem.

- Wystarczy tej szkoły na jakiś czas, nie?
- No, w sumie tak.
- No właśnie.
- A co masz dzisiaj w planach?
- Jeszcze nie wiem, chyba się pod Nową wybiorę na jakieś zakupy.
- Aha.
- Kupię sobie ze dwie koszulki.
- No, dobry pomysł.
- Wzięłaś już może jakieś pieniądze?
- Pieniądze? Tak, wzięłam.
- A dorzucisz mi coś?
- No nie wiem, ewentualnie ze trzy dychy ci mogę dorzucić, więcej nie. Jeszcze młodemu muszę coś kupić, bo nie ma w czym chodzić.
- Spoko, dobre i trzy dychy.
- A o której jedziesz?
- Zjem i pojedę.
- Aha.
- Zrobiłaś może herbatę?
- Tak.

Mateusz zerknął na herbatę. Wstążki pary wiły się z kubka ku górze. Ostrożnie wziął łyka. Herbata była mętna i miała posmak kamienia, który od dłuższego czasu osadzał się na grzałce czajnika. Nie powiedział tego matce, by jej nie urazić. W końcu poszła dla niego z samego rana po bułki i zrobiła śniadanie, chociaż nie musiała.

- Wiesz co, nie będę pić takiej gorącej. Weź dolej mi

trochę wody z dzbanka, jak możesz – poprosił.

- Już – odparła matka, podnosząc dzbanek. - A powiedz, zdążysz wrócić na obiad?

- Nie wiem, ile mi to zajmie, ale postaram się zdążyć.

- Dzisiaj będą kotlety. Najwyżej, jak nie zdążysz, to sobie odgrzejesz. Ja muszę jeszcze wyskoczyć na targ po większe zakupy.

- OK.

- Klucze masz?

- Mam.

- Zresztą w sumie Marcin i tak jest w domu. Od rana gra na konsoli – dodała, kręcąc głową z dezaprobatą.

- Domyślam się.

- No dobra, synek, ja uciekam. Do zobaczenia później!

- No, na razie.

Poszła do przedpokoju. Nie schylając się, założyła swoje ulubione klapki i wyszła z domu. Mimo że wewnątrz otwarte były teraz wszystkie okna, nie panował nawet lekki przeciąg. Jedyne powiew przyszedł z klatki po tym, jak matka otworzyła drzwi wejściowe, ale tylko chwilowy. Słyszając ją schodzącą po schodach, Mateusz wylał herbatę do zlewu. Gdy dojadł śniadanie, wytarł usta ścierką, a następnie wstał z taboretu i poszedł do pokoju młodszego brata.

Marcin siedział w piżamie na niepościelonym, rozkładanym fotelu. Spojrzał na Mateusza jedynie przelotnie, całkowicie absorbowana go gra. Usta miał na wpół otwarte, a w jego oczach odbijały się refleksy telewizora.

- Ile ty tak możesz łąć? – spytał zaczepnie Mateusz.

- Mogę - odparł nieco opryskliwie Marcin. - A co cię to w ogóle obchodzi? To ja łożę, nie ty.

Marcin nerwowo reagował na wszelką krytykę oraz cokolwiek, co brzmiało jak zarzut. Starszemu bratu często mówił, że się wymądrza. Dochodziło między nimi do regularnych spięć i kłótni. Do tego był bardzo skryty. Nie zwykł rozmawiać o swoich problemach. Jeśli już zwierzał się komuś, to byli to raczej koledzy z osiedla.

- Kurwa, ale trudny ten boss! - irytował się, a pad wibrował mu w rękach. - Jego się nie da przejść!

- Pewnie, że się da.

- No to masz, cwaniaku! - wyciągnął pada w kierunku Mateusza. - Dawaj, jak taki twardy jesteś! Przecież ty nawet ciosów nie znasz!

- No jak to nie znam! - protestował Mateusz. - Mówię ci tylko, że się da, bo widziałem zakończenie. Musisz po prostu od niego uciekać i dużo się bronić.

- Ale jak się bronię, to też mi energia schodzi! A obczaj, ile on ma energii! Chuj, ostatni raz spróbuję!

Szło mu nawet całkiem nieźle, ale w decydującym momencie popełnił kilka błędów i boss zabił jego bohatera.

- Widzisz? Nie da się!

- Da się, mówię ci...

- Dobra, ostatni raz, na spokojnie!

Wiedząc, że „ostatnich razów” będzie jeszcze co najmniej kilka, Mateusz wstał z kanapy i poszedł do przedpokoju. Założywszy buty, wyszedł z domu. Marcin nie zwrócił na niego uwagi. Patrzył w telewizor, przysuwając głowę coraz

bliżej ekranu oraz wystukując na padzie kombinacje ciosów.

Pod sufitami na klatce tańczyły muchy. Każda realizowała swój własny, asynchroniczny, pokrętny układ choreograficzny. Przez drzwi jednego z mieszkań przebijał przeciągły lament dziecka, które wrzeszczało wniebogłosy z przerwami na wpychaną mu przez matkę w usta łyżeczkę. Mateusz schodził po schodach, licząc po drodze pieniądze w portfelu.

Gdy zszedł na półpiętro między parterem a pierwszym, zobaczył w rogu świeżą, rozległą kałużę moczu, a obok niej swojego ojca leżącego na posadzce. Przeszywający smród moczu mieszał się z wonią parzonej kawy, pieczonego ciasta oraz aromatycznych przypraw, które zakradały się z mieszkań na klatkę. Wstążki tych zapachów plątały się ze sobą jak łańcuchy DNA. Mateusz zakrył nos dłonią, a jego czoło momentalnie zmarszczyło się w odruchu obrzydzenia. Ojciec leżał bezwładnie w pozycji wpełchrystusowej, z lewą ręką przy ciele, a prawą rzuconą prostopadle na kaloryfer. Opalona twarz nie dodawała mu uroku, jak innym mężczyznom, a jedynie nieco przykrywała liczne posiniaczenia oraz z wolna przysychające strupy. Jego prawa powieka była opuchnięta. Przybrała ciężaru, ściągając skórę nad okiem lekko w dół, co powodowało nienaturalną asymetrię w linii oczu. W uchu zebrało się sporo krwi. Część z niej krzepła, pozostała zaś spływała po małżowinie, kapiąc na posadzkę. Ojciec miał wąskie usta, pożółkłe zęby,

miejskami ubytki. Na czoło opadały mu długo niestrzyżone włosy, na przemian siwe i kruczoczarne, niemal równo odliczone. Za paznokciami miał brud, a opuszki palców przybrały silnie pomarańczową barwę od hurtowo spalanych papierosów. Był wyraźnie wychudzony. Wyglądał na osobę, która jadła nieregularnie, a jeśli już, to na pewno nie były to ciepłe posiłki. Wystające kości policzkowe okrutnie zniekształcały owal jego twarzy. Obok niego leżały rozsypane pomidory, nadgryziony bochenek chleba oraz plastikowa butelka po coca-coli, z której częściowo wylał się rozrabiany spirytus.

Dla Mateusza widok ten był co prawda niecodzienny, ale nie na tyle, by szokować. Od jakichś dwóch lat jego ojciec był wrakiem człowieka i niepoprawnym alkoholikiem. Zaczęło się w dziewięćdziesiątym siódmym, kiedy to stracił pracę w Lubzelu. Chodził pijany na odczyty liczników i któregoś dnia ktoś stracił cierpliwość i na niego doniósł. Kontrolerzy z zakładu zbadali sprawę i po powrocie z przymusowego urlopu dostał wymówienie. Wziąwszy pod uwagę jego staż pracy, szefostwo zaproponowało mu rozwiązanie umowy za porozumieniem stron. Zbyszek odmówił. Sprawa wylądowała w sądzie. Po kilku rozprawach doszło do ugody, w ramach której Zbyszek dostał spore odszkodowanie, ale pracy już nie odzyskał. Za pieniądze kupił pralkę, parę innych rzeczy i zrobił remont w kuchni. Resztę sukcesywnie przepijał. Ciągle zapewniał, że miał już „nagrana” nową pracę i tylko czekał na telefon od kolegi. Ale telefon milczał. Po jakimś czasie z ulubionej „Perełki” przerzucił się na zwykłą pryte,

bo bardziej ekonomiczna i lepiej waliła w głowę. Reszta historii, z krótkimi przerwami na odwyki, wyglądała mniej więcej tak, jak teraz na tej klatce.

W pewnym momencie Zbyszek otworzył oczy, a właściwie tylko jedno, gdyż nie był w stanie udźwignąć drugiego. Próbował podnieść się, bezskutecznie zmuszając swoje mięśnie do prostych skurczów i rozkurczów. Krew sączyła mu się z ucha, spływając po policzku oraz szyi, wsiąkając wreszcie w brudny kołnierz koszuli. Dostrzegłszy Mateusza, wykrzyczał:

- I co się tak patrzysz, bękarcie ciechanowski, nie masz bliższej rodziny?!

- No niestety - odpowiedział Mateusz.

- Do mamusi wypierdalaj!

- Dałbyś już z tym spokój, nudne to się robi.

- Nudne? Niech ci w końcu powie prawdę, jak się jebała na podłodze w kuchni z niejakim Chmielewskim!

- Z kim?

- Z twoim tatusiem!

- Moim?

- A czym?! Twoja mamusia to jest dobra dziwka, nie bój się. Jak tak, to świętą udaje, do kościółka zapierdala, ale skurwić to się potrafiła.

- Na odwyk byś lepiej poszedł, a nie głupoty gadasz. Zobacz, jak ty wyglądasz.

- A weź ty się ode mnie odpierdol! Dla mnie jesteś zwykłym bękartem!

- Nie denerwuj się tak, *tato* - to ostatnie słowo Mateusz

zaakcentował celowo, dla lepszego efektu ironii.

- Ja nie jestem twoim ojcem, kiedy to w końcu zrozumiesz?

- Skoro tak, to nie prosź mnie więcej o żadną pomoc - powiedział Mateusz stanowczo, a jego brwi zbiegły się ku sobie, nadając twarzy srogiego wyrazu.

- Ja *ciebie*? O pomoc? Nie rozśmieszaj mnie! Gdyby nie ja, to by cię tu w ogóle nie było! Dalej byś siedział w Ciechanowie z karaluchami! Przygarnąłem cię, ty najduchu, a ty mi się tak odwdzięczasz?!

- Powiem ci, że z dnia na dzień coraz większe bzdury opowiadasz - Mateusz kręcił głową.

- Może nie?! Już nie pamiętasz, jak siostrunia twojej mamusi sprzedała mieszkanie za długi i poszła w slumsy?! Tego nie pamiętasz?! Gdyby nie ja, to byś tam teraz siedział i gnił! Taka jest prawda!

- No nie wiem.

- A co ty tam możesz wiedzieć, bękarcie. Byłeś tam chociaż? Widziałeś?

- Byłem, ale karaluchów jakoś nie zauważyłem.

Mateusz skłamał. Ostatni raz był w swoim rodzinnym mieście wiele lat temu na pogrzebie wujka po tym, jak jakiś pijak dźgnął go nożem pod jego własnym blokiem. Ponoć za długi.

- No, to jak nie ma, to zabieraj mamusię i się wyprowadź!

- Sam się wyprowadź.

- Ja? Niedoczekanie! To jest *moje* mieszkanie! - grzmiał

ojciec.

- Nie twoje, tylko komunalne.

- Ja tu mieszkam czterdzieści lat, a ty?!

- A jakie to ma znaczenie?

- Właśnie, że ma!

- Nie ma.

- Do Chmielewskiego wypierdalaj! Ale już!

- Powinieneś się leczyć, człowieku, jesteś chory...

- Jak cię zaraz pierdolnę! - ojciec pogroził mu pięścią. -
Zejdź mi z oczu, zanim stracę cierpliwość!

- Z przyjemnością!

Mateusz zdecydowanym krokiem przeszedł obok ojca, nie patrząc mu w oczy. Ominął kałużę moczu i zszedł po schodach na parter. Na dole, przy drzwiach do piwnicy, leżał tłący się niedopałek, reklamówka z półnągą kobietą oraz kolejnych kilka pomidorów. Zdenerwowany Mateusz kopnął jeden z nich. Pomidor odbił się od ściany, a następnie zaczął toczyć się w jego kierunku, zostawiając za sobą ślady miąższu na posadzce. Nie mogąc dłużej znieść fetoru moczu oraz stękania ojca, który chwycił się teraz mocowań poręczy i próbował wstać, wyszedł z klatki.

Na zewnątrz było upalnie. Powietrze zdawało się parować jak przy odcedzaniu ziemniaków, a przygniecione żarem bloki uginały się w posadach. Mateusz odpalił papierosa, lecz nim zdążył się zaciągnąć, usłyszał z okna wołanie Marcina.

- Mati!

- Co?!

- Przeszedłem!

- Co?!

- Przeszedłem tego bossa, czaisz?! - ekscytował się młodszy brat.

- To spoko - odparł zniżonym tonem Mateusz, nieszczególnie zainteresowany tym osiągnięciem.

Po tej krótkiej wymianie zdań ich spojrzenia rozbiegły się. Zapanowała chwila ciszy, podczas której Marcin rozglądał się z okna po okolicy, a Mateusz ćmił swojego ruskiego L&M-a.

- Ty, Mati! - znów odezwał się Marcin, tym razem jakby zaalarmowany.

- Co?!

- Stara wraca z targu! Lepiej gaś szluga!

Płuca Mateusza pospiesznie zagarnęły dla siebie ostatnie, łakome kąski dymu, jakby w obawie, że nieprędko dostaną szansę, by tę przyjemność powtórzyć. Mateusz przydeptał niedopałek na chodniku i ruszył przed siebie, udając, że dopiero co wyszedł z domu. Przechodząc obok śmietnika, pozdrowił matkę ręką. Ta odwzajemniła się tylko uśmiechem, gdyż w obu rękach trzymała torby z zakupami. Mateusz nie palił przy matce. Uważał, że pierwsza klasa liceum to jeszcze odrobinę za wcześnie, by się z tym afiszować, mimo że część jego kolegów już oficjalnie paliła w domu, a niektórzy nawet robili to z rodzicami „na pojury”. Kusilo go, żeby się przyznać, bo pokątne palenie stawało się coraz bardziej uciążliwe, ale nie chciał niepotrzebnie

denerwować matki; miała już wystarczająco dużo problemów na głowie, wśród nich również ten na klatce.

styczeń 2000

Duże, wielokształtne płatki śniegu opadały wolno, osiadając na maskach samochodów, chodnikach, parapetach, jak również przykrywając całe podwórka i place zabaw. Dachy okolicznych bloków ugiwały się pod ciężarem jego grubych warstw. Śnieg padał nieprzerwanie od dobrych kilku dni. Tego wieczoru sypał z nieba równo, nieszarpany nagłymi zrywami wiatru. Latarnie wzdłuż ulic jarzyły się jasnym światłem, nadając bieli opadających płatków wyjątkowego blasku. Ubrane w białe futra drzewa nie straszyły już jesienną nagością. Pod wpływem mrozu śnieg chrupał pod butami nielicznych o tej porze przechodniów. W zasięgu wzroku nie było za to żadnych kotów; te dawno już zamieniły ulice na przytulne piwnice, gdzie teraz najpewniej wylegiwały się, pochlipując mleko i oblizując się po resztkach z obiadów, które wynosiły im niektóre starsze panie.

Na jednej z klatek w bloku przy ulicy Krańcowej 109 paliło się światło. Stała tam chyba jakaś grupka paląca papierosy, bo przez uchylony lufcik wydobywały się gęste kłęby dymu. Na pozostałych klatkach światła były zgaszone,

a korytarze i schody spowiła senna atmosfera mroźnego, zimowego wieczoru. Jedynym urozmaiceniem tej monotonnej jednostajności były światła mieszkań, które zapalały się i gasły w przypadkowej kolejności, tworząc na fasadach bloków falujące mozaiki.

Zjawisku temu przyglądał się Zbyszek, idąc, a właściwie zataczając się, po chodniku. Ślady butów, które zostawiał za sobą w śniegu, były nieliniowe. Pojawiały się raz po prawej, a raz po lewej stronie chodnika, miejscami nakładając się na siebie. Co chwila przystawał, chwiał się, strącał śnieg z żywopłotu. Jego chód był niepewny, a gwałtowne, niekontrolowane ruchy przecinały tor równo opadających płatków. Ruchy te były na tyle nieprzewidywalne, że nawet skradający się za nim cień zdawał się imitować je z opóźnieniem.

Ubrany był lichy. Miał na sobie lekką, ortalionową kurtkę w niemodne wzory, wytarte, poplamione dzinsy, których kolor trudno byłoby teraz precyzyjnie określić, a także przesiąkające, jesienne półbuty, całkowicie niepraktyczne o tej porze roku. Skarpetki miał przemoczone, a przewiewne ubranie przepuszczało mróz jak nieszczelne okna. Nie miał szalika, czapki ani rękawiczek. Jego uszy płonęły intensywną czerwienią, która w świetle latarni mieniła się różnymi odcieniami. Śnieg osiadał na jego włosach, szybko rozplływając się na nich i ustępując miejsca coraz to nowym, świeżym płatkom. Lewa ręka, wysunięta przed siebie, pomagała mu utrzymywać jako taką równowagę, a prawa zdawała się przymarzać do szyjki butelki taniego wina, którą

ściskał w dłoni. W miarę, jak zbliżał się do swojej klatki, zaczynał słyszeć wyrwane z kontekstu słowa. Przypominały mu one bardziej dźwięki niż fragmenty rozmowy. Różniły się od siebie nie tyle sensem, co akcentem, barwą.

Skręcił w lewo. Od drzwi klatki dzieliło go teraz kilka kroków. Śnieg w tym miejscu był udeptany. Odbite w nim były ślady ciężkich, zimowych butów, które, choć z wolna zanikały, wyraźnie różniły się od tych zostawianych przez półbuty Zbyszka. Na drzwiach widniały numery mieszkań, częściowo zamalowane srebrną farbą w sprayu przez wandalów. Firanki w większości okien były zasłonięte i tylko na parterze za jedną z nich pojawiła się staruszka i zaczęła obserwować chwiejącego się na nogach Zbyszka. Światło w jej pokoju było zgaszone, a całą przestrzeń za firanką wypełniała ciemność. Kobieta miała siwe, kręcone włosy, które kontrastowały z głębokim, ciemnopiwnym kolorem jej oczu. Zwiotczała, oklapnięta skóra na jej twarzy była nie tyle oznaką starości, co brutalnie odebranej witalności, nagle utraconego gdzieś życia.

Zbyszek z trudem utrzymywał równowagę. Kołysał się wprzód i w tył oraz na boki. Mówił coś do siebie, ale ruchy warg oraz mimika twarzy zdradzały, że były to raczej nieudolne próby wysłowienia się lub zwykły bełkot, niezrozumiały pewnie nawet dla niego samego. Gestykulował przy tym namiętnie lewą ręką, w prawej dzierżąc butelkę wina. Nagle zachwiało nim tak mocno, że runął bezwładnie na przykryty puszystym śniegiem, niewielki trawnik, znajdujący się tuż przy wejściu do klatki. Powieki staruszki

uniosły się w zdumieniu, a rozdziawione usta utworzyły przestrzeń dla nerwowo wdychanego powietrza. Czym prędzej zasłoniła firankę, zostawiając jedynie wąski przesmyk, przez który mogła patrzeć już tylko jednym okiem.

Na nietkniętej dotąd warstwie świeżego białego puchu powstało wgłębienie, w którym zatopiła się sylwetka Zbyszka. Śniegu napadało tyle, że leżący w nim nieruchomo dorosły mężczyzna mógł być widoczny wyłącznie z pozycji stojącej, i to przy odpowiednim wzroście obserwatora; małe dziecko zapewne przeszłoby obok, nie zauważając go. Mimo upadku Zbyszek nie wypuścił butelki z ręki. Chwilami wydawało się, że jest ona do niej przytwierdzona na stałe. Próbował podnieść się, machając rękami i nogami niczym żółw, którego ktoś złośliwie położył skorupą do dołu. Tworzył przy tym na śniegu niezgrabne, wykoślawione pajacyki. Na usta cisnęły mu się przeróżne przekleństwa. Gdyby tu i teraz skonał, niezwykle trudno byłoby obrysować jego ostatnią pozycję.

Staruszka zniknęła w ciemnościach swojego mieszkania. Dookoła nie było już żadnego przechodnia. Za to śnieg rozpadał się na dobre. Zacinał teraz ukośnie pod wpływem zrywającego się wiatru. Światła mieszkań systematycznie gasły bądź ustępowały miejsca nieśmiałym światłom lampek albo padającym gdzieś na zasłony odbłaskom telewizorów. Zbyszek siedział w śniegu z rękami zawieszonymi na zgiętych kolanach. Mówił coś bełkotliwie,

przyznając sobie rację, by następnie wyprzeć się dopiero co wypowiedzianych słów. Patrzył tępo na wydobywający się przez lufcik papierosowy dym. Niewyraźne kontury postaci obserwowały go z zaciekawieniem. Pogroził im pięścią, po czym zaczął macać się po kieszeniach, szukając papierosów. Znalazł kilka luzem w bocznej kieszeni przemoczonej kurtki. Nie były schowane w paczce, gdyż kupił je na sztuki kilka godzin wcześniej, u mężczyzny w trzeciej klatce, zwanego popularnie „Siatkarzem”. Jednego złamał niechcący przy wyciąganiu z kieszeni, dwa inne były mokre i tylko jeden nadawał się do palenia. Trzymał go delikatnie palcami jak bezcenny relikw. Włożył go w usta, przyciskając wargami, by nie wypadł w śnieg. Szukał nerwowo zapalniczki. Nie było jej ani w kieszeniach kurtki, ani w spodniach. Rozglądał się wokół siebie, odgarniając śnieg. Po kilku chwilach znalazł ją wreszcie na wysokości mniej więcej prawego buta. Wygrzebał ją ze śniegu i zmarzniętymi palcami zaczął przekręcać ząbkowane koło krzesiwa, usiłując wydobyć z niej choćby iskrę. Jednakże mechanizm zapalający zamókł, a plastikowy korpus ozdobił wzorzysty szron. Mimo licznych prób nie udało mu się wykrzesać płomienia, dlatego cisnął zapalniczką o ścianę bloku. Tymczasem zacinający śnieg osiadał na bibułce papierosa, którego trzymał w ustach. Również i ten nie nadawał się już do palenia.

Postanowił wstać i wejść do klatki. Zmienił pozycję z siedzącej na klęczącą, po czym, podpierając się lewą ręką, ostrożnie prostował kolana. Gdy już stanął na proste nogi, odczekał chwilę, by odzyskać równowagę. Poczawszy się

nieco pewniej, zaczął iść w kierunku drzwi. W końcu chwycił za klamkę i otworzył je. W prawej ręce wciąż trzymał butelkę wina.

Pomimo tego, że lufcik na półpiętrze, na którym stała wspomniana grupka osób, był uchylony, dym papierosowy częściowo przesłonił sufit oraz ściany niczym pierzaste chmury. Chwilami wydawało się, że aby zobaczyć, co dokładnie znajduje się za zawieszonymi w powietrzu kłębami, należało odgarnąć je jak gęsto utkane pajęczyny. W momencie, gdy Zbyszek wszedł do klatki, głosy z półpiętra przeszły w szept, a wiatr z dworu rozwiął opary wiszące nad pierwszą partią schodów. Spłoszony dym schował się w skrzynkach na listy oraz pod wycieraczkami, przeciskając się również do mieszkań przez szczeliny w futrynach.

Na lewo znajdowały się drzwi do piwnicy. Zbyszek oparł się o nie plecami. Odchylił głowę do tyłu i przymknął oczy, lecz po chwili znowu je otworzył. Ilekroć pozwalał odpocząć zmęczonym powiekom, kręciło mu się w głowie tak bardzo, że z trudem utrzymywał się na nogach. Rozpiął swą ortalionową kurtkę pod wpływem ciepła płynącego z rozgrzanych kaloryferów. Patrzył na posadzkę, gdzie zalegała kałuża wody oraz błoto pośniegowe. Włącznik światła był zablokowany zapalką, tak by zebrana na półpiętrze między parterem a pierwszym grupka nie musiała co trzy minuty schodzić i go włączać. Napisy na pomazanych grubym, czarnym flamastrem nie mówiły Zbyszkowi wiele.

Niestarannie pociągnięte linie oraz litery wiły się jak pełzające po ścianie węże. Nie wczytując się zbytnio w tę plątaninę, spojrział na schody. Jego mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze czteropiętrowego bloku, co oznaczało dystans pięciu partii stopni do pokonania. Już na samą myśl o tym robiło mu się gorąco. Na plecach wystąpiły mu krople potu. Chciał zrezygnować z wchodzenia i położyć się na starej kanapie, którą trzymał w piwnicy. Kurz, brud i roztocza nagromadzone w starym meblu nie zniechęcały go; spał tam nie raz. Wiedział, że wchodząc na górę, ryzykował nie tylko tym, że może w ogóle nie zdołać tam dotrzeć, lecz także tym, że w takim stanie rodzina i tak pewnie nie wpuściłaby go do domu. Nie ruszał się więc z miejsca. Nie potrafił lub nie miał odwagi postawić pierwszego kroku.

Zamyślił się. Błądził teraz w pełnym zawiłych korytarzy labiryncie myśli, z którego nie umiał się wydostać. Przeróżne postacie i wydarzenia kotłowały się w jego głowie, tworząc nedorzeczne wizje z pogranicza snu, jak przy czterdziestostopniowej gorączce. Rozmyślanie nie przychodziło mu łatwo, gdyż alkohol plądrował jego umysł ze wszystkich kosztowności: dat, faktów, chwil, emocji. Nie bez wysiłku przywoływał w pamięci fragmentaryczne, pomieszane wspomnienia. Patrzył nieobecny wzrokiem na trzymaną w prawej ręce butelkę, po której ściekały drobniutkie kropelki wody. Na palcach lewej ręki wyliczał lata, w których ta i inne butelki mu towarzyszyły. Gdy zabrakło mu już palców, z nagłą posmutniał. Spojrział na

swoje brudne dłonie. Spoglądał tak czasem na nie w chwilach przygnębienia, doszukując się w nich jakiegoś znaku, sensu lub choćby potwierdzenia swojego człowieczeństwa. Z każdym kolejnym rokiem jego linie papilarne zanikały; stawały się krótsze, mniej wyraźne. Podobnie jak jego wędrówka na przestrzeni tych lat, których próbował się doliczyć, tak i one prowadziły donikąd. Miały swój początek, ale nie miały końca. Przerazało go to poczucie nieskończoności. Spośród wszystkich rzeczy, które znał i rozumiał, najbardziej bał się niepewności, tego, że kres jego udręki może być nieoznaczony, nie tyle bliski czy daleki, ale właśnie nieoznaczony.

Jego oddech nieco się unormował. Pot ustąpił, a towarzyszące mu dotąd rozdrażnienie zelżało. Zebrał ślinę i splunął na kałużę wody na posadzce. Na jej powierzchni pojawiły się zmarszczki, odchodzące falami wokół punktu, w którym ślina spadła. Na klatce zrobiło się bardzo ciepło. Po dłuższej chwili przerwy znów rozległy się głosy na półpiętrze, choć jakby bardziej stonowane. Ruszył w górę, podpierając się o ścianę, jako że wzdłuż pierwszej partii schodów, podobnie jak w okolicznych blokach, nie było poręczy. Stawiał małe, ostrożne kroki. Patrzył uważnie na kolejne stopnie, bacząc, by żaden nie umknął jego uwadze. Przez judasza przyglądała mu się staruszka. Przystanął na chwilę, by pobłądzić dookoła wzrokiem. Na każdym piętrze znajdowały się liczniki energii elektrycznej. Wskaźniki kręciły się wokół osi tarcz, jedne szybciej, inne wolniej, a cyferki zmieniały się w rytm zapalanych świateł,

wirujących pralek, żelazek czy kuchenek mikrofalowych. Na lewej ścianie, tuż pod sufitem, zamontowana była skrzynka telewizji kablowej. Zdarzało mu się otwierać ją, by podłączyć sobie telewizję na lewo.

Obrócił głowę w kierunku kolejnej partii schodów. Na jej szczycie stała grupka zakapturzonych chłopców w wieku około siedemnastu lat. Patrzyli na niego w milczeniu, wymieniając między sobą krótkie spojrzenia. Na parapecie stały puste puszki po piwie, do których chłopcy wrzucali niedopałki. Jeden z nich stał blisko rozgrzanego kaloryfera, kolejnych dwóch przy skrzynce na listy. Wszyscy trzymali ręce w kieszeniach.

Zbyszek nie zwracał na nich uwagi. Trzymał się mocno ciemnozielonej poręczy i wchodził po schodach. Dopiero gdy dzielił go od nich zaledwie krok, podniósł wzrok, spojrzawszy nawet nie tyle na nich, co przed siebie.

- Dobry wieczór - powiedział jeden z chłopców, nie wyjmując rąk z kieszeni.

Pozostała dwójka spoglądała to na Zbyszka, to na trzymaną przez niego butelkę. Zbyszek chciał odwzajemnić przywitanie, ale nie zdążył zauważyć komu.

- Może pomóc, panie Zbyszku? - zaproponował chłopak stojący przy kaloryferze, który znał Zbyszka od małego.

Zbyszek, jakby na przekór jego słowom, pewnie przestąpił ostatni schodek i stanął przed nim z miną sadystycznego kaprała. Chociaż nadal chwiał się na nogach, puścił się poręczy. Oddychał teraz bardzo ciężko. Zionął na chłopaka alkoholem. Ten odruchowo odwracał głowę.

- Pomóc? Chyba cię pokręciło! Myślisz, że ja potrzebuję twojej pomocy? Ja se dam radę, niech cię głowa o to nie boli - powiedział do chłopaka, klepiąc go mocno kilka razy w tył głowy (w zamierzeniu z sympatii, ale chyba nie miał w tym momencie wycucia siły).

Chłopak odchylił się i zrobił jeden krok w tył, bo na więcej na półpiętrze nie było już miejsca.

- Pan go zostawi - odezwał się drugi, nie rozumiawszy intencji Zbyszka, ale jego słowa nie zabrzmiały zbyt stanowczo.

- A ty co?! Masz jakiś problem?! - zagrział Zbyszek.

- Ja? Nie... - wystraszył się chłopak.

- Nie? A co wy tu w ogóle robicie?

- Czekamy na Mateusza.

- Na Mateusza?

- Tak, ma zaraz zejść.

- A po co na niego czekacie?

- No, żeby wyszedł na dwór...

- Na dwór, na dwór - Zbyszek powtórzył to chyba jeszcze trzeci raz, ledwie słyszalnie, kręcąc przy tym głową, jakby to, co mówił do niego chłopak, w ogóle go nie obchodziło.

- Macie ogień? - spytał po chwili.

Jeden z chłopców wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i podał mu ją. Zbyszek wziął ją od niego i spróbował odpalić nią swojego ostatniego papierosa.

- Nie odpali pan go już, pewnie jest mokry - zauważył pierwszy z chłopców. - Pan się poczęstuje - wyciągnął w jego kierunku paczkę L&M-ów ze znajomą, ruską banderolą.

Zbyszek wyrzucił na podłogę zamoczonego papierosa i wziął nowego od chłopaka. Odpalił go bez problemu.

- Dzięki - powiedział oschłym tonem, szybko i łapczywie zaciągając się dymem. - No! Tylko mi się tu nie awanturować! - rzucił jak przekupiony flaszką stróż.

Pogroził jeszcze każdemu z osobna palcem i poszedł dalej. Chłopcy odprowadzali go wzrokiem. Poczuli ulgę, mogąc zrzucić z siebie gniewne spojrzenie pijanego mężczyzny. Nie zastanawiając się długo, opuścili półpiętro, zostawiając na parapecie puste puszki po piwie. Nie zamknęli okna. Schodząc po schodach, wyciągnęli blokującą włącznik światła zapalniczkę i wrzucili ją do kałuży wody na posadzce. Chwilę później byli już na zewnątrz.

Po niespełna kilku minutach światło na klatce zgasło i tylko żar palonego przez Zbyszka papierosa tańczył w ciemnościach niczym świetlik. Na zewnątrz wiatr szarpał padający śnieg jak rozsierzony mąż przyłapaną z innym żonę. Jedna z puszek spadła z parapetu, swoim metalicznym, aluminiowym echem przerywając melodię hulającego za oknami wiatru. Światła mieszkań przebijały przez futryny, wychylając się ciekawsko spod drzwi, nie dalej jednak niż na wycieraczki. Wskazówki na tarczach liczników energii zataczały coraz wolniejsze koła, zmęczone całodziennym pędem.

Zbyszek pokonywał właśnie ostatnią partię schodów. Zaciągnął się ostatni raz papierosem, a następnie wyrzucił

go na podłogę, nie gasząc. Żar tlił się przez krótki czas na zimnym betonie, lecz z każdą sekundą bladł, pochłaniany przez otaczającą go ciemność, aż po ostatni, jasny punkt.

Zbyszek stanął naprzeciwko drzwi swojego mieszkania. Oparł się jedną ręką o ścianę i przytulił do niej czoło. Chłód muru orzeźwił jego umysł. Za drzwiami słyszał roześmianych domowników. Wybuchy śmiechu zdawały się być dokładnie zsynchronizowane. Pojawiały się i znikwały niemal w równych odstępach. Po chwili przysłuchiwania się, wyciągnął z kieszeni klucz. Po omacku próbował nim trafić do dziurki, lecz bez powodzenia. Klucz obijał się o drzwi i klamkę.

Śmiechy nagle ucichły. Światło schowało się z wycieraczki do mieszkania. Zbyszek zatoczył się do naprzeciwległej ściany, by zapalić światło na klatce, a następnie wrócił, by włożyć klucz do dziurki. Przekręcił go, ale drzwi nie drgnęły. Były zamknięte na zasuwę tak, że można je było otworzyć tylko od wewnątrz. Zastukał. Trzy, cztery błyskawicznie następujące po sobie, niecierpliwe stuknięcia kostkami zgiętych palców. Usłyszał szmery i szepty domowników krzątających się po przedpokoju. Czuł ich obecność za drzwiami, mimo że starali się zachowywać cicho. Zacisnął pięść i zapukał po raz kolejny. Trzy, cztery błyskawicznie następujące po sobie, mocne uderzenia. Dalej nic. Nachylił się i zajrzał do środka przez dziurkę od klucza. Było ciemno. Wyprostował się, ponownie zacisnął pięść i uderzył w drzwi. Trzy, cztery błyskawicznie następujące po sobie, wściekłe uderzenia. Zaraz potem kolejne trzy i jeszcze

trzy.

- Otwieraj, ty kurwo! -wydarł się. - Otwieraj, bo zobaczysz! Wiem, że tam jesteś! Ja chcę tylko położyć się spać! - zapewniał.

Przez judasza patrzyła na niego żona. Po swojej lewej miała młodszego syna, a po prawej starszego, którzy przytrzymywali na wszelki wypadek drzwi, jednocześnie przystawiając do nich uszy.

- Otwieraj, słyszysz?!

Domownicy nie reagowali.

- Jesteś zwykłą dziwką! Otwieraj, bo ci kreta wpuszczę w tę twoją pizdę, to cię przeczyści!

Mateusz i Marcin byli przyzwyczajeni do najgorszych epitetów lecących z ust ojca w stronę matki. Na tym etapie choroby ojca nie były one już ani przykre, ani niesmaczne.

- Bo rozpiardolę drzwi! Nie wierzysz?! No to patrz!

Kopnął z całej siły w drzwi. Huk zatrzęsł na wpół uśpioną klatką, a echo rozeszło się po wszystkich piętrach. W mieszkaniu sąsiadki, pani Kozłowskiej, zaczął szczekać pies.

- Cicho, Joker! - krzyknął Zbyszek rozkazującym tonem.

- Cicho, mówię! - powtórzył.

Rozpoznawszy znajomy głos, pies przestał szczekać, a zaczął skomleć.

- Otwieraj te jebane drzwi!

Po drugiej stronie nadal nikt się nie odzywał.

- Tak? Sama tego chciałaś!

Światło na klatce ponownie zgasło. Chłopcy

przysłuchiwali się przez drzwi ciężkiemu sapaniu ojca, który dostał zadyszki od wykrzykiwanych słów. Słyszeli teraz jego głębokie, głodne powietrza oddechy oraz chaotyczne szuranie butów po posadzce. Nie widząc, co działo się po drugiej stronie, czuli, że sapanie oddala się w przeciwnym do nich kierunku.

W pewnym momencie matka odsunęła głowę od judasza. Podparła drzwi razem z synami i nie patrząc na nich, wyszeptała:

- Trzymajcie mocno.

Przestraszeni chłopcy z całej siły przycisnęli drzwi. Ich mięśnie były naprężone i czujne. Z wyciągniętymi do przodu rękami, lekko pochylonymi głowami, solidnie podparte na podłodze na zgiętych w kolanach nogach, ich sylwetki przypominały dwójkę dzieciaków pchających samochód, który nie chce zapalić.

- Mama, co on tam robi? - spytał Marcin.

- Cicho - nakazała matka. - Bierze rozbieg. Będzie walił z wysoku. Trzymaj mocno.

- A może go wpuścimy? Może pójdzie spać?

- Nie wpuścimy. Na pewno nie pójdzie spać. Będzie robić awanturę. Chcesz mieć taką noc jak wczoraj?

- Nie chcę.

- To trzymaj i nie puszczaj.

- Ale...

W tym momencie Zbyszek uderzył z wysoku w drzwi. Na klatce rozległ się huk znacznie donośniejszy niż poprzednio. Marcina odrzuciło o metr.

- Mówiłam, żebyś trzymał! - powiedziała matka podniesionym szeptem.

Wystraszony Marcin natychmiast dołączył do starszego brata i zaparł się jeszcze mocniej niż dotychczas.

- Ostatni raz ci mówię, otwieraj te jebane drzwi! Bo cię spalę! - darł się Zbyszek, nerwowo skubiąc włosy, jak to miał w zwyczaju.

Nagle butelka, którą do tej pory tak pewnie trzymał, wypadła mu z ręki i rozbiła się. Odłamki szkła rozsypały się po całym piętrze, a wino rozlało się po posadzce, oblewając mu buty i spodnie.

- Kurwa... kurwa... - mówił do siebie.

Popatrzył na kałużę wina. Sapał teraz bardzo ciężko, głównie z wysiłku, ale też z rezygnacji. Uklęknął przy rozlanym winie i zaczął odrzucać na bok większe odłamki szkła. Podnosił je w ciemnościach za ostre końce, ściskając mocno i nieostroźnie. Nie czuł, że kaleczy sobie dłonie. Jego krew mieszała się z winem i brudem z posadzki. Gdy już odrzucił wszystkie większe odłamki, które był w stanie dostrzec, nachylił się nad kałużą, zanurzył w niej rękę i przystawił usta. Przymknął oczy. Wystawiwszy język, zaczął zlizywać wino. Zagarniał je dłońmi jak najbliżej ust. Siorbał przy tym głośno i oblizywał się.

- Zbyszek, nie siorb, jak jesz! Do jasnej cholery, ile razy mam ci to powtarzać?! Następnym razem wcale nie dostaniesz zupy! W ogóle nie potrafisz zachować się przy stole!

Zdawało mu się, że słyszał karcący głos swojej matki.

Odsunął usta od kałuży i spojrzął za lewe ramię. Na klatce nie było nikogo oprócz niego. Wino ściekało mu z ust, płynęło przez przedziałek na podwójnym podbródku i dalej po szyi. Spojrzął za prawe ramię, ale tam też nie było nikogo. Jego oczy zaczęły przyzwyczajać się do ciemności. Rozpoznawał coraz ostrzejsze kontury drzwi, schodów, poręczy oraz innych elementów na korytarzu. Podniósł głowę. Tępy, zablakany wzrokiem popatrzył na sufit. Wciąż klęcząc, wyciągnął rękę do włącznika światła. Nacisnął go, lecz światło nie zapaliło się. Spróbował jeszcze kilka razy, a nawet dwukrotnie uderzył pięścią, ale to też nic nie dało.

- Jeszcze jeden taki numer i wylatujesz, rozumiesz? Żebyś potem nie mówił, że cię nie ostrzegałem! Myślisz, że ile ja tak mogę cię kryć, co? Ja też mam swoich szefów, nie tylko ty. Ile ja mam to jeszcze tolerować? Chodzisz po domach najebany? Czyś ty oszalał?! Dzwonili ludzie z Kośminka, że jakiś pijany inkasent rachunki roznosi. No jak to wygląda, Zbyszek? Pytam się ciebie, jak to wygląda?

Ciało Zbyszka przeszły dreszcze. Zimne i gwałtowne nadchodziły falami jedna za drugą, z krótkimi przerwami. Był teraz niczym sternik okrętu, który zdrzemnął się na chwilę na spokojnym morzu, a obudził w samym środku białego szkwału. Nie mógł opanować drżenia rąk. Rozglądał się panicznie na wszystkie strony. Robił to tak szybko, że zmęczone gałki oczne nie nadążały za ruchami głowy. Zawładnął nim strach, strach przed czymś, czego nie mógł odepchnąć, uderzyć, szarpnąć ani chwycić, bo tak właśnie zwykł się bronić przed zagrożeniami. Zrezygnowany położył

ręce na kolanach i spuścił głowę, dokładnie tak, jak wtedy w dziewięćdziesiątym siódmym, gdy usiadł na korytarzu w Lubzelu po tym, jak jego kierownik ostrzegł go przed konsekwencjami przychodzenia pijanym do pracy.

Kałuża wina z każdą minutą stawała się jakby węższa w obwodzie, a jej kształt ze wszystkich stron i w różnym tempie zmierzał ku środkowi. Zbyszek nachylił się nad nią raz jeszcze i przyłożył usta. Siorbiąc łąpczywie, natrafił na większy kawałek szkła, którym rozciął sobie dolną wargę. Nie powstrzymało go to jednak przed zlizaniem alkoholu do końca.

Uspokoił się nieco. Przysiadł na schodach. Oblizywał kąciki ust z resztek płynu. Ciepła krew sączyła się z jego wargi. Wszystkiemu z niepokojem przysłuchiwała się ukryta w mieszkaniu rodzina, jako że od momentu, gdy światło na klatce wysiadło, niewiele było widać. Przez cały ten czas chłopcy trzymali drzwi z całej siły, jak kazała im matka. W ciemnościach przedpokoju spoglądali na siebie co jakiś czas pytającym wzrokiem, ale żaden nie miał odwagi się odezwać. Od parcia na drzwi mdlały im już ręce, ale nie odpuszczali. Wsłuchiwali się w niewyraźne, niezrozumiałe mamrotanie ojca, z ust którego dawno już nie słyszeli niczego sensownego.

- Za fizyczne i psychiczne znęcanie się nad powódką, Beatą Stawicką, oraz małoletnim synem, Mateuszem Stawickim, sąd wymierza pozwanemu karę trzech lat pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem wykonania kary na okres lat pięciu. Jednocześnie sąd kieruje

pozwanego na przymusowe leczenie w ośrodku terapii uzależnień od alkoholu w Wojewódzkim Szpitalu Psychiatrycznym w Radecznicy.

Zbyszek zerwał się ze schodów jak oparzony. Chłopcy napięli mięśnie. Ich serca biły jak oszalałe – nie tylko z powodu nagłego przyływu adrenaliny i lęku, lecz także skrywanej gdzieś głęboko, zepchniętej do podświadomości miłości do ojca. Ledwie matka zdążyła dać im znak, by przytrzymali mocno drzwi, a Zbyszek kopnął w nie z rozbiegu z taką siłą, że w kilku miejscach odprysła z nich farba i zatrzęsły się w futrynach.

- Co ty ze mną zrobiłaś, ty kurwo?! - krzyczał w amoku. - Otwieraj te drzwi! Wiem, że tam jesteś z tym swoim bękartem! Otwieraj, bo rozpierdolę!

Uderzył w drzwi ponownie, tym razem z bliska. Te uginały się pod naporem jego ciosów i gdyby nie to, że chłopcy trzymali je wraz z matką, prawdopodobnie wyłamałyby się i przygniotły całą trójkę.

Nagle piętro niżej rozległ się dźwięk odsuwanej zasuw. Na klatkę wyszła sąsiadka. Podeszła do włącznika światła i spróbowała je zapalić, ale daremnie. Cofnęła się więc na wycieraczkę, gdzie dochodziło światło z przedpokoju. Spojrzała w górę i powiedziała stanowczym tonem do Zbyszka:

- Jak pan nie przestanie, to dzwonię na policję!
- To se dzwoń!
- Dzwonię na policję! - powtórzyła.
- To se dzwoń, ty stara kurwo! - warknął Zbyszek.

Sąsiadka weszła z powrotem do mieszkania i zamknęła drzwi. Zapanowała cisza. Zbyszek oddychał głęboko, nic nie mówiąc. Chłopcy i matka zachowywali czujność. Obie strony czekały w milczeniu na kolejny ruch przeciwnika. Na zewnątrz przestał padać śnieg, a hulający wiatr wyraźnie osłabł. Wciąż jednak utrzymywał się siarczysty mróz.

Dochodziła dwudziesta druga. W nielicznych mieszkaniach paliły się jeszcze światła. Gdzieś ludzie uchylali okna bądź lufciki, by przewietrzyć pokój przed pójściem spać. Zbyszek stał na chodniku przed klatką, wycierając pokrwawione ręce o spodnie. Z okna na drugim piętrze patrzyli na niego synowie i żona. Firanki w mieszkaniu były odsłonięte, a cała trójka nie udawała już, że nie ma ich w domu.

Zbyszek podniósł głowę. Po raz pierwszy tego wieczoru ich spojrzenia spotkały się w linii prostej. Była to przypominająca zapasy próba sił i o ile Mateusz oraz matka dzielnie opierali się mocy spojrzenia Zbyszka, to Marcin albo spuszczał wzrok, albo patrzył w kierunku ojca, ale nie bezpośrednio na niego. Policzki Zbyszka płonęły gniewem. Była to bodaj jedyna część ciała, której tej nocy na pewno sobie nie odmrozi. Tego samego nie można było powiedzieć o jego dłoniach - sinych, przemarzniętych, z których organizm zaczął powoli odprowadzać krew do bardziej newralgicznych miejsc.

W pewnej chwili Zbyszek wypuścił rodzinę z uścisku

swojego spojrzenia i popatrzył na leżącą przed nim grubą warstwę śniegu. Nachylił się i podniósł całkiem sporą jego ilość. Zaczął lepić z niego gałkę. Robił to tak powoli, jakby pieścił kobiece piersi. W rzeczywistości tracił czucie w palcach. Z okna uważnie przyglądała mu się rodzina. Z niedowierzaniem patrzyli, jak w ich kierunku z dużą prędkością leci gałka, która rozbiła się o szybę dokładnie na wysokości twarzy Mateusza. Wzdrygnęli się i odruchowo odsunęli od okna. Wymienili uśmiechy. Nie było w tym jednak nic śmiesznego. Uśmiechy te miały w sobie coś groteskowego jak uśmiech czaszki. Tymczasem druga, a zaraz po niej trzecia gałka huknęły w szybę. Gdyby nie ona, Zbyszek straciłby po kolei synów i żonę jak kręgle. Śnieg wymieszany z krwią szybko przymarzał do szyby.

Brał już kolejny zamach, gdy zobaczył policyjny radiowóz wjeżdżający na Krańcową od strony hotelu Polonia (z drugiej strony już od dawna nie można było wjeżdżać, bo zamontowano tam barierkę i w efekcie powstała ślepa uliczka). Wyrzucił gałkę, schował ręce do kieszeni i zaczął szybko oddalać się spod klatki w kierunku placów zabaw. Chłopcy oraz matka kręcili się nerwowo przy kaloryferze i wyglądali przez szybę. Z takiego kąta nie byli w stanie dostrzec radiowozu, który toczył się wolno niczym walec drogowy. Tor jego jazdy kreślił na zaśnieżonej ulicy sinusoidę. Podwozie na przemian lekko unosiło się i opadało. W środku siedziało dwóch policjantów, z których jeden prowadził, a drugi patrzył na numery mieszkań na drzwiach klatek. Radiowóz miał wyłączone światła, by nie rzucać się

w oczy.

Gdy policjant siedzący na miejscu dla pasażera zauważył klatkę, z której było zgłoszenie, dał znak drugiemu, by ten zatrzymał się. Kierowca zjechał z ulicy, zaparkował i wyłączył silnik. Obaj wysiedli z radiowozu. Ledwie zdążyli zrobić kilka kroków, a z otwartego na oścież okna zawołała do nich Beata.

- Tam, panowie! Tam jest! - pokazywała palcem na Zbyszka, który, choć zdołał już przejść przez dwa place zabaw, wciąż był widoczny.

Krępej postury mężczyźni rzucili się za nim w pościg. Biegli szybko, zostawiając w śniegu ślady swoich ciężkich butów. Pokonali pierwszy plac i wbiegli na drugi. Gdy od celu dzieliło ich kilkadziesiąt metrów, Zbyszek usłyszał donośny tupot butów oraz szelest kurtek. W tym momencie wiedział już, że udawanie przypadkowego przechodnia spacerującego nocą po Bronowicach nic mu nie da. Przyspieszył więc. Poruszał się teraz truchtem postrzelonej zwierzyny. Próbował biec, ale gdy zaczął się rozpędzać, doskoczyli do niego policjanci. Jeden z nich mocno chwycił go za ramię, rozkazując:

- Stój! Stój, mówię!

Zbyszek wierzgał jak nieposkromiony rumak, ale policjanci względnie szybko obezwładnili go, rzucili na ziemię i zakuli w kajdanki.

- Zbyszek Stawicki? - spytał jeden z nich.

- To jakaś pomyłka! - odparł Zbyszek.

- Pan pójdzie z nami - stwierdził drugi, już nie pytając go

o tożsamość.

Więcej na: www.ebook4all.pl

lipiec 2000

Temperatura na zewnątrz zbliżała się do trzydziestej kreski. W lombardzie u zbiegu ulic Drogi Męczenników Majdanka i Startowej panował zaduch. Jedyne stary, furkoczący wentylator starał się tworzyć wyobrażenie chłodu. W środku nie było okien, a sam lokal swoim wyglądem przypominał bardziej altankę niż siedzibę firmy. Popołudniowy zgiełk miasta zagłuszał nadawany w radio serwis informacyjny, któremu przysłuchiwał się właściciel lombardu. Mężczyzna siedział za biurkiem, popijając wodę mineralną z plastikowej butelki. Jego koszula była przepocona na plecach i pod pachami. Tego dnia nie miał akurat drugiej na zmianę, ponieważ jego żona nie zdążyła mu jej na czas wyprasować. Przez otwarte na oścież drzwi patrzył ospale na LZNS oraz pomnik upamiętniający wydarzenia Lubelskiego Lipca 1980. Dwudziestometrowy krzyż wznosił się nad drewnianą rzeźbą robotnika zrywającego kajdany. Był to jedyny widok, jaki towarzyszył mężczyźnie w pracy przez ostatnie kilka lat. W takie dni jak ten, gdy klientów było jak na lekarstwo, zwykł liczyć z nudów trolejbusy, wspinające się pod górkę

Drogą Męczenników Majdanka.

- Jezu, panie Jacku, ależ tu u pana duchota! Jak pan tu wytrzyma cały dzień? - powiedziała Beata Stawicka, przekroczywszy próg lombardu.

- O, dzień dobry, pani Beatko - wymamrotał wyrwany z półsnu właściciel. - A, jakoś wytrzymuję. W sumie to nawet przyzwyczałem się przez te wszystkie lata. Ten wiatrak mi tu trochę pomaga.

Mężczyzna miał zdiagnozowanego raka krtani. Mówił powoli i z charakterystyczną chrypką. Beata uśmiechnęła się do niego i zaczęła rozglądać po pomieszczeniu. Na zapleczu, które było właściwie tylko wnęką w ścianie, leżały luzem rozmaite przedmioty.

- Wie pan co, panie Jacku, mam wrażenie, że za każdym razem, jak do pana przychodzę, to coraz mniej tu miejsca, a coraz więcej rzeczy.

- Bo tak jest! Nie mam ich już gdzie trzymać. Część leży w domu albo w piwnicy. Prawda jest taka, że po większość z nich i tak nikt nigdy nie wraca. Jeżdżę z nimi na giełdę w każdy weekend.

- I jak idzie handel?

- Różnie. Raz lepiej, raz gorzej. Najgorsze jest to, że nie mam przez to ani jednego dnia wolnego.

- Pewnie ma pan tego serdecznie dosyć, co?

- Nawet nie wie pani, jak bardzo.

Wiedziała. Odkąd jej mąż zaczął pić, musiała sama troszczyć się o synów. Pracowała na dwa etaty. Do południa zwykle opiekowała się pewnym starszym panem, a potem

jechała na drugą zmianę do chłodni przy ulicy Mełgiewskiej. Tylko w tym drugim przypadku miała umowę o pracę. Pierwszy etat był na czarno, by dochód nie przekroczył limitu wymaganego do otrzymania dodatku mieszkaniowego. Radziła sobie, jak mogła. Z banku żywności przynosiła makaron, mleko oraz serki topione. W domu wprowadziła żelazne zasady, od których nie było odstępstwa. Chłopcom nie wolno było na przykład kłaść dwóch plastrów wędliny na jedną kromkę chleba, zostawiać zapalonego światła w pokoju, gdy w nim nie przebywali, czy kąpać się w wannie częściej niż raz w tygodniu. Sama także stosowała się do tych zasad, a dodatkowo zmywała naczynia w zimnej wodzie, kupowała ubrania dla siebie i chłopców wyłącznie w lumpeksach oraz ograniczała palenie, by paczka papierosów starczała jej na dłużej (choć to ostatnie nie wychodziło jej najlepiej).

- Pani mąż był u mnie dziś rano - zagadnął właściciel.

- Zbyszek? - spytała retorycznie Beata. - A co znowu chciał?

- Przyniósł magnetowid.

- No nie! - wzburzyła się. - Jeszcze wczoraj oglądałam z chłopcami film! Ten człowiek wyniesie z domu wszystko, jak słowo daję!

Spuściła głowę z zażenowaniem. Właściciel patrzył na nią, czekając, aż podniesie wzrok, by coś jej powiedzieć. Za jego plecami latała mucha. Przeskakiwała z półki na półkę, wydając z siebie przeciągłe, niecierpliwe bzyczenie. Furkoczący wentylator podwiewał leżące na biurku kartki

papieru, lekko podnosząc ich krawędzie.

- Wie pani co, pani Beatko - przerwał po chwili niezręczną ciszę - w sumie to nic się nie stało. Dałem mu za niego raptem dwadzieścia złotych.

- Tak? I co, zgodził się?

- Powiedziałem mu, że te modele są wadliwe i nikt nie chce ich kupować, bo często wciągają kasetę. Długo się zastanawiał, ale w końcu zostawił. Gdzie indziej dostałby za niego ze stówę. Na szczęście nie mam tu w pobliżu konkurencji. Pewnie nie chciało mu się chodzić i szukać. Ręce mu się trzęsły. Chyba miał delirkę.

- Bardzo możliwe. Wpadł w cug - wyjaśniła Beata. - Pije tak bez przerwy od tygodnia.

- Aha - przytaknął ze zrozumieniem właściciel. - To niedobrze.

- No, niedobrze, dopiero co wrócił z odwyku.

- No to ładnie. Współczuję pani. Ja mam to samo ze szwagrem, także wiem, co to znaczy. Ciągle tu przychodzi i chce ode mnie pieniędzy. Nie wiem, jak mam się zachować w takich sytuacjach. To, jak by nie patrzeć, rodzina.

Beata przysunęła stojące obok krzesło i usiadła. Zdjęła torebkę z ramienia i położyła ją sobie na kolanach. Kiedy tylko mogła, unikała wzroku właściciela. Ten, widząc jej zakłopotanie, zmienił temat.

- Z tym magnetowidem to zrobimy tak, pani Beatko. Ja go tu mam na zapleczu. Oddam go pani po kosztach, bez prowizji. Może tak być?

- Tak, oczywiście. Dziękuję, panie Jacku. Tylko, widzi

pan, ja w tej chwili nie mam pieniędzy i dlatego przyszedłam do pana, bo...

- Ależ nic nie szkodzi. Odda mi pani przy najbliższej okazji. Widujemy się przecież średnio raz na miesiąc, a mi nigdzie się nie spieszy. A jak będzie pani zwlekać z zapłatą, naślę na panią moją tchórzofretkę, to panią szybko zwindykuje. Z nią nie ma żartów!

Beata roześmiała się. Widząc stojącą na biurku popielniczkę, wyciągnęła z torebki paczkę papierosów i spytała:

- Mogę zapalić?

- A tak, śmiało, proszę się nie krępować. Ja tu tylko wypiszę te papiery i już pani wydaję sprzęt.

- Potrzebuje pan mój dowód?

- Na razie nie. Wpiszę dane męża, bo to on zostawiał magnetowid. Ale proszę przygotować, bo będzie potrzebny na obrączkę.

Beata wyjęła z portmonetki dowód. Właściciel wypełnił formularz wydania i sięgnął po reklamówkę z półnągą kobietą, w której schowany był magnetowid. Postawił ją przy biurku po stronie Beaty, mówiąc:

- Proszę.

- Dziękuję, to bardzo miłe z pana strony.

- Drobiazg. To co, wypisujemy na obrączkę?

- Tak, wypisujemy.

- Ile będzie dzisiaj?

- Tak ze stówkę poproszę. Oddam, jak renta przyjdzie.

- W porządku, pani Beatko, wie pani przecież, że ja

nikomu do kieszeni nie zaglądam.

- Tak, wiem.

- Wezmę sobie w takim razie pani dowodzik i wypiszę te nieszczęsne kwity. Nie mam już siły do tej biurokracji, jak Boga kocham. Proszę mi dać chwilkę.

- Oczywiście.

Właściciel spisywał dane z dowodu, a Beata strzepywała popiół do popielniczki, patrząc na swoją obrączkę ślubną. Mimo tego, że zmatowiałe złoto nie błyszczało już nawet przy odpowiednim oświetleniu, miała wyrzuty sumienia, ilekroć oddawała ją w zastaw. Zawsze tłumaczyła sobie wtedy, że przecież Zbyszek sprzedał swoją dawno temu. Brzydziła się tym, że musiała to robić, ale nie chciała ciągle pożyczać od sąsiadek. Przychodziła więc do lombardu, bo tu nikt jej nie pytał po co ani dlaczego.

- Gotowe! To poproszę jeszcze obrączkę i już pani daję pieniążki.

- A tak, oczywiście, już daję - odparła, gasząc papierosa.

Właściciel sięgnął do szuflady po kasetkę z pieniędzmi. Postawił ją na biurku i otworzył kluczykiem. Wyjął z niej sto złotych w dwu pięćdziesięciozłotowych banknotach, a następnie podsunął je Beacie. Ta siłowała się z obrączką, która nie chciała zejść ze spuchniętego od upału palca.

- Zawsze tak mam, jak jest gorąco - tłumaczyła.

- Spokojnie, zaraz zejdzie - odparł właściciel.

Zdjąwszy obrączkę, podała mu ją, po czym schowała pieniądze do portmonetki i wstała z krzesła. Założywszy torebkę na ramię, powiedziała:

- No dobrze, panie Jacku, muszę już iść. Dziękuję za pieniądze, no i za ten magnetowid.

- Naprawdę nie ma za co, pani Beatko.

- Gdyby nie pan, to bym nie miała za co do pracy dojechać.

- Przesadza pani. Ja przecież też na tym zarabiam. Nie robię nikomu łaski. A swoją drogą przygnębia mnie to, że ktoś, kto pracuje na dwa etaty, musi do mnie co miesiąc przychodzić.

- No właśnie, niestety tak jest.

- Się porobiło. Ale w sumie to prawda. Sam ledwo wiązę koniec z końcem i niby własny interes prowadzę. Ale to są grosze, pani Beatko. Niedługo zacznę zastawiać rzeczy klientów u kolegów z branży!

- Oby nie, panie Jacku, oby nie.

- Dobrze, widzę, że pani się spieszy...

- Właściwie to tak. Muszę już iść, bo spóźnię się do pracy.

- No dobrze, zatem nie zatrzymuję dłużej. Wszystkiego dobrego!

- Wzajemnie, panie Jacku - odpowiedziała Beata i wyszła z lombardu.

Więcej na: www.ebook4all.pl

sierpień 2001

Biało-niebieska piłka z czarną łezką Nike turlała się wzdłuż krawężnika mało uczęszczanej ulicy Łabędziej, podskakując na nierównościach. Do jej łat oraz zygzakowatych, gęsto plecionych szwów przyklejał się brud. Ilekroć zatrzymywała się, idący za nią Mateusz kopał ją lekko do przodu. Szedł bardzo powoli. Podczas meczu dwa korki w jego lewym bucie odłamały się, co sprawiło, że stopa zaczęła nierówno układać się na powierzchni boiska i w efekcie but obtarł go pod kostką do krwi. Ale bardziej niż na kostkę był zły na siebie, bo przegrał kolejnego „placowego” z rówieśnikami z Jesiennej, mimo że grał na pełnych obrotach. Wracał do domu ze spuszczoną głową, wypominając sobie popełnione błędy.

Przechodząc obok basenu, zobaczył grupkę gimnazjalistów. Siedzieli na murku i odurzali się gazem do zapalniczek. Dwu z nich znał osobiście – chodzili do jednej klasy z Marcinem. Pozostałych znał tylko z widzenia. Na Bronowicach mówiono na nich „Ronsony” – od nazwy gazu. Nie mieli pieniędzy na alkohol ani narkotyki, więc kupowali

gaz do zapalniczek, bo był najbardziej wydajny. Jedna buteleczka za pięć złotych wystarczała dla wszystkich na kilka porządnych sztachnięć. Gaz dawał krótkotrwałego, ale za to bardzo mocnego kopa. Odpowiednia jego ilość powodowała halucynacje, omdlenia i silne drgawki, podobnie jak przy ataku padaczki.

Idąc ulicą i kopiąc piłkę, Mateusz przyglądał się grupce z dystansu. Buteleczka krążyła w ich rękach jak opłatek przy wigilijnym stole. Każdy z obecnych tam chłopców brał kilka głębokich wdechów, po czym podawał ją następnemu. Zanim kolejny zrobił to samo, obserwował z pozostałymi reakcję kolegi na gaz. Jeśli tamten nie miał drgawek ani nie mdlał, buteleczka przechodziła w kolejne ręce.

Mateusz minął basen i wszedł na wydeptaną w trawniku ścieżkę, przecinającą ukośnie plac zabaw, na którym znajdowały się drewniane drabinki, huśtawka oraz minizjeżdżalnia. Za dnia na placu bawiły się dzieci, ale wieczorami zbierały się na nim nastolatki i piły alkohol. Po każdym takim wieczorze matki musiały najpierw wybierać potłuczone szkło i niedopałki, które ich pociechy mogły nieopatrznie włożyć do buzi. Wokół placu rozchodziły się alejki prowadzące odpowiednio do przychodni, sklepu spożywczego i bloków na Sokolej.

Spacerowała nimi teraz siostra właściciela pobliskiego kiosku. Złośliwi mówili na nią „Pan Grażyna” – z racji męskiego wyglądu. Grażyna była alkoholiczką. Przychodziła na alejki w poszukiwaniu kogoś, z kim mogłaby złożyć się na wino. Brat wyrzekł się jej dawno temu po tym, jak pokłócili

się o kiosk, który wspólnie założyli. Pracowali w nim na zmiany, ale Grażyna często przychodziła pijana. Zdarzało jej się zasypiać w środku, a gdy otwierała okienko, by obsłużyć klientów, ci odruchowo odsuwali się, czując od niej woń alkoholu. Po pewnym czasie brat stracił cierpliwość. Spłacił jej udziały, a do tego wymeldował ją z mieszkania. Od tamtej pory włóczyła się po osiedlu albo wystawała całymi dniami pod kioskiem, licząc na choćby jedno jego spojrzenie.

Mateusz kopnął piłkę w alejkę biegnącą obok przychodni. Był to stary, pokryty graffiti budynek. Okna na parterze były zakratowane, by nikomu nie przyszło do głowy włamać się przez nie. Poręcze przy schodach oraz rynny zżerała rdza. W upalne dni papa pokrywająca dach zmieniała się w gęstą, smolistą maź. W budynku mieściły się różne poradnie oraz Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej. Matka Mateusza pobierała tam co miesiąc zasiłek, a ojciec kartki na obiady, które następnie sprzedawał za bezcen. Kupowali je od niego ludzie, którzy z różnych względów nie kwalifikowali się do pomocy z Ośrodka, choć jej potrzebowali. Kartka zapewniała jeden ciepły posiłek dziennie, składający się z zupy i drugiego dania. Każdego pierwszego dnia miesiąca ojciec odbierał kartkę z Ośrodka, by zaraz potem, podobnie jak wielu innych jemu podobnych meneli, sprzedać ją na targu. Chętnych nie brakowało. Kartki sprzedawały się szybciej niż świeże pieczywo ze stoiska obok.

Mateusz wciąż rozpamiętywał przegrany mecz. Kopał piłkę ze złością o drzwi garaży, które właśnie mijał. Ta odbijała się od nich z hukiem łączącym w sobie miękkie

dźwięki drewna oraz surowe, twarde dźwięki metalu. Jego uderzenia były na tyle precyzyjne, że piłka wracała mu prosto do nogi. Gdyby tylko robił to tak samo dobrze podczas meczu, może zdołałby odwrócić jego losy? Zadreczał się tym przez całą drogę, w nieskończoność roztrząsając wszystkie zmarnowane sytuacje. Nie umiał odpuścić ani przegrywać, taki już był.

Gdy piłka odbiła się od drzwi ostatniego z garaży, zatrzymał ją, podbił do góry i złapał w ręce. Niosąc ją pod pachą, wszedł na Krańcową. Pod blokiem stały zaparkowane samochody: ciasno, bez ładu, przywłaszczając sobie nawet najwęższy fragment ulicy. Stary Reksio człapał po chodniku z wywalonym jęzorem. Na jego sierści huśtały się pchły, które zdawał się zrzucać z każdym swoim krokiem. Na ławeczce pod lipą siedziały staruszki, podpierając ręce na laskach. Jakieś kobiety wywieszały na balkonach pranie, a ich mężowie palili w oknach papierosy. Wokół trzepaka naprzeciwko śmietnika ganiały się dwie dziewczynki. Ich radosne piski niesły się w powietrzu na całej długości bloku. Dzieci w piaskownicy rozchyłały usta na widok pięknego, brzoskwiowego zachodu słońca nad Bronowicami. Schodzące coraz niżej półkole zdawało się ociekać słodyczą. Chociaż nadal było bardzo duszno, to zachodzące słońce zabierało ze sobą żar, a zostawiało ulgę.

W przedpokoju na Mateusza czekał ojciec. Stał na podłużnym dywanie w kolorze kompromisu pomiędzy

burgundem a bordo, rozciągającym się od drzwi wejściowych aż po sam próg łazienki. Opierał się ręką o dawno niemodną boazerię, której na złość żonie nie chciał zdemontować. Słyszał stukot korków na klatce – początkowo stłumiony i daleki, lecz z każdą chwilą donośniejszy i jednostajny jak żołnierski marsz. Z rozpiętym rozporkiem oraz wymiętą, popielatą koszulą bez guzika pod szyją, która odsłaniała kościstą, zapadniętą klatkę piersiową, wzbudzał politowanie.

Popatrzył w lustro zawieszone na ścianie. Po drugiej stronie stało w rzędzie kilku mężczyzn. Przyglądali mu się uważnie, szepcząc sobie nawzajem do ucha. Znał ich wszystkich, ale żadnemu nie ufał. Ciągle go okłamywali, zwodzili. Pierwszy był bezrobotnym elektromonterem, któremu wygasły uprawnienia do wykonywania zawodu; drugi alkohikiem po dwóch odwykach, nieuznającym żadnych świętości; trzeci ojcem bękarta, którego nienawidził; czwarty odtrąconym mężem chyba wciąż kochającej żony; piąty kochankiem osiedlowej lafiryndy, która piła bodaj jeszcze więcej od niego. Za nimi stał jeszcze jeden. Skulony i nieco wystraszony, trzymał ręce w kieszeniach, nie odzywając się. Zbyszek widywał go najrzadziej. Zwykle chował się za pozostałymi i dopiero gdy tamci sobie poszli, podchodził bliżej lustra, by się przywitać. Miał wtedy zawsze radosny wyraz twarzy. Zazwyczaj nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia, a nawet jeśli, to rozmowa raczej im się nie kleiła. Mimo to lubili ze sobą przebywać. Przy każdym takim spotkaniu szukali odpowiedzi na pytanie, czy to oni byli prawdziwi, a tamci tylko ich

nieudolnymi imitacjami, czy może odwrotnie. Jak dotąd bez skutku.

Gdy Mateusz wszedł do mieszkania, mężczyźni nagle rozeszli się. Został tylko ten trzeci, ojciec bękart, i demonicznie się uśmiechał. Mateusz zamknął za sobą drzwi, a następnie pochylił, by zdjąć buty. Ilekroć ruszał stopą, rana pod kostką zaczynała pulsować, jakby meduza wbijała w nią swoje parzydełka. Zanim zdążył rozwiązać sznurowadła, Zbyszek powiedział do niego:

- My to chyba musimy sobie porozmawiać, kochaniutki.

- Ja nie mam o czym z tobą rozmawiać - odparł oschłym tonem Mateusz, nie patrząc na ojca.

- Myślisz, że będziesz na mnie nasyłał swoich kolegów?!

Dopiero w tym momencie Mateusz podniósł wzrok. Smród skarpet ojca gwałcił jego nozdrza, tak jak wielkie miasta gwałcą niewinne umysły przyjeżdżające do nich z prowincji. Stojąc pomiędzy szafą wnękową a wieszakami na ubrania, przerzucał ciężar ciała na prawą nogę, by ulżyć lewej.

- Czego ty znów ode mnie chcesz, co? - spytał. - Jak zwykle coś sobie uroiłeś! Skarpety byś lepiej zmienił, bo jebie w całym domu!

- Nie udawaj głupiego! - grzmiał ojciec. - Myślisz, że ja się boję jakiegoś Likiera? Albo tego, jak mu tam, Grochowiaka? Takich to ja jedną ręką załatwiam! Mógłbyś się chociaż lepiej postarać!

Mateusz nie znał nikogo takiego. Słowa wypowiedane przez ojca były dla niego niezrozumiałe jak chińska

klawiatura. Widząc go pijanego i co chwila spoglądającego w lustro, jakby ktoś tam był, uznał, że ojciec kompletnie postradał zmysły.

- Powinieneś się leczyć, człowieku - powiedział. - Zobacz, jak ty wyglądasz...

- Lepiej zobacz, jak *ty* wyglądasz, suchelcu! Będziesz mi mówić, co mam robić?! Przecież ty nawet gwoźdźnia w ścianę nie potrafisz wbić! Jakbym wiedział, że wyrośnie z ciebie taki niedojda, to bym cię zadusił już w kołysce!

- Dobra, nie zamierzam tego dalej słuchać. Najpierw wytrzeźwiej, a potem pogadamy. Wychodzę!

- O nie, kochaniutki - powiedział ojciec, chwyciwszy go za koszulkę i przyciągnąwszy mocno do siebie. - Tym razem przegiąłeś pałę. Nie ujdzie ci to na sucho!

- Puść mnie!

- Bo co?

- Puszczaj, bo zobaczysz! - krzyczał Mateusz, próbując wyrwać się z jego uścisku.

- Co zobaczę? A co ty mi możesz zrobić, bękarcie?

- No to zobaczysz co!

- Co najwyżej możesz na mnie nasłać tych swoich przygłupich koleżków. Ale jak jeszcze raz to zrobisz, to cię zabiję, słyszysz? Zabiję cię. I nikt ci wtedy nie pomoże, nawet ta twoja, pożał się boże, mamusia. Tylko mnie tak dalej wkurwiał!

Spojrzeli sobie z bliska głęboko w oczy. Miały one u obydwo niemal identyczny kolor, jakby zostały namalowane przez malarza używającego tej samej palety

barw do wszystkich swoich obrazów. Kolor ten podobnie reagował też na zmiany oświetlenia. Za dnia bursztynowy, o rdzawo-miedzianym odcieniu, przechodził w piwny, gdy tylko ściemniało się tutaj przy stonowanym, sztucznym świetle. Ich spojrzenia były badawcze i nieufne jak dwu zupełnie obcych sobie ludzi. Stali teraz na tyle blisko siebie, że ich oddechy zaczęły współpracować, czubki nosów stykały się, a w źrenicach odbijały się ich twarze.

- No i co, mundałku? Taki chojrak jesteś? - prowokował ojciec, spychając Mateusza coraz bliżej drzwi. - No dalej, spróbuj szczęścia!

- Zostaw mnie, bo zadzwonię na policję!

- To se dzwoń! Ale licz się z tym, że mogą nie zdążyć przyjechać! - ostrzegał ojciec.

- Zobaczysz, kurwa, że w końcu ci odwieszą ten jebany wyrok, a wtedy...

- A wtedy co? Myślisz, że ja się tego boję? Mam to w dupie! Ja mogę pójść siedzieć, ale ty zdechniesz! Nie martw się, zdążę cię zajebać, zanim mnie zawiną.

- Puszczaj! - wykrzyczał Mateusz, odepchnąwszy ojca z całej siły.

Ojciec potknął się o pufę i upadł. Jego na wpół bezwładne ciało grzmotnęło o podłogę. Ze starego dywanu buchnął kurz i zaczął latać w powietrzu jak konfetti. Po drugiej stronie lustra ojciec bękarta strzepywał go sobie z ramion, śmiejąc się do rozpuku. W przedpokoju na chwilę zapanowała cisza. Serce waliło Mateuszowi tak, jakby było nie tyle mięśniami, co wielkim, przerośniętym gruczołem, wrywającym się

z klatki piersiowej jak ósmy pasażer Nostromo. Nie czekając na reakcję ojca, otworzył drzwi, by wybiec z mieszkania.

- A ty gdzie, bękarcie?! - zerwał się za nim ojciec. - Teraz to cię naprawdę zajebię! Doigrałeś się! Wracaj tu, gówniarzu!

Mateusz wybiegł na klatkę, a za nim niesiony przeciągiem smród skarpet ojca. Trzymając się poręczy, zeskakiwał ze schodów, nie zważając na ranę pod kostką. Przez dwa brakujące korki o mało nie skręcił sobie nogi między pierwszym piętrem a parterem. Mimo bólu w mgnieniu oka zbiegł na dół i wyszedł na zewnątrz.

Dwie klatki dalej, na balkonie, stała znana mu seksowna, dojrzała kobieta. Paliła papierosa. Gdy wypuszczała dym, jej usta lekko się zaokrągląły, jakby miały za chwilę zakleszczyć się wokół nabrzmiałego, sterczącego penisa. Już na samą myśl o tym Mateuszowi robiło się gorąco. Lubił na nią patrzeć, bo nawet wychodząc do sklepu, miała na sobie pełny makijaż i nienaganną fryzurę. Gdziekolwiek się nie ruszyła, ciągnęła za sobą delikatną mgiełkę drogich perfum. Dla dojrzewających chłopców, których życiem zawładnęły hormony, jej krągłe, jędrne pośladki, radośnie wypychające krótką minispódniczkę albo obcisłe dzinsy, stanowiły cudowny przerywnik osiedlowej nudy. Kobieta ta była utrzymanką pewnego mężczyzny, zwanego „Prezesem”, który rzekomo miał powiązania z mafią. Wynajmował jej mieszkanie i opłacał wszystkie rachunki. W zamian przyjeżdżał do niej kilka razy w tygodniu na seks swoją lśniącą terenową hondą. Podczas gdy cały blok huczał od

plotek na ich temat, Mateusz masturbował się wieczorami pod kołdrą, marząc, by choć przez chwilę być na miejscu tego łysego drania z terenowym autem.

Powietrze było naelektryzowane i miało teraz intensywny, drażniący zapach siarki. Zbierało się na burzę. Wysoko ponad drzewami krążyło stado wron, które co jakiś czas pikowało w dół i obsiadało konary niczym szarańcza. Jazgot, jaki temu towarzyszył, wprawiał okoliczne bloki w wibracje. Gałęzie chwiały się pod ciężarem nieproszonych gości, a liście drżały jak puch mniszka lekarskiego w strachu przed choćby najmniejszym podmuchem wiatru. Matki zbierały z piaskownicy zabawki, poganiając dzieci do domu. Gęste, grafitowe chmury przesłoniły niebo, cierpliwie czekając, aż jakaś siła wyźmie je z wody. Czując nadchodzącą ulewę, osiedlowe koty wychodziły spod samochodów i chowały się do piwnic, wskakując do nich przez pouchyłane okna.

Mateusz stał na ulicy i głaskał Reksia. Myśłami wciąż był przy seksownej utrzymance Prezesa. Fantazjował o rzeczach, które w świecie jego wyobraźni dawały mu dziką przyjemność, a które w rzeczywistości uważał za obrzydliwe. Robił to już ze wszystkimi najładniejszymi dziewczynami w szkole, z nauczycielką od polskiego po lekcjach, z sąsiadką z piątej klatki, gdy wszystkiemu przyglądał się jej mąż, oraz z kuzynką na zmianę z trzema innymi mężczyznami; robił to oralnie i analnie, robił to z i bez; szarpał za włosy, bił, wymyślał od dziwek i szmat. Utrzymankę Prezesa też miał,

i to wiele razy. Nawet teraz, gdy ta dopalała na balkonie papierosa, zachodził ją od tyłu i silnymi, męskimi pchnięciami dawał jej niewyobrażalną rozkosz.

Skończył w niej wraz z pierwszymi kroplami deszczu, spadającymi z nieba jak ziarno rzucane na glebę przez siewcę. Zamyślony nie zauważył, kiedy Reksio zaczął oddalać się w kierunku opasłego dębu, którego dzieci używały jako bazy do zabawy w chowanego. Jeden z ostatnich kotów – szary, wynędzniały i z poszarpaną sierścią – właśnie szykował się do skoku do okna piwnicy, gdy z klatki nagle wyszedł ojciec. Zwierzę czmychnęło w bok, podkulając ogon. Dostrzegłszy Mateusza, ojciec ruszył w jego stronę. Zdumiony, a zarazem wystraszony Mateusz zrobił krok w tył, ale poczuł za sobą zderzak samochodu. Bez zastanowienia odwrócił się w drugą stronę i zaczął szybko iść ulicą wzdłuż bloku.

- Chodź tu, bękaracie! - wołał za nim ojciec. - Mówiłem, że nie ujdzie ci to na sucho! Tym razem ci nie podaruję, słyszysz?! O, tutaj do mnie! Już!

Mateusz przyspieszył, ale mimo to głos ojca dotrzymywał mu kroku. Mógł po prostu pobiec przed siebie, lecz poprzysiągł sobie, że nigdy nie będzie uciekać na swojej własnej ulicy, bo jeśli to zrobi, to będzie tak uciekać już przez resztę życia. Ostatnie, co poczuł, zanim popchnięty przez ojca upadł na asfalt, to jego śmierzący alkoholem oddech na swoim karku.

- Wstawaj! Nie tak cię wychowywałem, znajduchu jeden! Wstawaj, bo sam cię podniosę! Jak ty się w ogóle uchowałeś

na tych Bronowicach? Żałosny jesteś, tyle ci powiem.

Rozpadało się. Deszcz zacinał ukośnie, dzwoniąc o szyby, parapety i maski samochodów. W koleinach i wgłębieniach tworzyły się kałuże. Mateusz leżał na ulicy ze zdartym kolanem, a deszcz obmywał je z krwi. Stojąc nad nim, ojciec wydawał mu komendy jak nieposłusznemu psu.

- No, dalej! Pokaż, co potrafisz! Taki byłeś mądry, jak nasyłałeś na mnie kolegów?

- Nikogo na ciebie nie nasyłałem - tłumaczył Mateusz.

- Nie ściemniaj! Myślisz, że nie wiem, z kim się zadajesz?

- Ja nie wiem, co ty wiesz. Zostaw mnie w spokoju.

- Wstawaj, bo jak cię zaraz lutnę!

- Oszalałeś?! Nie będę się bił z własnym ojcem!

- Jakim ojcem? Ja nie jestem twoim ojcem! Ile razy mam ci to powtarzać, do cholery? Won do Chmielewskiego! To on jest twoim tatusiem!

Deszcz padał coraz intensywniej. Obydwaj byli w tym momencie cali mokrzy. Mateusz podniósł się i stanął w miejscu, gdzie był poza zasięgiem ramion ojca. Ten jednak nie odpuszczał i podszedł do niego, a po chwili uderzył z zaskoczenia bardzo mocno w splot. Mateusz skulił się, straciwszy oddech. Słyszał teraz słowa matki, która mówiła mu, że jeśli kiedykolwiek podniesie rękę na swoich rodziców, to ta ręka mu uschnie. Wziął sobie to wtedy do serca, ale chyba nawet ona nie mogła przewidzieć, że przyjdzie mu kiedyś stanąć w szranki z własnym ojcem, przy milczącym przyzwoleniu sąsiadów patrzących na nich zza firanek.

- Na drugi raz zastanów się - powiedział ojciec,

pochyłając się nad nim - zanim naślesz na mnie takiego Grochowiaka albo Likiera. Przecież to są jeszcze większe barany niż ty!

Odzyskawszy oddech, Mateusz nagle rzucił się na ojca z pięściami, niczym szalenciec, który wyplątał się z kaftanu bezpieczeństwa. Jego mięśnie były teraz naprężone, a stawy stwardniały, jakby wypełniała je hartowana stal. Ojciec zdołał uniknąć pierwszego lewego sierpowego, ale prawy kompletnie go zaskoczył, lądując wprost na jego nosie. O ile pierwsze ciosy Mateusza były mierzone, tak następne wykonywał już zupełnie na oślep. Uderzał, gdzie popadło: w brzuch, bark, głowę. Jeden z ciosów trafił ojca tak mocno, że ten zachwiał się na nogach.

- Ty skurwysynu! - klął Mateusz w amoku, zanosząc się od płaczu. - Zabiję cię! Przysięgam, kurwa, zabiję cię!

Ojciec zasłaniał się rękami i pod naporem Mateusza stopniowo wycofywał. Pokonali w ten sposób kilkanaście metrów, wróciwszy do miejsca, z którego Mateusz zerkał wcześniej na utrzymankę gangstera. Mateusz nie widział w tym momencie nikogo ani niczego wokół siebie. Obraz rozlewał mu się jak świeża plama, szybko pochłaniająca kolejne nitki tkaniny. Jedynie kontury ojca były ostre i wyraziste, ale sama jego postać wydawała się nierealna. Była jak majak senny albo zjawą, która falowała niczym tafla wody, ilekroć walił w nią pięścią. Brał właśnie kolejny potężny zamach, gdy ktoś chwycił go za ramię i pewnie przyciągnął do siebie, krzycząc mu nad uchem:

- Dobra, koniec! Kurwa, Mati, nie warto!

Świadomość otaczającej go rzeczywistości zaczęła powoli do niego wracać. Rozpoznał po głosie Karola, który wraz z Piotrkim przybiegł spod klatki, by przerwać bójkę. Ten drugi podbiegł do ojca i odepchnął go, na co tamten nawet nie zareagował.

- Pan idzie do domu! - powiedział groźnie Piotrek, a powagi jego słowom dodawał wskazujący palec prawej ręki przystawiony ojcu Mateusza pod sam nos, z którego obficie lała się krew.

Mateusz płakał. Wstydził się tego, ale nie potrafił przestać. Łzy jakoś same cisnęły mu się do oczu. Nie panował też nad rękami, które drżały mu jak temu dziadkowi z trzeciego piętra, co to miał Parkinsona. Ojciec stał na chodniku, próbując zatamować krwawienie z nosa zasmarkaną chusteczką. Śmiał się przy tym bodaj tak samo demonicznie jak ojciec bękarta po drugiej stronie lustra. Gdy Mateusz nieco się uspokoił, Karol wypuścił go z uścisku. Widząc, że i ojciec nie miał dłużej ochoty się bić, do dwójki kolegów po chwili dołączył Piotrek.

- Chodź, Mati, idziemy - powiedział, dając znak Karolowi, by zabrał przygaszonego, jakby nieobecnego Mateusza w stronę placu zabaw.

Stanęli wśród gęsto posadzonych, bujnie rozkwitłych drzew, gdzie zwykli chować się przed deszczem. Mateusz miał spuszczone głowę i długo nic nie mówił. Zaciągał się tylko papierosem, którym poczęstował go Piotrek. Wpatrując się

w ziemię, wypuszczał z ust dym, który krople deszczu przecinały niczym kule z pistoletu wystrzelone w wodę. Mimo że lało jak z cebra, wiatr zdawał się z wolna przeciągać chmury nad inne dzielnice. Ojciec gdzieś zniknął. Żaden z nich nie wiedział, gdzie dokładnie. Za to do Mateusza zaczynało docierać, że przynajmniej przez najbliższą noc nie miał do czego wracać. Było oczywiste, że gdy tylko przekroczy próg mieszkania, ojciec złapie go za gardło i zadusi gołymi rękami. Nie dbał teraz o to, gdzie się podzieje, gdyż strach ustępował miejsca głębokiej, oswobadzającej uldze, jaką dawała mu myśl, że chociaż ten jeden raz nie pozwolił ojcu zdeptać swojej godności.

- On i tak mnie kiedyś zabije, czuję to - powiedział zniechęcony, patrząc ni to na ziemię, ni to na kolegów.

Ci odwrócili się w jego stronę i spojrzeli na niego z przejęciem, ale tylko Piotrek odważył się odezwać.

- Nie zabije. Powkurwialiście się trochę i tyle. To się zdarza - zapewniał.

- Albo ja jego - dodał po chwili Mateusz, a z jednego z liści kapnęła kropla deszczu i spadła prosto na żar, gasząc jego papierosa.

sierpień 2001

Zrobi to. Zrobi to szybko. Jednym ruchem. Na chłodno. Bezboleśnie. Jak rutynowy zabieg. Poderżnie mu tę jebaną, wystającą grdykę, która wypłuwa z siebie te wszystkie bękarty, znajduchy, chmielewskich i niedojdy. Zrobi to. Nie będzie Kordianem. A właśnie, Kordian. Przecież nie zaliczył. Jebana szkoła. Nie cofnie się. Ręka mu nie zadrży. Jest cicho. Jest noc. Nikogo nie ma w domu. Powietrze w pokoju jest ciężkie, zatęchłe, przesiąknięte wyziewami. Przy wersalce butelki. Trzy, może cztery. Jakieś rzeczy. Jakaś zeschnięta kromka chleba. Kawalek kurczaka na podłodze. Pety na dywanie. Cała masa nachalnych detali odwracających jego uwagę. Ale skupi się i to zrobi. Bo tak trzeba. Bo tak będzie najlepiej. Ma jeszcze trochę pieniędzy. Na bilet w jedną stronę na pewno wystarczy. Zakończy to raz na zawsze. Uwolni matkę i brata. Siebie samego uwięzi, ale to nic. I tak jest już więźniem. Więźniem samego siebie i swojej tożsamości. Jest nim, odkąd pierwszy raz usłyszał to słowo. Bękart. Jak to okropnie brzmi. Jak kłuje. Coś jak kolka, ale gorzej. Bękart.

Zrobi to. Ma dobry nóż. Wczoraj po osiedlu chodził facet,

co mu go naostrzył. Miał nim pokroić mięso. I chyba jeszcze warzywa. Tak mówiła mu matka. Zrób obiad, żeby było co jeść, jak wrócimy ze wsi. Tak mówiła. Ale przyszedł mu do głowy ten pomysł. Stał wtedy w kuchni. A może w przedpokoju. Ojciec był w kiblu. Sikał, ale nie trafiał do sedesu. Malował sikami jakiś obraz. Po desce. Po spodniach. Po nisko zawieszonym ręczniku. A on wszędzie czuł zapach jego moczu. Drażniący. Cuchnący. Lepki. Przyklejał się do jego ciała. Swędziała go od tego skóra. Drapał się. Drapał się do krwi. To było nie do wytrzymania. Potem zakręciło mu się w głowie, tyle pamięta.

I chyba właśnie wtedy pojawił się ten pomysł, bo ocknął się już z nożem w rękę. Zrobi to, pomyślał. Nie będzie smrodu. Nie będzie swędzenia. Nie będzie moczu. Zrobi to. Będzie jedna grdyka mniej. Może pójdzie też pod nocny w drodze na pociąg, jak będzie uciekać przed całym światem goniącym za zwyrodnialcem, który zabił własnego ojca. Tak, znajdzie tam na chwilę. Pod nocnym zawsze są jakieś grdyki. Chłaśnie kilka i pójdzie dalej. W swoją stronę. Przez Bronowice, na które już nigdy nie wróci. Spojrzy w okna kolegów, których już nigdy nie zobaczy. Bo będzie zwyrodnialcem. Zwyrodnialców się łapie i zamyka. Izoluje się od społeczeństwa. Ale jeszcze mu za to podziękują. W myślach, bo usta nie są tak odważne. Odwaga zaczyna się w myślach. Tam się rodzi. Tam najczęściej przedwcześnie umiera.

Ta grdyka nawet ładnie pasuje do noża. Prosi się o niego. Pragnie go. Chce, żeby ostrze ją musnęło. Tylko musnęło, nic

więcej. Jak piórko albo źdźbło trawy. Zrobi to dla niej. Zrobi to, bo go o to prosi. Jedno muśnięcie. Uwolni ją od tych męczarni. Bo ona męczy się w tym ciele. Wystaje coraz bardziej. Kiedyś tak nie wystawała. Przystawi do niej nóż. Powoli. Ostrożnie. Nie może niczego spieprzyć. Musi być idealnie, bo drugiego podejścia nie będzie. Jeszcze tylko odpowiedni kąt. Kąt jest ważny. Mówili w telewizji. W tamtym programie. Pokazywali, jak gość jednym ciosem zabija typa. To były chyba izraelskie służby specjalne. Daleko mu do nich. Oni mają fach w ręku. On jest amatorem. Ale skupi się i to zrobi. Przystawi nóż. O, właśnie tak. Teraz jest dobrze. Dobry kąt. Nie ruszać się przez chwilę. Nie zmieniać pozycji. Na chłodno. Bez emocji. Przecież nawet nie wiadomo, czy to jego prawdziwy ojciec. To może być jakiś zupełnie obcy koleś. Bez więzów krwi. Bez odziedziczonych genów. Przypadkowa osoba. Zamknie oczy. Otworzyłby, ale to jego pierwszy raz. Teraz wystarczy tylko musnąć. Zrobi to.

- No, dalej, bękarcie, pokaż, na co cię stać - powiedziała grdyka.

Znowu to słowo. Jeszcze raz je powtórzy i ją chlaśnie. Miał ją tylko musnąć, ale teraz to ją chlaśnie. Jeszcze raz.

- Jesteś żałosny. Wstyd mi za ciebie. Nie umiesz zrobić najprostszej rzeczy. Jakbyś był mój, to byś umiał, ale ty jesteś zwykłym bękartem! Pewnie już narobiłeś w gacie z tego wszystkiego, co? Nie bój się, mamusia przyjdzie i podetrze. Weźmie papier i podetrze.

Chciał ją chlasnąć, naprawdę. Ale się poryczał. Nie chciało mu się płakać. Samo wyszło. Co za wstyd. Dobrze, że

ojciec śpi. Dobrze, że nie widzi. Miałyby niezły ubaw. I te łyzy. Ale się leją. Jak te siki. Teraz to on maluje swój obraz. Wcale nie ładniejszy od tamtego. Wybiegnie z pokoju. Zostawi to. Nie dzisiaj. Może jutro spróbuje jeszcze raz. Przecież to nie musi być dziś. Dziś się rozbeczał. Jak mała dziewczynka. Wybiegnie z pokoju. Teraz. Już. Kurwa, ale wstyd. Nie umie zrobić najprostszej rzeczy. Nie umie wkręcić żarówki. Nie umie zabić człowieka.

wrzesień 2001

Dzień po zamachach na World Trade Center zmarła babcia Mateusza. Podczas gdy całą Amerykę zżerała nienawiść do terrorystów, ją zżerał rak, a właściwie już tylko dojadał to, co z niej zostało. W odróżnieniu od Amerykanów, którzy mieli swoim rządzącym za złe, że nie zapobiegli atakowi, ona nie winiła medycyny za to, że nie zdołała jej uratować. Umierała z uśmiechem na twarzy, do końca żartując z choroby w obecności swojego jedyne go syna, męża, synowej oraz wnuków. W przeciwieństwie do wielu starszych osób nie zbierała na grób, przekornie twierdząc, że „nikt na wierzchu nie leży”.

Śmierć babci najbardziej przeżył dziadek. Stan jego zdrowia systematycznie się pogarszał. Mimo tego, że ich małżeństwo było pasmem kłótni i nieporozumień, dziadek każdej nocy szlochał, wzywając przez łzy imię ukochanej żony. Za dnia natomiast przepijał albo przegrywał w karty swoją emeryturę, którą rozporządzał na ogół nie dłużej niż trzy dni. Będąc po dwóch operacjach siatkówki, nie widział już liczb, dat, nominałów ani figur karcianych, przez co często padał ofiarą oszustw, w tym również ze strony

najbliższych kolegów. Mimo to cały czas enigmatycznie się uśmiechał, jakby wiedząc, że każdy kolejny dzień nie oddala, a przybliża go do spotkania z żoną.

Dla Mateusza babcia była postacią niejednoznaczną. Z jednej strony lubił jej poczucie humoru oraz zdrowy dystans do życia, ale z drugiej miał do niej wielki żal nie tylko za to, że nie robiła nic, by powstrzymać postępujący alkoholizm swojego syna, lecz przede wszystkim za to, że sama po kryjomu piła z nim wódkę. Mateusz wielokrotnie widział, jak ojciec z babcią upijają się do nieprzytomności, niekiedy nie rozróżniając potem dni tygodnia, jak wtedy, gdy po kilku z rzędu całonocnych libacjach babcia zerwała się z łóżka o piątej rano i pobiegła na przystanek, by pojechać do pracy. Ale autobus nie przyjeżdżał, a na przystanku nikt nie czekał. Była niedziela.

Podrabiana omega na lewym nadgarstku Mateusza wskazywała dwunastą, kiedy grabarze sięgnęli po łopaty i zaczęli zasypywać dół z hebanową trumną, w której spoczęła babcia. To był naprawdę dobry dzień na umieranie. Nieliczne, pulchne chmury spacerowały po niebie, ale nie przesłaniały słońca; omijały je z wyjątkową gracją. Było stosunkowo ciepło i – co w przypadku cmentarza na Majdanku mogło dziwić – prawie bezwietrznie. W jednej z alejek jakiś niewidomy człowiek grał na skrzypcach. Ludzie odwiedzający groby swoich bliskich wrzucali mu drobne do wyłożonego czerwonym materiałem futerału, a on

odwdzięczał im się melancholijną, kojącą melodią. Melodia ta idealnie komponowała się z kazaniem, które nad grobem babci wygłaszał podstarzały ksiądz. Słowa i nuty brzmiały, jakby zostały specjalnie dla siebie napisane. Traciły jednakowoż swą moc, ilekroć ksiądz albo skrzypek robili sobie przerwę – odpowiednio na głębszy oddech lub zmianę utworu. Ksiądz nie spieszył się z kazaniem; mówił powoli, akcentując ważniejsze fragmenty. Nikt nie wiedział, czy zdawał sobie sprawę z tego, że był już spóźniony na kolejny pochówek i że w oddalonej o kilkaset metrów kaplicy ludzie zaczynali nerwowo spoglądać na zegarki. To babcia w jakiś magiczny sposób zdawała się kraść dla siebie ostatnie, bezcenne chwile, kiedy to ci, którzy szczerze ją kochali, oraz ci, którzy zawsze jej złorzeczyli, stali razem na jej pogrzebie i myśleli o niej; dobrze czy źle, ale myśleli.

Mateusz czuł się nieswojo wśród ciotek i wujków, których widywał niemal wyłącznie przy okazji ślubów, wesel, komunii albo, tak jak teraz, pogrzebów. Ponadto, gdy tylko pojawiał się na rozległym terenie byłego obozu koncentracyjnego – z wciąż budzącymi grozę wieżami strażniczymi, przesiąkniętymi śmiercią drewnianymi barakami oraz drutami kolczastymi – ogarniało go przygnębienie. Często myślał wtedy o tych wszystkich bezimiennych, spalonych w piecach ludziach, których prochy być może nadal unosiły się gdzieś wysoko nad Lublinem. Majdanek za każdym razem sprawiał, że coś uwierało go w sercu. Przypominał mu o potrzebie pokory oraz o tym, że jego rodzinne mikro-dramaty były niczym w porównaniu do

splamionych krwią kart historii skrywanych przez to miejsce.

Popatrzył na dwie staruszki w chustach na głowach wrzucające wypalone bądź potłuczone znicze oraz chwasty do ustawionego w pobliżu kontenera. Kobiety przyglądały się pewnemu mężczyźnie, który krążył między smukłymi, strzelistymi topolami, posadzonymi jedna obok drugiej wzdłuż alejek. Drzewa te były niczym kolumny podtrzymujące sklepienie nieba, a przy tym stanowiły przeciwwagę dla wież strażniczych z terenu obozu. Dostojne i dumne trwały w swej nieskończoności, podczas gdy dla wszystkiego dookoła czas płynął nieubłaganie jak palący się lont, a cmentarz przyjmował w swoje progi kolejnych lokatorów. Topole na Majdanku cierpliwie znosiły każdą niedogodność: srogie zimy, natrętne ptactwo, wiewiórki hasające po gałęziach, hieny cmentarne kradnące wiązanki z nagrobków cudzej osoby, takie jak ten mężczyzna, który szukał właśnie ustronnego miejsca, by się wysikać.

Mateusz od razu rozpoznał w mężczyźnie swojego ojca. Do samego końca miał nadzieję, że nie przyjdzie na pogrzeb – że zapije albo po prostu zapomni. Ale przyszedł. Miał na sobie uświnione błotem spodnie oraz zmechacony, rozciągnięty sweter. Był wstawiony. Świadczył o tym sposób, w jaki opierał się lewą ręką o topolę, prawą załatwiając potrzebę fizjologiczną. Nie zwracał uwagi na przechodzących obok ludzi. Wysikawszy się, ruszył z rozpiętym rozporkiem w kierunku żałobników. Jego krok był zawadiacki, nastawienie bojowe, a spojrzenie oskarżycielskie. Sprawiał wrażenie, jakby był przekonany, że to nie ciężka choroba,

a ktoś z rodziny odebrał mu matkę. Czując wiszącą w powietrzu awanturę, dwie staruszki oddaliły się spod kontenera, by po chwili zniknąć w bocznej alejce.

Mateusz nie wiedział, co robić. Wyjście ojcu naprzeciw mogłoby skończyć się bójką, z kolei pozostanie w miejscu – dopuszczeniem go do głosu, a wtedy najpewniej skompromitowałyby i siebie, i rodzinę. Podejmowanie szybkich decyzji nie było jego mocną stroną. W większości przypadków czekał, aż sprawy potoczą się swoim torem. Tak było i tym razem.

- Wynocha mi stąd! – krzyknął ojciec, zbliżywszy się do żałobników. – Ja, coś czuję, zrobię z wami kiedyś porządek!

Wszystkie oczy zgodnie zwróciły się ku niemu. Konsternacja była bodaj większa, niż gdy pada „nie” na ślubie.

- Rodzina, pożałuj się boże! Jak tak, to nawet nie raczą zadzwonić, a teraz to wielce zrozpaczeni. Wstydziłibyście się! Jeszcze dobrze nie wystygła, a już się w grobie przewraca na wasz widok!

Właściwie to miał rację w tym, co mówił, ale okoliczności tej wypowiedzi oraz jej forma wywołały ogólne zażenowanie. Ksiądz przerwał kazanie, a grabarze wbili łopaty we wciąż pokątną górkę ziemi, jaka pozostała im do przerzucenia. Zbyszek patrzył pogardliwie na swoich krewnych, sąsiadów i znajomych, niczym kławisz na przechadzających się po spacerniku więźniów. Rozpięty rozporek oraz niechlujny wygląd o dziwo nie ujmowały mu powagi.

- Które z was choć raz odwiedziło ją w szpitalu, co? No

które? Pytam się! – naciskał, domagając się odpowiedzi.

O ile chwilę wcześniej zgromadzenie zgodnie podniosło wzrok i spojrzało na niego z obruszeniem, tak teraz większość spuściła głowy. Zbyszkowi wydawało się, że uderzył w ich czuły punkt, że zagrał im na uczuciach, że obnażył cały ich fałsz i hipokryzję. Jednak w rzeczywistości ich zakłopotanie było tylko pozorne, ponieważ to on był głównym aktorem tej tragifarsy i to on, a nie oni, gdy już będzie po wszystkim, miał trwale zapisać się w pamięci i jeszcze przez długi czas służyć za temat rodzinnych żartów, docinków i plotek.

- No i co się tak głupio patrzycie? Menela nie widzieliście? Myślicie, że ja nie wiem, co wy tam na mnie gadacie na tych waszych obiadkach, spacerkach i chuj wie, gdzie jeszcze?! Że Stawicki to zwykły cham? Że menel? Może i racja. Może i jestem menelem. Ale wy wcale nie jesteście lepsi! Każde z was ma coś na sumieniu, ale żadne nie chce się do tego przyznać. Wielka mi rodzina. Przychodzą sobie tylko na pogrzeby i śluby, od okazji do okazji, a i to, jak im się zachce. A pies was jebał! Ja se dam radę, ale wy z takim zachowaniem daleko nie zajedziecie. Jeszcze wspomnicie moje słowa!

Na koniec ostentacyjnie splunął na ziemię, po czym odwrócił się i odszedł. Wszystko trwało bardzo krótko. Zebrani wokół grobu babci żałobnicy wymieniali spojrzenia, które przeskakiwały z jednych oczu do drugich i kolejnych jak kostki domina, a gdy przewróciła się ostatnia z nich, nastąpił cichy wybuch szeptaniny. Mateusz patrzył na matkę,

która próbowała robić dobrą minę, ale nie potrafiła ukryć wstydu. Jej oczy zaszkliły się, a policzki podeszły czerwienią. Mimo że twarze żałobników wyrażały teraz zrozumienie i współczucie dla będącej na skraju płaczu żony alkoholika, ona stroniła od ich spojrzeń. Z każdą sekundą coraz głębiej pogrążała się we własnych myślach. Flirtowała ze światem, w którym była teraz jej teściowa. Marzyła, by choć na chwilę w niego wstąpić, bo tylko tam mogły wspólnie wymazać z pamięci, oddzielić grubą kreską wszystkie waśnie, jakie towarzyszyły ich relacjom, odkąd Beata wprowadziła się na Krańcową.

czerwiec 2002

Dla Karola Wenera te wakacje zaczęły się fatalnie. Któregoś dnia, około piątej nad ranem, niezapowiedzianą wizytę w jego mieszkaniu złożyli funkcjonariusze z Wydziału do Walki z Przestępczością Narkotykową Komendy Miejskiej Policji w Lublinie, wraz z dwoma labradorami, z których jeden był jasnokremowy, a drugi - biszkoptowy.

- Otwierać! Policja! - padły bezwarunkowe, kategoryczne słowa.

Karol zerwał się z łóżka i pobiegł do łazienki. To właśnie tam trzymał towar. Chował go pod wanną w specjalnym, szczelnym opakowaniu, chroniącym przed wilgocią. Łazienka była jedynym miejscem w domu poza wszelkim podejrzeniem, a ponadto w sytuacjach takich jak ta mógł łatwo spuścić towar w toalecie. W ciągu tych kilkunastu sekund, jakie upłynęły od momentu, gdy funkcjonariusze po raz pierwszy zapukali do drzwi, do momentu, gdy je wyważyli i wtargnęli do środka, zdołał pozbyć się wszystkiego, co miał: marihuany, amfetaminy, tabletek UFO, ecstasy, samarek. Narkotyki popłynęły z nurtem spuszczonej wody, a obfita piana wytworzona przez kostkę toaletową

przykryła dno muszli.

Tymczasem labradory rozbiegły się po mieszkaniu. Biskoptowy obwąchiwał skonsternowanych rodziców, a jasnokremowy jak opętany drapał łapami o sedes. Jeden z funkcjonariuszy wyciągnął Karola z łazienki, rzucił na podłogę i przycisnął kolanem. Zakuwszy go w kajdanki, przedstawił nakaz rewizji, po czym wraz z kolegą rozpoczęli przeszukanie mieszkania. Po blisko godzinie przetrząsania pokoi, rozrzucania ubrań, odsuwania mebli, sprawdzania balkonu, piwnicy oraz pawlaczy funkcjonariusze nie znaleźli nawet grama. Skończyło się na strachu, wielogodzinnym przesłuchaniu na komendzie i bezpowrotnie utraconym zaufaniu rodziców.

Za drugim razem Karol nie miał tyle szczęścia. I bynajmniej nie chodziło o policję. Jako że stracił cały towar (za który miał rozliczyć się z zarobionych pieniędzy), ukrywał się przed swoimi dostawcami, tygodniami nie wychodząc z domu. Ci jednak cierpliwie czekali, żeby go dorwać. Któregoś wieczoru, gdy akurat wyszedł wyrzucić śmieci, podjechali pod klatkę i zaciągnęli go do samochodu, a następnie wywieźli do lasu nad Zalewem Zemborzyckim. Tam dotkliwie pobili, przywiązali do drzewa i zostawili na noc ku przestrodze. Zagrozili, że następnym razem już nie będą tacy delikatni. Oczywiście o umorzeniu należności nie mogło być mowy. Nad ranem znalazł go jakiś mężczyzna spacerujący z psem po lesie. Pierwszą rzeczą, o jakiej Karol pomyślał po tym, jak ów mężczyzna go odwiązał, był wiszący nad nim jak gilotyna dług i szybko rosnące odsetki.

- Myślisz, że się uda? - spytał Piotrek, nerwowo spoglądając w stronę kwaciarni na ulicy Puchacza.

- Jak nie, to trudno - odparł Mateusz. - Spróbujemy gdzie indziej. Zresztą i tak nie mamy wyjścia. Jak do piętnastego nie skminimy floty, to pójdziemy do piachu razem z nim.

- My? A co nam do tego? Przecież to jego długi.

- Ale poręczyliśmy za niego.

- No właśnie, a może to był jednak zły pomysł?

- Nie wiem, może. Trzeba było wcześniej zastanawiać się nad tym.

- Wiesz co?

- Co?

- Ja to bym proponował, żebyśmy zebrali ekipę i zrobili im wjazd, ale taki na pełnej kurwie, czaisz? Wtedy na pewno odpierdolą się od nas!

- Chyba jesteś niepoważny - Mateusz sprowadził Piotrka na ziemię. - Czy ty w ogóle masz pojęcie, co to są za kolesie? Myślisz, że im można robić *wjazdy*? Zastanów się lepiej, zanim pierdolniesz jakąś bzdurę.

- No co? Po prostu staram się wymyślić coś zamiast tego, co teraz robimy - tłumaczył się Piotrek.

- No to żeś, kurwa, wymyślił.

- No dobra, jak chcesz, to mogę w ogóle się nie odzywać! Ale mówię ci, będzie z tego niezły przypał.

- Weź skończ, OK? Nie mogę już tego słuchać. Co się z tobą dzieje ostatnio?

- Nic.
- Chyba nie chcesz się wycofać, co?
- Nie chcę, nie o to chodzi.
- A o co?

Piotrek przez chwilę nie chciał powiedzieć, o co chodziło, ale w końcu jakoś się przemógł.

- Po prostu jestem trochę zdygany. To chyba normalne, nie?

- A myślisz, że ja nie jestem? Jak liczę, ile jeszcze zostało, to się cały telepię - wyznał z rozbijającą szczerością Mateusz.

- A ile zostało?
- W chuj.
- No ile? - dopytywał Piotrek.
- Jakies pięć koła.
- Pięć koła? Ja pierdolę, za chuja tyle nie uzbieramy!
- Uzbieramy. Musimy tylko trzymać się planu - przekonywał Mateusz.
- A jak nie uzbieramy, to co?
- Nie wiem, będziemy ich błagać na kolanach o przedłużenie terminu. Masz lepszy pomysł?
- A co, jak nas psy zawiną?
- No wtedy to już lipa.
- Lipa? Kurwa, łatwo ci mówić, bo nie jesteś notowany - denerwował się Piotrek.

- Kurwa mać, daj już spokój! No co mam ci jeszcze powiedzieć?! Że mamy przejebane? Tak, *mamy przejebane*. Zadowolony? To chciałeś usłyszeć? - nie przebierał

w słowach Mateusz.

- Nie...

- No to o co ci chodzi?

- O nic. Ja tylko mówię, że to już nie jest to samo, co kradzież wafelków w supersamie za małolata.

To zdecydowanie nie było to samo. Żeby spłacić długi Karola, który od kilku dni leżał w szpitalu na obserwacji, Mateusz i Piotrek zajęli się fałszowaniem pieniędzy i wprowadzaniem ich do obiegu. Proceder, choć prowadzony w na wskroś amatorski sposób, był wyjątkowo dochodowy. Przynosił średnio sto siedemdziesiąt złotych zysku na osobę dziennie. Mechanizm działania był prosty. Najpierw chłopcy skanowali prawdziwe banknoty, głównie dziesięcio- lub dwudziestozłotowe, bo tych nikt nie sprawdzał. Następnie drukowali je obustronnie na kolorowej drukarce laserowej. Po dokładnym wycięciu gnietli je tak, by wyglądały na sfatygowane. Oczywiście ich jakość nadal pozostawiała wiele do życzenia. Różnica pomiędzy prawdziwym a fałszywym banknotem była uderzająca, dlatego żeby proceder mógł być skuteczny, należało spełnić kilka warunków.

Najważniejszy był wybór ofiary. Idealnie, jeśli była to jakaś staruszka, najlepiej ze wsi, trudniąca się drobnym handlem na którymś z lubelskich targowisk. Równie ważny był sposób podawania banknotu. Najlepsze efekty dawało składanie go na pół lub umiejętnie zasłanianie ręką przy jednoczesnym zagadywaniu sprzedawcy, by odwrócić jego uwagę od banknotu. W tym celu najlepiej sprawdzało się zachwalanie towaru, jak najdłuższe utrzymywanie kontaktu

wzrokowego, wymiana uprzejmości oraz szeroki uśmiech. Dobrze, jeśli do danego stoiska stała długa kolejka, wówczas sprzedawca chciał jak najszybciej obsłużyć klientów i rzadko kiedy patrzył na banknoty, nawet te o wysokich nominałach. Oprócz tego chłopcy przestrzegali ściśle określonych zasad, aby ograniczyć do minimum ryzyko związane z procederem. Po pierwsze, nigdy nie nosili ze sobą więcej niż jednego banknotu; w razie wpadki mogli powiedzieć, że ktoś im taki banknot wydał i że sami padli ofiarą oszustwa. Po drugie, unikali zamkniętych przestrzeni, takich jak sklepy, punkty usługowe czy supermarkety, ponieważ trudniej było z nich uciec. Po trzecie, w żadnym wypadku nie przychodzili do danego miejsca dwa razy.

- Twoja kolej - powiedział Mateusz, odpalając papierosa.

- Moja?

- No a czyja? Już nie udawaj, kurwa, że nie wiesz czyja - stwierdził, będąc w tym momencie już mocno poirytowanym.

- No racja, w sumie moja - przyznał Piotrek. - Ale sam nie wiem - dodał niepewnym głosem.

- No nie, co znowu?

- Mielśmy puszczać te fałszywki na otwartych przestrzeniach, tak?

- Tak, ale kończą się nam miejscówki. Nie marudź. Musimy zaryzykować, bo inaczej nic z tego nie będzie.

- No dobra, ale jak się nie uda, to mi potem nie mów, że cię nie ostrzegałem, że będzie z tego przypał, OK?

- OK - odparł Mateusz obojętnie, chyba tylko po to, by nie musieć dłużej wysłuchiwać marudzenia Piotrka.

- To co mam kupić?

- Może ziemię ogrodową? Powiedz, że babcia ma działkę i wysłała cię po ziemię, ale nie powiedziała, jaką dokładnie czy coś w tym stylu. Poproś, żeby ci coś doradziła.

- Co to za klientka?

- Jak byłem tam parę dni temu na orientację, to siedziała jakaś baba, tak z pięćdziesiąt lat. Miejmy nadzieję, że będzie ta sama, bo wyglądała na niekumatą.

- No dobra. Ty, a ile taka ziemia kosztuje?

- Nie wiem, z pięć zeta.

- Pięć zeta? Kurwa, jak będziemy tyle płacić, to nigdy tego nie uzbieramy!

- Posłuchaj - powiedział Mateusz, a jego słowa miały teraz w sobie coś z dramaturgii ostatniego aktu sztuki teatralnej. - Albo tam pójdziesz, kupisz tę jebaną ziemię i przyniesiesz kasę, albo za dwa tygodnie nas pod taką ziemią zakopią, rozumiesz? To może od razu weź więcej - i łopatę, jak mają.

- No dobra, dobra, idę!

Piotrek wziął od Mateusza trefną dwudziestozłotówkę, przeszedł przez jezdnię i wszedł do kwaciarni. Nieliczne samochody płynęły wolno jak gondole wąską ulicą Puchacza, lawirując pomiędzy wyrwami w drodze. Zapach spalin kołysał się na wietrze niczym bujany fotel, unosząc się coraz wyżej i wyżej, by w końcu osiąść łagodnie na liściach okolicznych drzew. Było bardzo gorąco. Żar lał się z nieba na dachy budynków, chodniki oraz karoserie zaparkowanych gdzie popadnie aut. Dla jednych ten specyficzny, miejski

mikroklimat był męczarnią, inni zaś czuli się w nim wyśmienicie. Do tych ostatnich z pewnością nie należała kobieta z kiosku naprzeciwko, który latem zamieniał się w saunę, ani też grubas w przepoconej pod pachami żółtej koszulce, wychodzący z delikatesów z paczką chipsów w ręku. To właśnie takim oraz im podobnym ludziom najtrudniej było oddychać pełną piersią, dosłownie i w przenośni, na skąpanym w słońcu blokowisku.

Mateusz nastawił stoper w komórce na umówione trzy minuty i czekał.

Minęły cztery, a Piotrek nie wiedzieć czemu wciąż nie wychodził z kwiaciarni. Mateusz niecierpliwił się. Według tego, co było ustalone, już dawno powinien był się ulotnić. Obiecali sobie, że wpadka jednego z nich nie może pociągnąć za sobą drugiego. Jednak lojalność wobec przyjaciela z podwórka nie pozwalała Mateuszowi tak po prostu odejść. Czyżby Piotrek wpadł? Czyżby ta baba z kwiaciarni w jakiś sposób zatrzymała go w środku i dzwoniła teraz na policję? A co, jeśli i jego złapią? Czy wytrzymałby na komisariacie? A może pękłby albo dał się zaszantażować i w jednej chwili stracił wszystko, na co pracował od dzieciństwa: szacunek, dobre imię, kolegów. Przecież znał zasady: żadnych nazwisk, adresów, ksyw. Dla tych, którzy je łamali, nie było litości. Nikt nie mówił im cześć, a ich rodzice nigdy więcej nie usłyszeli dzień dobry. Ci, którzy puszczaali parę z ust, byli bici i opluwani. Ich imiona widniały na wszystkich klatkach

w jednej linii z najgorszymi epitetami, jakie można było sobie wyobrazić, informując kolejne pokolenia o tym, kto był kim. Frajer. To słowo było jak trąd w średniowieczu, jak klątwa, której nie dało się zdjąć, a z którą nie sposób było żyć. Niezależnie od tego, czy wypowiedane szeptem na szkolnym korytarzu, czy bez skrępowania, gdy kończyły się lekcje, niszczyło psychikę w równym stopniu, co alkoholizm ojca albo pedofilia. Z frajerami nikt się nie zadawał, bo mógł podzielić ich los. Świat osób, którym przyklejono taką łatkę, w zasadzie nie różnił się od więzienia, z którego nie było ucieczki ani możliwości warunkowego zwolnienia. Ci najbardziej zgnębieni błagali rodziców, żeby się wyprowadzić. Większość bagatelizowała sprawę, ale byli też i tacy, którzy nie mogli dłużej patrzeć na gehennę swoich dzieci i po namowach godzili się na przeprowadzkę. Właśnie tak na Bronowicach można było stracić najlepszego kumpla. Ulica nie wybacza. Ulica dla nikogo nie robi wyjątków.

Mateusz odetchnął z ulgą, gdy Piotrek wreszcie wyłonił się z kwiaciarni. Spojrzawszy na siebie porozumiewawczo, ruszyli obaj szybkim krokiem w kierunku Krańcowej, Mateusz lewą stroną ulicy, a Piotrek – prawą. Przeszedłszy kilkanaście metrów, usłyszeli za sobą gorączkowy, kobiecy głos.

- Halo! Chłopcze! - zawołała kwiaciarka po pięćdziesiątce, ta sama, o której wspominał Mateusz.

Piotrek, do którego skierowane były te słowa, nawet się nie obejrzał, tylko od razu zaczął uciekać. Było jasne, że wpadł w panikę, mimo że wiele razy rozmawiali z Mateuszem

o panowaniu nad stresem w tego typu sytuacjach.

- Halo! - powtórzyła kwiaciarka, tym razem głośniej.

Mateusz próbował nie rzucać się w oczy. Szedł chodnikiem, rozglądając się przy tym dyskretnie, czy aby przypadkiem nie było gdzieś policji. Jedną rękę trzymał w kieszeni, ściskając w niej telefon, by w razie czego zadzwonić do Piotrka i go ostrzec. Znali swoje numery na pamięć. Zapisywanie ich w telefonach było zbyt ryzykowne.

- A ziemia?! - krzyknęła kwiaciarka, ale te słowa nie mogły już dogonić rozpędzonego Piotrka, który zniknął jak kamfora pomiędzy blokami.

Mateusz wziął głęboki oddech. Nerwówka w jednej chwili uleciała z niego jak bąbelki po otwarciu butelki wody sodowej. Popatrzył jeszcze raz na kwiaciarkę. Kobieta machnęła ręką i weszła z powrotem do swojej budki. Uśmiechnął się pod nosem. Właściwie to najchętniej roześmiałby się teraz w głos, ale uznał, że byłoby to wysoce nieprofesjonalne. Mimo że daleko mu było do oszustów wirtuozów czy wielkich szulerów, których oglądał w amerykańskich filmach, cieszył się z każdego małego kroczku, który przybliżał go do celu. Za kim jak za kim, ale za Karolem poszedłby w ogień, a nawet do lasu nad Zalewem.

Idąc dalej w stronę Krańcowej, doliczył w myślach kolejne piętnaście złotych do już uzbieranej sumy.

lipiec 2002

Tego wieczoru na Bronowicach zabrakło prądu. Mieszkania, ulice oraz podwórka zalała ciemność. Latarnie zamknęły oczy i pogrążyły się we śnie. Lewitujące pod nimi owady nagle straciły orientację i dla pewności poprzysiadały na słupach w oczekiwaniu na powrót ciepłego, hipnotyzującego światła. Ludzie wyglądali przez okna, by zobaczyć, czy u sąsiadów również nie było prądu.

Na placu przed blokiem na Krańcowej 109 tutejsze dzieci bawiły się w chowanego. Nieczęsto miały okazję, by pobawić się w tak niecodziennej scenerii, przez co były bardzo podekscytowane. Lipcowe powietrze nasiąkało ich beztroskim potem. Chowaly się po krzakach i za blokami, kładły na płask w piaskownicy, ścigały się z kryjącym do bazy. Z daleka, gdy nie słyhać było ich przekleństw i nie widać było tego charakterystycznego dla bronowickich dzieci spojrzenia – pełnego agresji, zepsucia, ulicznego cwaniactwa i kunktatorstwa – wyglądały jak małe, rozbrykane aniołki w środku upalnych wakacji. Dla rodziców każde z nich było zapewne powodem do dumy, swoistym uosobieniem ich lepszego ja, rozgrzeszeniem własnych złych występków,

nadzieją na przedłużenie rodzinnych korzeni bez powielania ich błędów; takie biegające czyste kartki, niezapisane przez los i znające grzechy tylko z katechezy szkolnej. W rzeczywistości dzieci te, jak każde zresztą, były jak koty: słodkie i kochane, gdy małe, kapryśne i niewdzięczne, gdy dorastały.

A dorastały tu szybko. Z przewiązaniem starą sznurówką kluczem na szyi, bez wiedzy wiecznie nieobecnych, często tyrających na dwa etaty rodziców, wchodziły w świat dorosłych, próbując żyć według rządzących nim zasad. Na ulicach, placach i trzepakach snuły marzenia, które wykraczały daleko poza obskurne bloki, w których mieszkały, zdewastowane ławki, na których przesiadywały oraz niejednokrotnie patologiczne rodziny, w których przyszło im żyć. Ale Bronowice gasiły te marzenia tak jak niespodziewany, rześisty deszcz gasi setki, tysiące zniczy na pierwszego listopada. Gdy już nie było marzeń, z czasem na białych kartkach pojawiały się kleksy, rysy twarzy z łagodnych pociągnięć przechodziły w coraz ostrzejsze końcówki, spojrzenia warczały nienawiścią, a usta pluły jadem. Zabawa w chowanego była jedną z ostatnich niewinnych rzeczy, jakie te dzieci będą w życiu robić.

Wybiła dwudziesta druga, gdy pierwsi rodzice zaczęli wołać swoje pociechy do domu. Latem pozwalali im zostać na dworze nieco dłużej, pod warunkiem że nie oddalały się spod bloku. Takie ograniczenia nie dotyczyły dziewiętnastoletnich

Mateusza, Karola i Piotrka, którzy, jak co wieczór, siedzieli na stołkach wokół przytwierdzonego do asfaltu metalowego stolika, tuż obok piaskownicy. Dopóki nie wysiadły latarnie, których światło padało częściowo na ów stolik, czas upływał im na grze w tysiąca. Mimo ciszy nocnej bas w zasilanym bateriami magnetofonie na kasety dudnił mocno w rytm utworów Molesty:

Poważne życie kłopotów mnóstwo
cały czas do przodu nigdy samobójstwo
klapki na oczach patrzę w lustro i myślę
czego się nauczyłem i kto był moim nauczycielem
czy mogę powiedzieć że jestem rodziców spełnieniem nie wiem
pamiętam szkołę z której nic nie wyniosłem
tylko swoim rodzicom wstyd przyniosłem
to refleksje o podwórku na którym dorosłem

Hip-hop był jedynym gatunkiem muzyki uznawanym przez osiedla. Ci, którzy woleli inne brzmienia, mieli dwie możliwości: kryć się ze swoim gustem albo obnosić się z nim, przy czym ta druga opcja oznaczała „muzyczną banicję” oraz, co często miało miejsce, marginalizację w towarzystwie. Jeśli osiedla były ciałem, to hip-hop był ich krwiobiegami. Krytykowany za nawoływanie do przemocy, sprowadzany do sztuki drugiej kategorii, postrzegany jako agresywny bełkot, tutaj był głosem pokolenia, krzykiem blokowisk, swoistym rzecznikiem zbuntowanych nastolatków. Prawdziwy hip-hop miał misję społeczną.

Przemawiał w imieniu tych, których nikt nie chciał słuchać. Przypominał o istnieniu tych, o których każdy wolałby zapomnieć. Dla dzieciaków z ulicy był jak najlepszy przyjaciel: pocieszał po porażkach, wzniecał dumę po zwycięstwach, inspirował do wstania z kolan tych, którzy potknęli się w życiu.

Mateusz, Piotrek i Karol przesiedli się ze stolika na ławkę przy żywopłocie. Ławka ta była bodaj najciemniejszym miejscem na Bronowicach. Nie dochodziło tu żadne światło i nawet z kilku metrów trudno było dostrzec, kto na niej siedział. Karol wyciągnął z kieszeni woreczek wypchany marihuaną i pieczołowicie nabił nią szklaną fifkę. Następnie podпалиł ją zapalniczką, długo obracając nad płomieniem jak kurczaka na rożnie, by zaraz potem pazernie zaciągnąć się dymem. Nie wypuszczał go z płuc przez kolejnych kilka sekund dla lepszego efektu.

- Kurwa - zaklął Mateusz, widząc taką ilość towaru w nieodpowiedzialnych rękach najlepszego kumpla. - Tylko mi nie mów, że znowu wzięłeś w kredo, bo ci normalnie zajebię! - zagroził.

W tym momencie Karol zakrztusił się dymem, który zaczął buchać z jego ust jak z paszczy bekającego smoka. Żar tlił się w fifce jeszcze przez chwilę, po czym przyczajony czekał, aż zapalniczka ponownie popieści go płomieniem. Piotrek przysłuchiwał się w milczeniu załączkowi gorącej dyskusji pomiędzy kolegami.

- Właśnie że nie w kredo! - bronił się Karol, ciągle pokaszując. - Jak nie wiesz, to się nie odzywaj!

- To skąd niby wzięłeś flotę?
- A co cię to obchodzi?
- No skąd? - naciskał Mateusz.
- Miałem trochę zaskórniaków.
- Zaskórniaków?
- Tak, zaskórniaków. A co, nie wolno?
- Kurwa, nie mogę z tobą! To my tu ręczymy za ciebie, latamy jak pojebani z fałszywkami, przecież ledwo nam się, kurwa, udało, a ty sobie za zaskórniaki bakę kupujesz?! - Mateusz wściekł się. - Mało ci, kurwa, przygód? Może jeszcze nas w tysiąca chciałeś ograć, co? Dobrze, że światła zgasły, bo ci karta szła!
- Ja pierdolę, o co ci chodzi? Weź wyluzuj. Przypierdalasz się o trochę baki?
- Zrozum, tu nie chodzi o bakę...
- A o co?
- O to, że sobie z nami w chuja lecisz!
- Ja?
- Tak, ty. W ogóle nas nie szanujesz!
- Ja was nie szanuję? Kurwa, od małopata idę za wami w ogień, w najgorszą zadymę, a ty mi mówisz, że was nie szanuję?! Ile razy stawałem za wami? Ile razy napierdalałem się za was, co? No, ile?!
- Nie zmieniaj tematu. Dobrze wiesz, że nie o tym gadamy. Pomogliśmy ci, ryzykowaliśmy dla ciebie, a ty nawet browara nie raczyłeś postawić, nie mówiąc już o zwykłym dziękuję! A jak by tego było mało, przewalasz nas i bunkrujesz przed nami flotę! Tak się odpłacasz za pomoc?

Kurwa, myślałem, że mam dwóch ziomków, ale najwyraźniej mam tylko jednego!

Karolowi zrzędała nieco mina. Był zmieszany.

- Znając ciebie, to niedługo pewnie znowu się w coś wpierdolisz przez tę swoją głupotę, ale wtedy to już nie licz na mnie! - dodał Mateusz bez ogródek.

- Tak?! To bez łachy, sam se dam radę! - odburknął Karol.

Po tych słowach zapanowała cisza. Chyba żaden z nich nie pamiętał, kiedy ostatni raz było między nimi tak cicho, oczywiście nie licząc momentów, gdy z nudów gapili się na bloki. Znali się od dziecka. Spędzali ze sobą cały swój wolny czas. Nie mieli przed sobą tajemnic. I choć każdy miał coś na sumieniu, to nigdy wcześniej nie zdarzyło się, by jeden drugiego oszukał. Do tej pory tworzyli monolit, byli skałą, której nie dało się skruszyć ani której nie mogła wydrążyć żadna, nawet najbardziej cierpliwa woda. A jednak ich przyjaźń została wystawiona na próbę. To właśnie tego wieczoru i na tej ławce mieli przekonać się, że nadszarpnięte zaufanie jest jak rana, która wprawdzie goi się, ale zostawia blizny.

Cisza stawała się krępująca. Mateusz patrzył na Piotrka zawiedzionym wzrokiem. Miał mu za złe, że nie włączył się do dyskusji i nie stanął po jego stronie. Karol z kolei przyjął obrażoną pozę i zabrał się z powrotem za swoją jeszcze ciepłą firkę, która wyglądała w jego rękach niczym kadzidełko; podpalał ją, zaciągał się i wstrzymując oddech, patrzył, jak leniwie ulatniała się z niej wstążka dymu,

oplatając powietrze charakterystycznym zapachem. Gdy wypalił całą zawartość, nabił ją ponownie i podał Mateuszowi.

- Nie chcę - pokręcił głową Mateusz.

- No masz, pal - nalegał Karol.

- Nie chcę.

- O Jezus, będziesz się tak teraz fochować?

- A ty będziesz mnie tak dalej wkurwiać?! Jak mówię, że nie chcę, to nie chcę - to ostatnie zdanie zabrzmiało nader asertywnie.

- No dobra, jak chcesz się obrażać o pierdoły, to twoja sprawa - wzruszył ramionami Karol, podając firkę tym razem Piotrkowi.

Ten również odmówił.

- Ja pierdołę, to jakaś zmowa? Zachowujecie się jak panienki! - wściekał się Karol. - I kto tu kogo nie szanuje?!

Nagle wstał z ławki i podszedł do stolika. Stanąwszy przy najwyższym ze stołków, przystawił firkę do ust i przedmuchał ją z popiołu, który wyleciał drugą stroną wraz z towarzyszącym mu poświstem. Następnie wnikliwie przyjrzał się jej, najpierw z zewnątrz, a potem popatrzył przez nią jak przez lunetę, by zobaczyć, czy zebrało się w niej wystarczająco dużo osadu nadającego się do późniejszego opalenia. Wykonywał te czynności nieśpiesznie, wręcz je celebrował. Wszystko po to, by zyskać na czasie. Nie chciał bowiem iść do domu, ale czuł, że Mateusz i Piotrek nie byli zainteresowani dalszą z nim rozmową.

- No dobra - powiedział w końcu - skoro nie chcecie

zajarać, to spierdalam na kwadrat. Nie będę tu z wami siedzieć bez sensu. Nara - skwitował i nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i odszedł.

- Nara - odparł Mateusz.

- No, nara - zawtórował mu Piotrek.

Minął kwadrans. Powietrze wokół ławki wciąż pachniało marihuaną. Mimo późnej pory było tak zbite i gęste, że miało się wrażenie, że można je było pokroić nożem. Baterie w magnetofonie słabły, ciągnąc za sobą muzykę oraz wersy niczym spragniony, wycieńczony zaprzęg konny. Dzieci przerwały zabawę w chowanego i rozsiadły się na drabinkach, kilkanaście metrów od ławki, na której siedzieli Mateusz z Piotrkim. Odkąd Karol poszedł do domu, ci zamienili ze sobą raptem kilka słów.

- Czemu się nie odezwałeś? - spytał nagle Mateusz, poprawiając okulary.

- A po co miałem się odzywać? Przecież wiesz, jaki on jest - tłumaczył się Piotrek.

- No wiem, ale mogłeś coś powiedzieć, nie wiem, cokolwiek. W sumie ciebie też to dotyczy, nie?

- A myślisz, że to by coś dało? Sam widzisz, jak on reaguje. Nic mu się nie da przetłumaczyć. Już mu się w głowie poprzewracało od tej baki!

- Faktycznie, trochę się zmienił ostatnio.

- Trochę się zmienił? Kurwa, Mati, jemu całkiem odjechało! Zadaje się z jakimiś małolatami, pali więcej zioła

niż my szlugów, a chuj wie, co tam jeszcze po kryjomu bierze, może białko, może jakieś piguły, nie wiem, i jeszcze ta akcja z tymi kolesiami! Któregoś razu go odjebią, zobaczysz. Wcale bym się nie zdziwił.

- Miejmy nadzieję, że rzeczywiście wziął tę bakę za zaskórniaki, a nie znowu w kredo.

- Wiesz co, mnie to już przestało obchodzić. Niech sobie robi, co chce. Jak jest taki głupi, to niech się sam martwi. Ja nie będę kolejny raz za niego ręczyć, a już na pewno nie będę biegać z fałszywkami.

Tego samego nie mógł powiedzieć Mateusz. Karol był dla niego niemal jak brat. Nieważne, że jeszcze kwadrans temu mieli ostrą wymianę zdań; na pewno nie zostawiłby go w potrzebie, choćby tamten zrobił najdurniejszą rzecz na świecie.

- Dobra, nie gadajmy już o nim - zaproponował Piotrek. - Może jakiegoś kielicha walniemy, tak na rozluźnienie?

- Nie wiem, w sumie późno się zrobiło. Muszę jutro rano wstać do roboty.

- Dalej układasz tę kostkę?

- No.

- Na twoim miejscu bym to rzucił w pizdu, to chujowa robota jest.

- Nie mogę.

- Czemu?

- Bo nas wyeksmitują.

- Wyeksmitują was? Ale jak to?

- Normalnie. Matka zalega z czynszem, już nie wiem ile

miechów. Właściwie to nie tyle zalega, co w ogóle przestała płacić. Non stop przychodzą jakieś ponaglenia.

- A twój stary co na to?

- Nic, ma to w dupie. Do niczego się nie dokłada. Jak mu wpadnie jakiś hajs, to zaraz przepija.

- Robi gdzieś?

- Ostatnio robił w Providencii.

- Robił, czyli już nie robi?

- No, już nie. Któregoś razu miał maraton i przejechał całą sarę, co mu ludzie wpłacali, wiesz, na te raty pożyczek. Po tygodniu przyszedł kontroler i zastał go najebanego na wersalce. Wywalili go na zbity ryj. Teraz ma Kruka na głowie.

- Kruka?

- Takie biuro detektywistyczne. Ściągają długi.

- Aha - Piotrek zamyślił się na chwilę. - No to nieźle. Sorry, nie wiedziałem, że jest taka sytuacja.

- Spoko, skąd mogłeś wiedzieć?

- No a ty, jak sobie z tym wszystkim radzisz?

- Wiesz, raz lepiej, raz gorzej. Tylko ta jebana kostka już mi się śni po nocach. Liczę ją zamiast baranów, jak nie mogę zasnąć.

Piotrek wybuchnął śmiechem.

- Naprawdę - Mateusz próbował zachować powagę, ale sam też zanosił się od śmiechu.

- Weź, bo nie wytrzymam! - wydusił Piotrek pośród spazmów, które wstrząsały jego ciałem.

- Nie wierzysz?

- Nie rozwalaj mnie, Mati!

- Bez wała. Te kostki sobie tak lecą przez ogrodzenie, a ja je liczę. Kiedyś żeśmy takimi rzucali w trzydziestą pierwszą, pamiętasz? A teraz ja je liczę. Niezły schiz, co?

- Przestań, bo mnie brzuch rozboleł! - błagał Piotrek, trzymając się obiema rękami właśnie za tę część ciała.

- Dobra, nie gadajmy już o tym.

- Chodź, lepiej walniemy tego kielicha! - ponowił propozycję Piotrek.

- Ale najwyżej połówkę, co?

- Jasne, nie ma problemu. W sumie i tak to wszystko jutro wypocisz na tej twojej budowie, bo skwar zapowiadają.

- Bardzo śmieszne. Ciekawe, czy ty byś nie wypocił?

- Przecież żartuję, Mati, nie denerwuj się.

- Wiem, wiem. To przez Karola. Wkurwił mnie.

- No to musisz wrzucić na luz. To co, walniemy po kielichu?

- No dobra, to weź zawołaj któregoś z tych małolatów.

Piotrek spojrzał w stronę dzieci na drabinkach. Najpierw zagwizdał, a gdy tamci odwrócili głowy, zawołał:

- E, małolat! Chono tu na chwilę!

Żaden z siedzących tam chłopców nie kwapił się, żeby zejść z drabinek i podejść do ławki.

- E! - powtórzył znacznie głośniejszym głosem Piotrek. - Bo jak tam pójdę, to inaczej będziemy rozmawiać!

Na te słowa jeden z chłopców - niziutki, chuderlawy blondynek w białej koszulce, brudnych od trawy spodenkach oraz znoszonych trampkach - zeskoczył z drabinek

i ostrożnym, nieufnym krokiem ruszył w kierunku ławki. Jego cieniowane włosy, przywodzące na myśl postaci z japońskich kreskówek, były tego wieczoru jednym z niewielu jasnych punktów na tonących w ciemnościach Bronowicach. Przeszedłszy kilkanaście metrów, zatrzymał się tuż przy ławce, jednak w na tyle bezpiecznej odległości, żeby na przykład odskoczyć i uciec, gdyby Mateusz z Piotrkim chcieli zrobić mu krzywdę.

- Nie dygaj - uspokajał wyraźnie zląknionego chłopca Piotrek, przywołując go do siebie skinieniem głowy.

Chłopiec podszedł odrobinę bliżej.

- Nie bój się, nic ci nie zrobimy - zapewniał Mateusz, którego spojrzenie wzbudzało zaufanie, będąc zdecydowanie cieplejszym od łajdackiego, szelmowskiego spojrzenia Piotrka. - Skoczyłbyś do Siatkarza, co? Bo nam się nie chce. Weźmiesz pół litra i ramkę szlugów. Wiesz, gdzie mieszka, nie?

Chłopiec pokiwał głową. Nawet dziecko z podstawówki wiedziało, gdzie mieszkał i kim był Siatkarz. A był to samotny, bezdzietny mężczyzna po czterdziestce, utrzymujący się z lewej renty oraz handlu rozrabianym spirytusem i papierosami, w tym również na sztuki. Swoją firmę prowadził całodobowo, a wobec swoich klientów nie stosował ograniczeń wiekowych. Innymi słowy każdy, kto chciał, mógł kupić u niego alkohol - o każdej porze. Nie wiadomo, skąd wziął się jego pseudonim, bo w niczym nie przypominał prawdziwego siatkarza: niski, gruby, z brzuchem jak u rozwielitki, do tego palacz. Jako że

kupowali u niego praktycznie wszyscy, od miejscowych meneli przez młodzież szkolną i sąsiadów, aż po policjantów, na Bronowicach miał status osoby nietykalnej.

- Masz tu sarę - powiedział Mateusz, wręczając chłopcu dwudziestozłotowy banknot. - Kup, co trzeba, i przynieś resztę. Tylko się streszczaj!

Chłopiec wziął pieniądze i pobiegł w kierunku klatki, w której mieszkał Siatkarz.

- A, małolat! - zawołał za nim Piotrek. - Weź jeszcze kubeczki jednorazowe, jak ma!

Chłopiec przytaknął, by wkrótce potem zniknąć za krzakami.

Godzinę później prąd znów popłynął w elektrycznych żyłach Bronowic, rozświetlając okolicę. Podobnie jak adrenalina wyzwała u człowieka silne emocje, tak nagły przypływ prądu sprawił, że latarnie rozbłysły jaskrawszym niż uprzednio światłem. Uśpione owady przebudziły się i ponownie wzbiły w powietrze. Głosy przyrody, która za dnia przegrywała z betonem bezwzględną walkę o dominację nad miejską przestrzenią, były tym donośniejsze, im bardziej wieczór przechodził w noc. Drabinki opustoszały; wokoło nie było już żadnych dzieci. Mieszkańcy osiedla, znudzeni czekaniem, aż zakład energetyczny usunie awarię, położyli się spać. Osobliwy widok roztaczał się teraz przed oczami: ciemne, jakby opuszczone po wybuchu reaktora bloki, a pośród nich mieszkanie Siatkarza - jedyne, w którym paliło się światło.

Mieszkanie to było jak latarnia morska wskazująca drogę zabłąkanym pielgrzymom.

Jednym z takich pielgrzymów był pewien mężczyzna, któremu przyglądali się Mateusz z Piotrkiem. Mężczyzna ten zataczał się na bosaka przez plac, wabiony światłem z mieszkania Siatkarza jak pszczoła zapachem nektaru. Oprócz butów nie miał na sobie także spodni, a jedynie żółte, obsrane kalesony, zwisające mu w kroku niczym baggy. Sepleniał coś pod nosem i co chwila charkał na ziemię. Mateusz z Piotrkiem nie znali tego mężczyzny. Był on jednym z wielu nieznanym, którzy nocami przemierzali Bronowice, żeby kupić u Siatkarza alkohol.

- Ciekawe, jak to jest móc zmieścić całe swoje życie w reklamówce? - powiedział Mateusz ni to do siebie, ni to do Piotrka.

- Co? - spytał tamten, rozlewając do kubeczków resztkę spirytusu, którego, ze względu na przypalany cukier używany do jego produkcji, nie sposób było odróżnić od soku jabłkowego.

- Mówię, że niektórzy całe swoje życie noszą w reklamówce.

- A, no, tak jak ten obsraniec, co tam idzie - odparł Piotrek, patrząc na nieznanego. - Masz, wal, ostatnia kolejka - podał kubeczek Mateuszowi.

Podobnie jak poprzednie, tak i tę wypili bez popitki. Spirytus od Siatkarza nie wykrzywił im już ust tak jak kiedyś. Minęło wiele lat, odkąd pierwszy raz go spróbowali.

- Ja to w ogóle myślę - ciągnął Piotrek - że takich to

powinno zamykać się w jakimś getcie albo wieszac w miejscach publicznych, tak dla przykładu.

- Niektórzy sami się wieszają.

- Nie tacy jak ten.

- Jak to nie? Całkiem niedawno powiesił się brat mojej ciotki, też menel. W sumie to zrobił to niechcący.

- Niechcący? - zaśmiał się Piotrek. - Jak można *niechcący* się powiesić?

- Normalnie. Chciał zwrócić na siebie uwagę, więc wszedł na taboret, zawiązał sobie pętlę na szyi, przywiązał do gzymsu i zagroził, że się powiesi. Rodzina była wtedy w drugim pokoju. Przyzwyczajali się już do jego chorych akcji, a że był pijany, to w pewnym momencie stracił równowagę i taboret przewrócił mu się spod nóg. Nie odratowali go.

- Ja pierdolę, masakra.

- No. A z tym gettem, to powiem ci, że to jest całkiem niezły pomysł. Ale czy byłbyś na tyle konsekwentny, żeby zamknąć tam na przykład mnie?

- Ciebie? - zdziwił się Piotrek.

- No.

- Ale dlaczego akurat ciebie?

- No bo podobno alkoholizm jest dziedziczny. Babka zawsze mi mówiła, że w naszej rodzinie to idzie z dziada pradziada. Każdy Stawicki kończy tak samo. Ja i Marcin jesteśmy następni w kolejce.

- Daj spokój, przecież z tobą tak nie będzie. Ty jesteś normalny.

- Normalny? A co to według ciebie znaczy *normalny*?

Tylko popatrz, mam wszelkie predyspozycje, żeby zostać alkoholikiem: stary pije, matka ledwo wiąże koniec z końcem, ja układam kostkę brukową, na studia się nie dostałem, mieszkam na Bronowicach, a do tego wieczorami walę spiryt. Idealnie pasuję do profilu, nie?

- Nie ma jednego profilu dla wszystkich. Każdy jest inny
- argumentował nie bez racji Piotrek.

- To prawda, ale boję się, że to gdzieś tam czai się w genach, kumasz? I tylko czeka na jeden mój błąd, na jakieś niesprzyjające okoliczności, na to, żeby powinęła mi się noga. A niestety, to coś jest cholernie cierpliwe. Wyczeka cię, a gdy już raz przekroczysz granicę, to później cały czas musisz się pilnować. Wiesz, teraz sobie tu pijemy na luzie i jest fajnie, ale jeden krok za daleko i to cię ma. Wpadasz w to gównu po uszy, tracisz najcenniejsze lata swojego życia, a jak już jakimś cudem uda ci się z tego wygrzebać, to czujesz się, jakbyś był urodzony w grudniu i do końca życia musiał gonić urodzonych w styczniu rówieśników. Nadrabiać, czaisz? Wiecznie nadrabiać. Jak w szkole, tylko że tutaj nikt ci nie pozwoli pisać komisa.

- Ja jestem z lipca, więc może nie będę musiał aż tyle nadrabiać? - zażartował Piotrek, jakby próbując rozładować minorowo-refleksyjny nastrój Mateusza.

- No to masz farta.

- Wiesz co, ja myślę, że nie ma czego się bać. Naprawdę. Po prostu nie można przeginać pały.

- Może i racja, ale co, jeśli...

- Jeśli co?

Mateusz guzdrał się z odpowiedzią. Poprawił okulary, które zsuwały mu się z nosa, ilekroć zaczynał się pocić. Wahał się, czy zwierzyć się Piotrkowi. Co prawda byli przyjaciółmi, ale nie była to przyjaźń podobna do tej z Karolem, a nawet jemu Mateusz spowiadał się niezwykle rzadko.

- Chcesz o czymś pogadać? - spytał Piotrek taktownie, stąpając w tej rozmowie ostrożnie i cichutko, jakby zakradał się do wnętrza duszy Mateusza.

- Nie - powiedział Mateusz. - To w sumie głupie.

- Luz - odparł Piotrek ze szczerym zrozumieniem.

- Ja już chyba nie kocham swojego starego, wiesz? Najchętniej sam bym go wtrącił do tego getta, żeby tam zdechł. Nienawidzę skurwysyna!

Słowa te wypaliły nagle i samoczynnie - jak petarda, która wybucha w rękach albo niezabezpieczony pistolet w sypialni rodziców, który przypadkiem znalazły ich dzieci. Mateusz próbował je jeszcze zatrzymać, łapać w locie, ale te fruwały w powietrzu jak puch topoli w okresie pylenia. Im większy robił wiatr, im bardziej starał się je chwycić, tym bardziej oddalały się od niego. Jednocześnie poczuł ogromną ulgę, że wyrzucił je z siebie, że z kimś się nimi podzielił, że nie musiał już dłużej dźwigać tego ciężaru sam. Czuł się teraz jak nastolatek po pierwszym orgazmie: zdezorientowany, przejęty, błogo zmęczony. Jego smągła, równo opalona twarz, drobne, żyłaste dłonie, bardziej kobiece niż męskie, oraz w większości kościste ciało stały się lekkie, zupełnie jakby zeszło z nich powietrze.

- Nie mów tak. Na pewno go kochasz, to w końcu twój stary.

- A co, jeśli nie?

- Ja myślę, że kochasz, tylko po prostu te ciągle awantury i chłanie sprawiają, że nie czujesz tego na co dzień.

- Sam nie wiem - zamyślił się Mateusz. - Ostatnio zastanawiam się, czy coś takiego jak uczucia wyższe w ogóle istnieje.

- Znaczy się co? Że nie ma miłości, przyjaźni i tak dalej?

- Dokładnie.

- No coś ty?

- No tak, no bo popatrz, czym jest na przykład miłość, jak nie tylko silnym uzależnieniem emocjonalnym? Najzwyklejszym przywiązaniem, które pojawia się, gdy znikają feromony. Albo weźmy mojego starego. Czy to jest jeszcze miłość, gdy zaczynasz sobie uświadamiać, że tak naprawdę nic cię z tym człowiekiem nie łączy?

Piotrek wybałuszał na Mateusza oczy, zerkając jednocześnie na pustą butelkę po spirytusie i zastanawiając się, czy Siatkarz przypadkiem czegoś tam nie dolał. Jego zdziwienie brało się nie tyle z sensu wypowiedzi kolegi, bo przecież każdy miał prawo do własnego zdania, co z jej filozoficznego tonu, a przede wszystkim - z doboru słów, których na Bronowicach nikt na co dzień nie używał.

- Albo przyjaźń - rozkręcał się Mateusz. - Czym jest przyjaźń? Czy naprawdę jest czymś więcej niż tylko zbieżnością poglądów, przekonań, zainteresowań? Wspólnym tłem społecznym? Wydarzeniami, które można razem

powspominać? Takim samym poczuciem humoru? Tym, że chodziło się razem do podstawówki i mieszka się w tym samym bloku? Że było się razem nad Firlejem? Czy przyjaźń wznosi się ponad to? Czy przyjaciele sobie pomagają, bo łączy ich jakaś nierozzerwalna więź, którą można by nazwać „uczuciem wyższym”, a może właśnie ze względu na te wszystkie społeczno-towarzyskie powiązania?

Piotrek nie wiedział, co odpowiedzieć. Kolejne pytania spadały na niego jak lawina. Nie miał wyrobionego zdania na kwestie poruszane przez Mateusza, który jawił mu się teraz jako mentalny terrorysta, furiat zalewający go potokiem słów. Dopiero co popijali świeży, dobrze rozrobiony spirytus, palili papierosy, mieli wspólne tematy, a teraz mówili jakby dwoma różnymi językami, a w żagle na ich łodziach dął wiatr z dwu przeciwnych kierunków.

- Albo, dajmy na to, współczucie - nie rezygnował Mateusz, próbując sprowokować Piotrka do głębszej refleksji. - Przecież to nic innego jak pochodna egoizmu, tyle że w ładnym opakowaniu. Współczujemy nie dlatego, że jest w nas jakieś tam uczucie wyższe, ale dlatego, że boimy się wizji, w której przyszłoby nam zamienić się miejscami z tym żebrakiem pod kościołem albo z tamtym bezdomnym śpiącym na kartonie. Współczucie to w sumie bardziej wyraz strachu przed alternatywną rzeczywistością, którą reprezentują właśnie ten żebrak i tamten bezdomny. Zupełnie jak w Matriksie.

- W Matriksie? - spytał Piotrek, który na tym etapie kompletnie pogubił się w rozumowaniu Mateusza.

- No. Ta wrzucana do puszek złotówka, te koce dla powodzian, te miliardy wpompowywane w Afrykę, to niewielka cena, jaką płacimy za poczucie komfortu, za ten wirtualny świat, za to, by nie wiedzieć, co tak naprawdę przeżywają ci wszyscy ludzie. Nie ma w tym żadnej empatii. Takie jest moje zdanie.

- Wiesz co, Mati, ja myślę...

W tym momencie rozległ się straszliwy huk, który spłoszył zawiesiste powietrze, a jednocześnie sprawił, że obu chłopakom zadzwoniło w uszach. Nocny krajobraz najpierw jakby zadrżał, a następnie zamarł w bezruchu. Najlepiej widać to było po osiedlowych kotach, które nagle zamieniły się w posągi. Gdyby nie bicie serca, trudno byłoby je teraz odróżnić od ich egipskich odpowiedników - obiektów czci i kultu. Podwórka podrzucały sobie nawzajem echo huku jak niechciane cyganiątko. W blokach zapalały się kolejne światła, niczym rozrzucone po niebie gwiazdy tworzące razem okazałą konstelację. Zza firanek zaczęli wyglądać ludzie. Wyrwani z głębokiego snu przecierali oczy, by zobaczyć, co się stało.

- To Prezes! - krzyknął Piotrek, zawieszony gdzieś pomiędzy tym a poprzednim zdaniem. - Ma klamkę!

Mateusz znieruchomiał. Jego niezdecydowanie przyspawało go do ławki. Jedyne, co był w stanie zrobić, to bezradnie patrzeć, jak Piotrek zrywa się na proste nogi i zaczyna uciekać, wykonując przy tym serię przedziwnych zwodów jak komandos umykający przed gradem kul.

- Piotrek! - zawołał za nim, ale ten ani myślał się

zatrzymać.

To dość głośne zawołanie zwróciło natomiast uwagę Prezesa, który bez namysłu ruszył w stronę ławki, mierząc do Mateusza z pistoletu. Ludzie nieobliczalni nie napawają takim lękiem jak ci o czytelnych zamiarach. Prezes należał do tych drugich. Jak coś robił, to na serio. Energiczny krok, przyszyty do spustu palec oraz chirurgiczna, nieznająca drżenia ręka nadawały mu nadzwyczaj groźnego wyglądu. Zdawał się być jak egzekutor, jak cyngiel mafii, który nie zadaje zbędnych pytań. Może i był. Na osiedlu mówili o nim różne rzeczy. Jedni, że ściągał haracze, inni, że handlował narkotykami, jeszcze inni, że prowadził pub na Śródmieściu, gdzie spotykał się lubelski półświatek. Podobno miał jakiś układ z policją, dzięki czemu dostał pozwolenie na broń. No i ta jego seksowna utrzymanka. Jej jednej można było być pewnym w tym gąszczu domysłów.

Nie minęło kilkanaście sekund, a Prezes był już przy ławce. Wszystko działo się tak szybko, że nawet gdyby Mateusz chciał zmienić zdanie i pobiec za Piotrkiem, to w tym momencie było już na to za późno. Prezes stanął naprzeciw niego i wycelował centralnie w jego czoło, jakby miał ten punkt dokładnie obliczony. W oknach było pełno ludzi. Ich niepokój przebijał przez szyby. Część zegnana się już w myślach z młodym Stawickim. Rozgrzeszała go z mazania po klatkach, plucia na chodnik, ciągle wpadającej na balkon piłki, z picia do późnych godzin nocnych. Mateusz patrzył w wylot lufy jak w czarną czeluść, która za chwilę miała go pochłonać. To koniec, pomyślał. Jest taki moment

w życiu każdego człowieka, że wszystko to, co do tej pory przeżył, poczuł, czego doświadczył, w co wierzył, słowem całe jego życie staje mu przed oczami. Mateusz nie przypuszczał, że w jego przypadku ten moment nadejdzie tak szybko.

- Ty jesteś młody Stawicki? Syn Zbyszka? - spytał Prezes, przypatrzwszy mu się z bliska.

Słowa te zabrzmiały jak ostateczna formalność, jak ustalenie personaliów, po której następuje już tylko wykonanie wyroku.

- Yhy - odparł Mateusz, pogodzony z losem.

Ale Prezes nie strzelił. Zamiast tego opuścił rękę i położył broń na stoliku. Następnie wyjął z tylnej kieszeni zapalniczkę oraz papierosy i odpalił jednego.

- Palisz? - wyciągnął w kierunku Mateusza paczkę czerwonych Marlboro.

Mateuszowi nie chciało się palić, ale że takiej marce się nie odmawia, to wziął. Próbował zachowywać się normalnie, jednak w środku był śmiertelnie przerażony. Patrzył na Prezesa, który wydawał mu się teraz dwa razy większy niż zazwyczaj. Fakt, to był duży facet. Co prawda gruby, ale ten tłuszcz zdawał się być mocno ubity, nie wylewał mu się spod koszuli i nie trząsał jak galareta. Chyba nie był zbyt przystojny, ale najwyraźniej nie przeszkadzało to jego utrzymaniu.

- A powiedz no, co tam u twojego starego? - zagadnął, jak gdyby wszystko to, co działo się do tego momentu, nigdy nie miało miejsca. - Nie widziałem go już jakiś czas.

- W sumie nic - odparł Mateusz wymijająco.
- Słyszałem, że trochę popija.
- Trochę to za mało powiedziane.

Mateusz nigdy nie bronił ojca i nie wstydził się za niego. I tak wszyscy wiedzieli, że był alkoholikiem. Mimo to starał się nie zapraszać do domu dziewczyn ani osób z zewnątrz, by oszczędzić im niektórych widoków.

- Nie wiem, czy wiesz, ale ja i twój stary znamy się od małego.

- Naprawdę?

- Naprawdę. W sumie nigdy za szczególnie się nie kumpłowaliśmy, ale chodziliśmy razem do technikum.

- A czemu się nie kumpłowaliście?

Rozmawiali teraz jak dwaj koledzy. Powaga sytuacji gdzieś wyparowała.

- Bo wiesz, on ciągle biegał albo za piłką, albo za dupami, a ja robiłem swoje pierwsze biznesy, więc jakoś tak nie po drodze nam było. Poza tym on miał swoich kumpli, a ja swoich. Wiesz, jak to jest.

- Tak, wiem.

- No, ale w gałę to grał jak mało kto, nie powiem.

- To chyba jedyne, co po nim mam, bo z dupami to już trochę gorzej.

Prezes wybuchnął gromkim śmiechem. Potem przez chwilę nic nie mówił, a jedynie ćmił papierosa. Jego pucołowate policzki nie zapadały się, gdy się zaciągał.

- Nie wiem, czy ci opowiadał, jak proponowałem mu kiedyś robotę?

- Nie.

- Pomyślałem, że jak mam wziąć kogoś obcego, to wolę swojego, niech sobie zarobi parę groszy. Miał mi zrobić elektrykę w lokalu.

Czyli jednak pub na Śródmieściu, pomyślał Mateusz.

- I co?

- I nic. Nawet się nie pojawił. Pamiętam, że w tym czasie ostro dawał w palnik. Widywałem go tu i tam z różnymi menelikami, ale że fachowiec był z niego dobry, to sobie myślę, dam mu szansę, tak po starej znajomości.

- Pewnie się pan przeliczył.

- Nie, nie przeliczyłem się, po prostu koniec końców wziąłem kogoś innego.

- Aha.

- Nie mówił ci o tym?

- Nie, bo wie pan, bo my - dukał Mateusz - bo my generalnie ze sobą nie rozmawiamy.

- A dlaczego?

- Bo on chleje.

- Ale to chyba jeszcze nie powód, żeby nie rozmawiać z własnym ojcem?

- Ale on jest zwykłym bydlakiem! - uniósł się Mateusz, straciwszy panowanie nad sobą. - Dla mnie to mógłby w ogóle nie istnieć!

Pomyślał, że na Prezesie zrobi to wrażenie - taka niezłomność, taka buta - ten jednak był zdziwiony, by nie powiedzieć - zniesmaczony.

- Chyba nie powinienes tak mówić o swoim starym -

powiedział, wypuszczając dym z papierosa. – Jest jaki jest, ale masz go tylko jednego. Już nigdy nie będziesz mieć innego. To właśnie on już zawsze będzie twoim ojcem. Musisz się z tym pogodzić, a przede wszystkim – szanować go.

„Szanować go”, powtarzał w myślach Mateusz, ale jakoś nie potrafił sobie uzmysłwić, jak ten szacunek miałby wyglądać w praktyce, na co dzień, przy całym wachlarzu gorszących, perfidnych zachowań ojca.

– Ja też kiedyś wojowałem ze swoim starym. Tyle że mój nie pił. To było bardziej na zasadzie buntu. Teraz żałuję. Prawie nie mam z nim kontaktu.

– Nawet w święta?

– Nawet.

– To musi być przykre.

– Z biegiem czasu idzie się przyzwyczaić. Wiesz, jak to jest, człowiek prowadzi własne życie, zakłada rodzinę, biznesy, ma masę problemów. No, ale na pewno nie jest to nic przyjemnego.

Obaj zamyślili się. Prezes patrzył na przyglądających im się z okien ludzi, a Mateusz na lufę pistoletu, która skierowana była ku niemu. Może podświadomie chciał, żeby wypalił? Może tak byłoby najlepiej? Skoro po tylu próbach wciąż nie potrafił zabić ojca ani na nowo go pokochać, to może powinien skończyć ze sobą? Któryś z nich musi odejść, pomyślał. Albo ojciec, albo bękart. Nie mogą dłużej żyć ze sobą. Są wybrykiem natury, nieudaną krzyżówką genetyczną, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności.

- Na mnie już czas - oznajmił niespodziewanie Prezes. -
Założę się, że ci ludzie już dawno zadzwonili na psy.

- Na pewno. Podejrzewam, że zaraz tu będą.

Prezes podniósł broń ze stolika i włożył ją sobie z tyłu
w spodnie.

- Aha - dopiero odchodząc przypomniał sobie, po co tak
właściwie tu przyszedł. - Nie będę cię pytał, który to, bo
wiem, że i tak mi nie powiesz. I szanuję to. Ale jak spotkasz
tego małolata, co mi porysował auto, to powiedz mu, że sam
ma się do mnie zgłosić, bo jak ja go znajdę, to będzie biedny.

- Dobrze.

- Niech sobie gówniarz nie myśli, że jest anonimowy.
Tamara go przyuważyła, więc wiem, jak wygląda. Nie ukryje
się. Powiedz mu to, OK?

- Jasne - obiecał Mateusz.

Tamara. Ależ on by ją przeleciał.

Była pierwsza w nocy. Mateusz wciąż nie mógł zasnąć. Od
blisko godziny śledził ruchy wskazówek zegara, wsłuchując
się jednocześnie w każdą sylabę bezładnego, głośnego
majaczenia ojca, który w sąsiednim pokoju dyskutował
z postaciami nawiedzającymi go we śnie, ale też na jawie, do
której wracał od czasu do czasu po jeszcze jeden łyk
spirytusu. Nie mogąc dłużej leżeć, Mateusz wstał z łóżka
i podszedł do okna. Otworzył je i oparł się o parapet. Odpalił
papierosa. Bronowice. Miał w życiu chyba tylko to; tych kilka
bloków, ławek, wieżowców, trzepaków, śmietników, placów

zabaw, wszystko to, na co patrzył z okna swojego pokoju podczas takich jak ta bezsennych nocy. Nie musiał nawet wychodzić z domu, by dowiedzieć się, co słychać na dzielnicy. Z rozmów pod klatkami wiedział, kogo wsadzili, a kto wkrótce wychodzi; z dochodzących z oddali kibicowskich przyśpiewek – jaki wynik osiągnął tego dnia ukochany Motor; z napisów na murach – kto się sfrajerzył, a kto nadal był w porządku; z lamentów i krzyków – kto tej nocy bił, a kto był bity.

Kochał tę dzielnicę. Kochał ją za to, że go ukształtowała i wychowała; że zastąpiła mu rodziców, zbudowała charakter. Jednocześnie szczerze jej nienawidził, głównie za to, że zaszczepiła w nim strach przed życiem, które toczyło się gdzieś poza jej granicami. Nie umiałby stąd uciec, zostawić wszystkiego za sobą, choć było tego przecież tak niewiele. Czasami próbował uciekać myślami, ale już nawet to napawało go lękiem. Dlatego jakiś czas temu porzucił te myśli i pogodził się z tym, że zostanie tu na zawsze. Najlepiej bowiem być zwykłym człowiekiem, takim szaraczkiem, przeciętniakiem. Dlaczego? Bo najbardziej nieszczęśliwi są ci, którzy chcą być wyjątkowi, którzy chcą się wyróżnić, a nie mogą bądź nie mają czym.

lipiec 2002

Alkoholizm to najuczciwsza choroba na świecie. Nie zaskakuje cię jak HIV; nie przeskakuje z organu na organ jak rak; nie złapiesz go od przypadkowego przechodnia na ulicy jak grypy. Alkoholizm się nie przymila, nie narzuca, nie zaleca. Nie wprasza się do twojego życia ani nie wchodzi w nie z buciarami. Przychodzi tylko zaproszony. Jak dobry kolega, który cię odwiedza, by spytać, co słyhać. Jeśli wszystko jest w porządku, to wpada raz na jakiś czas. Posiedzi, pogada, posłucha, jak mu się wyżalasz i grzecznie sobie pójdzie. Jeśli jednak nie jest w porządku, to będzie wpadał coraz częściej, żeby cię pocieszyć i uspokoić, bo wie, że przy nim czujesz się lepiej, bezpieczniej. Alkoholizm jest z tobą w stu procentach szczerzy. Na początku zawsze ustala jasne reguły i nie zmienia ich w trakcie gry. Najczęściej to my je zmieniamy bądź naginamy zależnie od potrzeb, a potem zwalamy całą winę za swoje porażki na niego. Niczym w partyjce pokera próbujemy go przechytryć, oszukać, użyć fortelu, żeby się odkuć, żeby wygrać kolejne rozdanie, ale w rzeczywistości stawiamy na szali coraz więcej, czasem nawet wchodzimy all-in, a na końcu on i tak

zgarnia całą pulę. W najgorszej fazie czyni z nas dzieci. Tak jak one chodzimy na czworakach, a pijąc w samotności, myślimy, że nas nie widać – tak jak one, gdy zamkną oczy.

Nałogi to rzecz wrodzona, nie nabyta. W nałogi się nie wpada. Dlatego ich suma jest zawsze stała. Albo masz do nich skłonność, albo nie. Tym, którzy ją mają, pozostaje tylko ją kontrolować, przez całe życie karmić ją tematami zastępczymi, usypiać jej czujność innymi przyjemnościami tak, by nigdy nie wypełzła na powierzchnię. Gdy jednak, pomimo dużej samodyscypliny, tak się staje, pojawia się nałóg. Aby z niego wyjść, często trzeba dotknąć bagna. Trzeba w nim pożyć, zrozumieć je. Trzeba też pamiętać, by zawsze odróżniać to bagno od rzeczywistości, bo gdy to bagno de facto staje się rzeczywistością, to nie ma już odwrotu.

Zbyszek wychodził zawsze wczesnym rankiem. Tylko tak mógł zdążyć przed innymi. Jeszcze zanim pierwsze promienie słońca zaczęły spijać rosę z liści, a dostojnie milczące wierzby rozkładać swe warkocze, brał swoją czarną, przewieszoną przez ramię torbę ze skaju i samotnie przemierzał bronowickie ulice. Zaczynał zwykle od śmietników, bo tam była największa konkurencja. Przeczesał je jeden po drugim, szukając czegokolwiek, co przedstawiało jakąś wartość. Nie miał oporów przed grzebaniem w kontenerach. Jeszcze do niedawna omijał śmietnik przed swoim blokiem, żeby sąsiedzi nie widzieli. Ale

dziś się przełamał. Dziś wszedł także i tam. Chodząc od śmietnika do śmietnika, zaglądał po drodze na skwery, ławki, place zabaw oraz wszędzie tam, gdzie wieczorami ludzie pili alkohol i zostawiali po sobie butelki. Zbierał je i zanosił do skupu, bo w sklepach najczęściej przyjmowali albo na wymianę, albo za okazaniem paragonu. Przez jakiś czas zbierał też makulaturę. Trudno jednak było z niej uskładać choćby na piwo, toteż zrezygnował. Jedzeniem się nie przejmował. Podbierał je z kuchni, gdy synowie i żona spali. Dojadał resztki z obiadu, chlupał zimną zupę, zabierał Marcinowi kanapki do szkoły. Zawsze coś się znalazło.

Tułał się tak, odkąd sprzedał wszystko, co zostawili po sobie jego rodzice (ojciec zmarł kilka miesięcy po śmierci matki). Wynosił z domu kolejno kryształ, obrazy, biżuterię, pościele, narzuty, ręczniki, czajnik elektryczny, który matka trzymała na prezent, niektóre niepotrzebne jego zdaniem meble, zestaw narzędzi ojca i wiele innych, drobniejszych rzeczy. Przez dłuższy czas nie czuł z tego powodu pustki, aż do pewnego ranka. Siedział wtedy na kanapie, trzymając w rozdygotanej ręce pilota. Nie wiedział, czy była noc, czy dzień. Rozmawiał z telewizorem. Leciała akurat powtórka jakiegoś teleturnieju. W pewnym momencie zaczął głośno bluzgać na prowadzącego. Wywołało to echo, które latało po pokoju jak rozdrażniony, wybudzony ze snu nietoperz. Od tamtej pory to echo nawiedzało go każdego dnia. Dlatego wychodził. Dlatego pod osłoną nocy albo bladym, mdłym rankiem uciekał do bronowickich ulic, które dawały mu namiastkę wolności, ułudę otwartej przestrzeni.

Gdy otwierali supermarkety, chodził tam, żeby kraść. W szczególności upatrzył sobie jeden, w którym to kamery były atrapami, a ochrona nie była zbyt rozgarnięta. Przy wejściu brał dla niepoznaki koszyk, do którego wrzucał kilka niedrogich produktów, najczęściej bułki, tak by nie wzbudzać podejrzeń. Resztę chował do torby. Kradł różne rzeczy. Zwykle były to słodycze, ale nie tylko. Równie często wynosił ze sklepu zupki chińskie, gorące kubki czy konserwy. Robił to na tyle wprawnie, że nikt nigdy go nie złapał. Zawsze jednak miał się na baczności, a zwłaszcza ostatnio, po tym, jak jego żona zagroziła, że na niego doniesie.

Po takim porannym obchodzie pozostała część dnia spędzał już tylko na picciu i szukaniu niedopałków. Kręcił się koło przystanków, bo tam było o nie najłatwiej. Podnosił je z ziemi, odmuchiwał i chował do kieszeni. Gdy uzbierał wystarczająco dużo, szedł na skwer, siadał na ławce i otwierał butelkę. Pił głównie sam. Nie chciał się z nikim dzielić alkoholem, za którym chodził cały ranek. Upijał się szybko. Próg tolerancji na alkohol obniżył mu się do tego stopnia, że już po kilku łykach był mocno wstawiony. Gdy tak siedział, to często nie poznawał samego siebie. Był sobie jakby obcy. Tracił wiarę w to, że jeszcze kiedyś znów będzie dawnym Zbyszkim. Nienawidził siebie za to, że tak to się potoczyło: że pił; że zdradzał swoją żonę z osiedlową lafiryndą; że wychowywał pod swoim dachem bękarta. Nie tak wyobrażał sobie swoje życie po czterdziestce. Zamiast cieszyć się drugą młodością, mieć pracę i pieniądze, imponować innym ojcom, być mężczyzną przystojnym,

intrygującym, mężczyzną wciąż pociągającym dla kobiet w różnym wieku on umartwiał się fizycznie i psychicznie – czasem przez nałóg, a czasem z poczucia bezradności. Dawno już porzucił wszelkie marzenia. Zostały mu tylko fantazje – i te erotyczne, i te o lepszym życiu – ale żadne niemożliwe do spełnienia.

Zastanawiał się często, czy mógł nie zauważyć, kiedy stał się takim skurwysynem dla najważniejszych dla niego osób. Jak mógł otoczyć się menelami, którzy za butelkę wina pewnie zostawiliby go na tym skwerze, żeby zdechł? Czy już nikt nigdy nie wyciągnie do niego ręki? A niby dlaczego? Z jakiej racji, skoro tak często ją odtrącał. Zawsze wydawało mu się, że to on robił wszystkim łaskę. Dziś było odwrotnie. Dziś to on był na czyjejs łasce, nie tylko najbliższych, ale również tych bezimiennych, całkiem obcych ludzi, którzy wyrzucają śmieci do kontenerów albo niedopałki na ulicę. Był zdany na nieuwagę tych głupich, niewykształconych ochroniarzy ze Stokrotki, których udaje mu się wykiwać, żeby ukraść tę cholerną konserwę, której jeszcze nie tak dawno nawet nie włożyłyby do ust. Tak, był na łasce tych wszystkich ludzi. On. Facet, któremu niejeden zazdrościł udanego życia, dwójki synów, pracy w Lubzelu, wyjazdów nad Łukcze i bonów na święta. On. Facet, któremu coś takiego po prostu nie mogło się przytrafić.

październik 2002

Zmysłowy, aksamitny aromat świeżo parzonej kawy roznosił się po kuchni, łagodnie pobudzając Beatę do myślenia. Od przeszło piętnastu lat każdego ranka filiżanka gorącej kawy wyznaczała dla niej granicę między jawą a snem. Podobnie i dziś. Po kilku łykach wyszła ze swojej ulubionej paryskiej kafejki, pocałowała w policzek szarmanckiego, bogatego Francuza i weszła do kuchni.

Na kwadratowym, przykrytym starą, peerelowską ceratą stole, z wystającą, niedomykającą się szufladą, leżała sterta niezapłaconych rachunków. Nieumyte gary w zlewie. Nieumyta podłoga. Niezrobione śniadanie. Niezgadzający się bilans dochodów i wydatków. Wszystko tego ranka zaczynało się od „nie”.

Zegarek od ruskich wskazywał ósmą, ale było już grubo po dziewiątej. To była jej pierwsza wolna sobota od nie wiadomo ilu tygodni. Siedziała przy stole i patrzyła w okno. Październikowy chłód przez uchylony lufcik podszczypywał firanki, a te odskakiwały od niego jak cnotliwe panny. Na sznurku na balkonie wisiały majtki i skarpetki chłopców. Mężowi nie prała. Chodził w brudnych. Czasami ukradkiem

przepłukiwał coś w wannie. Gdyby mogła, to pilnowałaby łaźienki dzień i noc. Woda też kosztuje, nie wspominając o proszku, który jakoś dziwnie szybko schodził. Ostatnio pytała nawet w sklepie o lodówkę na kłódkę, ewentualnie na kod, to ją wyśmiali. I niby co w tym śmiesznego, pomyślała. Że mąż, z którym była w separacji, ją okradał? Że jej dzieci jadły makaron bez sosu albo najgorszą mielonkę? Że tyrała na dwa etaty, a i tak jedyną pocztą, jaką dostawała, były gazetki z Leclerca albo wezwania do zapłaty? I to ma być śmieszne? Spytała o to tego wyżełowanego pana od AGD, ale on tylko stał i patrzył na nią jak na idiotkę.

Policzyła jeszcze raz. Znowu się nie zgodziło. Kolejny miesiąc z rzędu stanęła przed tym samym wyborem: albo rachunki, albo jedzenie. Ani w administracji, ani w gazowni nie chcieli już z nią rozmawiać. Jedynie w Lubzelu mogli rozłożyć jej długi na raty, przez wzgląd na dawne czasy, choć nawet i tam dla byłych kolegów męża była teraz raczej niewygodną znajomością.

Zawiesiła wzrok na rachunkach. Było tego dużo. Za dużo jak na jedną pracującą osobę. Westchnęła. Prawie zawsze w takich chwilach chciała uciekać do swojej paryskiej kafejki, do swojego Francuza. Ale po kubku mocnej kawy nie miała już jak wrócić na drugą stronę. Alkoholu nie piła, narkotyków nie brała, psychotropy były tylko na receptę. Gdyby nie normy społeczne, poczucie odpowiedzialności za synów, ten stygmat Matki Polki krępujący jej wszystkie ruchy, ta łatka uciemężonej żony alkoholika pewnie zdmuchnęłaby ze stołu te papierzyska i pojechała pierwszym

pociągiem do Paryża. Ale nie mogła. Musiała dalej dźwigać ten ciężar. Tyle że w tym momencie był on już za duży, by mogła udźwignąć go sama. Nadszedł czas, by powiedzieć chłopcom, jak wyglądała sytuacja.

- Marcin! Mateusz! - zawołała ich.
- Co?! - dobiegł głos z małego pokoju.
- Nie *co*, tylko chodźcie tutaj!

Słyszała, jak Mateusz każe młodszemu bratu zatrzymać grę i strofuje go, że nie mówi się „co”, tylko „słucham”. Po chwili obaj pojawili się w kuchni.

- Siadźcie - poprosiła.

Mateusz przysunął sobie krzesło, a Marcin usiadł na podłodze. Obaj czuli, że to coś poważnego. Matka rzadko wzywała ich na rozmowę.

- Widzicie te rachunki? - spytała.

Chłopcy spojrzeli na stertę na stole, ale póki co nie odpowiadali.

- Musimy to wszystko zapłacić. I niestety musimy to zrobić sami, bo wasz ojciec, rzecz jasna, ma to gdzieś.

Przerwała na chwilę. Miała wrażenie, że łamał jej się głos, choć wcale tak nie było. Czuła się teraz jak ktoś, kogo wysłano do pracowników upadającej firmy, by ogłosił bolesny plan restrukturyzacji.

- A mamy sarę? - spytał wprost Marcin.
- Nie. Jakbyśmy mieli, to bym was tutaj nie wołała. Musimy ją zdobyć, inaczej będzie bardzo źle.

- Jak bardzo? - włączył się Mateusz.

- Tak bardzo, że za chwilę może się okazać, że nie będzie co do garnka włożyć. A nawet jak będzie, to może nie być na czym tego zrobić, bo nam wszystko odetną. Właśnie tak bardzo.

- A to są rachunki za co?

- Prąd, gaz, mieszkanie - wyliczała Beata. - No i chyba kablówka za jeden, nie, czekaj, za dwa miesiące.

- Aha - pokiwał głową Mateusz, patrząc z uwagą na matkę.

Jakaś dziwna, niesamowita zmiana zaszła w jego spojrzeniu w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Spojrzenie, które do niedawna było ciepłe, wrażliwe i sentymentalne, stało się nieco mroczne, przenikliwe, analityczne, mające w sobie wręcz niepokojące opanowanie. Mało kto potrafił je wytrzymać. Większość odwracała bądź spuszczała wzrok. Ludzie bali się tego spojrzenia, jakby kryła się za nim przepaść bez dna. Nawet Beata starała się zbyt długo nie patrzeć w te ciemne, nieodgadnione oczy.

- Rozmawiałam wstępnie z jednym panem w sprawie pracy w weekendy - powiedziała, uciekając wzrokiem od spojrzenia swojego pierworodnego. - Potrzebują ludzi do roznoszenia ulotek.

- Ulotki? - skrzywił się Marcin.

- A co, wolisz zbierać makulaturę jak twój ojciec? - temperowała buntownicze zapędy młodszego syna.

- Oj weź, wiadomo, że nie!

- No, to o co chodzi?

- No bo ulotki - ociągał się z dokończeniem tego zdania - to trochę kicha.

- Dlaczego kicha? Inni jakoś roznoszą. Ty nie możesz?

- A jak mnie chłopaki zobaczą, że chodzę z ulotkami, to co wtedy?

- A co, to jakiś wstyd jest? - denerwowała się Beata. - Przecież nie jesteś jakiś trędowaty, żeby cię ktoś palcami wytykał, nie?

- No tak, wiem, ale - znowu się ociągał, jakby nie chcąc otwarcie przekreślać pomysłu matki, choć zrobił to swoją miną, gdy tylko usłyszał słowo „ulotki” - to jest trochę kicha.

- Oj nie przesadzaj - wtrącił się Mateusz.

- Co nie przesadzaj?! Ciekawe, czy ty taki chętny jesteś do tego roznoszenia?!

- Korona ci z głowy nie spadnie, jak trochę poroznosisz. Przecież...

- No właśnie chodzi o to, że nie *trochę* - weszła Mateuszowi w zdanie matka.

- Nie trochę? A ile?

- Chodziło mi raczej o dłuższą współpracę.

- Dłuższą, to znaczy ile?

- Każdy weekend przez następne pół roku. Albo dłużej, jeśli będzie trzeba.

- Pół roku? Kurde, to trochę dużo - Mateusza również ogarnęły wątpliwości.

- To my na tyle jesteśmy zadłużeni? - nie mógł się nadziwić Marcin.

- Niestety tak. Musimy jakoś wyjść na prostą. Nie mamy

wyboru.

„Nie mamy wyboru”, powtórzyła w myślach Beata. Mimo że po tych słowach wyraźnie posmutniała, to zrobiło jej się jakby lżej. Popatrzyła na synów. Mateusz zamysłony głaskał się po podbródku niczym filozof, a Marcin, z kwaśną miną, której nawet nie próbował już tuszować, bawił się sznurkiem od dresów. Pięknie jej rośli, pomyślała. Przepęłniała ją duma, ilekroć uświadamiała sobie, że tak dobrze dawali sobie radę, mimo tego, że wychowywali się praktycznie bez ojca i z kluczami na szyi. Jednak ciągle bała się, że pewnego dnia Bronowice jej ich zabiorą. Że zrobią jakąś straszną głupotę. Że się w coś wpakują. Za nic w świecie nie chciałyby ich stracić.

- Mama, to może ja zrezygnuję z tych studiów i pójde gdzieś na etat, co? - zaofiarował się Mateusz.

- Czyś ty zwariował? Nie po to składaliśmy milion odwołań i płaśczyliśmy się przed tym obleśnym dziekanem, żebyś teraz zrezygnował. Nawet o tym nie myśl. Musisz skończyć studia. Nie widzę innej możliwości. Możesz być pierwszym Stawickim z magistrem, nie chcesz?

- No chcę, chcę, ale jak jest taka sytuacja...

- Damy sobie radę, nie martw się.

- No dobra, skoro tak twierdzisz - powiedział Mateusz, choć jakby nie do końca przekonany. - To kiedy zaczynamy?

- Najlepiej od razu. Chyba nie ma co czekać na ułaskawienie, jeśli pluton egzekucyjny już odbezpieczył broń!

Udał jej się ten żart. Cała trójka nagle uśmiechnęła się i rozweseliła. Tak niewiele było trzeba, żeby na nowo poczuli

się odpowiedzialni za siebie nawzajem. Na ogół byli jak psy zaprzęgowe, przy których tresurze popełniono jakiś błąd, przez co ciągnęły sanie każde w swoją stronę. Ale dziś byli jednością. Tylko oni. Nikt inny. Ojciec się nie liczył. Ojciec był poza nawiasem. Siedzieli teraz razem wokół tłącego się płomyka rodzinności i osłaniali go dłońmi przed szalejącym wiatrem.

styczeń 2003

Beata czekała na księdza już na klatce. Gdy ten wyszedł od sąsiadki, pani Kozłowskiej, powitała go promiennym uśmiechem i zaprosiła do siebie.

- Szczęść Boże! - powiedział ksiądz, przestąpiwszy próg mieszkania z tabliczką „Stawiccy” na drzwiach.

- Szczęść Boże - odpowiedziała Beata.

Ksiądz rozejrzał się po przedpokoju.

- Widzę, że się państwu szyba zbiła - zauważył.

- A tak, mieliśmy tu któregoś razu straszny przeciąg - wyjaśniła Beata.

Było to jedno z tych małych kłamstewek, którymi ludzie codziennie ratują swoją twarz. W rzeczywistości wybił ją Zbyszek, a potem owinął sobie zakrwawioną dłoń papierem toaletowym i wstawił w drzwiach tekturę, by nikt nie widział, jak upija się do nieprzytomności. Leżał zresztą teraz w pokoju w takim właśnie stanie.

- Zapraszam tutaj - powiedziała Beata, wskazując księdzu pokój chłopców.

Ksiądz wszedł do środka.

- Szczęść Boże - przywitał go Mateusz.

- Szczęść Boże - powtórzył za nim Marcin.
- Szczęść Boże, chłopcy - odwzajemnił się ksiądz.

W ciasnym pokoju wszystko było dopięte na ostatni guzik: stół, obrus, ołtarzyk, świece, woda święcona, koperta. Jedynym uchybieniem było wciąż włączone Playstation. Marcin zwlekał z jego wyłączeniem do ostatniej chwili. Tłumaczył matce, że w Resident Evil można było zrobić save'a tylko w określonych miejscach, a on doszedł już tak daleko, że nie mógł tak po prostu wyłączyć gry. W efekcie konsola pozostała włączona, a pad leżał na fotelu.

- A gdzie głowa rodziny? - spytał ksiądz bardzo ciepłym, przyjaznym głosem.

- W pracy, proszę księdza - odparła Beata. - Ma dziś drugą zmianę.

Tym kłamstwem ryzykowała znacznie więcej niż poprzednim.

- Rozumiem. A gdzie pracuje, jeśli można wiedzieć?
- W Makro. Jest elektrykiem.
- Aha. No, to bardzo dobrze, że pracuje. Dzisiaj tak trudno o pracę, a fachowcy są zawsze w cenie, nieprawdaż?
- Tak, to prawda, proszę księdza.

Chłopcy z osłupieniem patrzyli na matkę, która kłamała jak z nut. Była zagorzałą katoliczką, osobą szalenie bogobojną. Chodziła do kościoła w każdą niedzielę i dużo się modliła. Nie wstydziła się męża ani przed znajomymi, ani przed sąsiadami, ale przed księdzem - owszem.

- A wy - ksiądz zwrócił się do braci - co ciekawego porabiacie?

- Ja studiuję, a brat uczy się na kucharza - wyręczył Marcina Mateusz.

- O, to pewnie wam tu wykwintne dania serwuje, co?

Mateusz od zawsze liczył na to, że Marcin ugotuje coś pysznego dla całej rodziny, ale że jak dotąd nic takiego się nie stało, postanowił, że zostawi go samego z tym pytaniem.

- Czasem coś tam się robi - odparł wymijająco Marcin.

Ksiądz uśmiechnął się, zwietrzywszy nieprawdę.

- To może spytamy o to mamę, co? - spojrzał na Beatę. - Robi coś ten Marcin w domu czy nie? Jak to z nim jest?

Duchowny nie zadawał tych pytań złośliwie. Jego zamiarem było stworzenie swobodnej, niezobowiązującej atmosfery. Nie miał powodów przypuszczać, że jego dociekliwość wprowadzała dodatkowy stres, że wszystko, co do tej pory powiedziała Beata, było kłamstwem i że w drugim pokoju leżał zalany w trupa, nienawidzący „czarnuchów” Zbyszek, który w każdej chwili mógł się obudzić i wyrzucić nieproszonego gościa za drzwi.

- No coś tam robi, proszę księdza. A to ziemniaki obierze, a to pozmywa. No nie powiem, że nic nie robi, bo czasem coś robi. Ale mógłby trochę mniej grać na tej swojej konsoli. Ciągle mu to powtarzam, bo głównie to przychodzi ze szkoły, rzuca plecak w kąt i siada przed telewizorem. Zresztą tak samo jak większość jego kolegów. Rozmawiam z mamami, to wiem - uśmiechnęła się.

- No właśnie - ksiądz okazywał pełne zrozumienie. - Ale cóż począć, takie pokolenie teraz mamy. Pamiętam, jak kiedyś jedyną rozrywką była książka. A dziś? Telewizja,

komputer, telefony komórkowe. Owszem, te wszystkie rzeczy powinny urozmaicać i ułatwiać ludziom życie, po to w końcu są, ale nie powinny ich zachęcać do pójścia na łatwiznę. Sam się czasem zastanawiam, dokąd to wszystko zmierza.

- Nie wiem, proszę księdza - dumiała Beata.

Przez cały ten czas, odkąd ksiądz wszedł do mieszkania, wszystkim jego słowom oraz gestom towarzyszył dobroduszny, luzacki, ale trochę mało wiarygodny uśmiech. Uśmiech ten był typowy dla nowej fali duchowieństwa, dla tego młodego pokolenia księży-kumpli, wysyłanych przez spętanych doktrynami hierarchów na pierwszą linię frontu, by „słuchali ludzi”, spoufalali się, podpytywali, zdobywali nowych wiernych, a przede wszystkim nawiązywali kontakt ze współczesną młodzieżą - zbuntowaną, niedostępną i nieufną - bo to właśnie ona, chcąc nie chcąc, miała tworzyć trzon przyszłego Kościoła.

- A ty, co takiego studiujesz? - spytał z kolei Mateusza.

- Anglistykę.

- No proszę, to świetnie.

- Czy ja wiem?

- A co, pewnie trudne studia?

- Trochę trudne. Jest spora przepaść między ogólniakiem a uczelnią.

- Domyślam się.

- Ale generalnie nie jest tak źle. Jakoś daję radę.

- Rodzice muszą być dumni - ksiądz popatrzył na Beatę, która uśmiechała się tym razem autentycznie, bez kłamstwa, przy czym różnica między jednym a drugim była oczywista

tylko dla najbliższych.

- Na razie chyba nie ma z czego - przekonywał Mateusz, próbując uciszyć te dość krępujące fanfary na jego cześć. - Samo dostanie się na studia to jeszcze żaden sukces.

- No, chyba jakiś tam jest, bo przecież, o ile się orientuję, to na takie studia jest spora konkurencja. Ale masz rację, trzeba jeszcze zaliczać sesje, chodzić na zajęcia i się uczyć, żeby je skończyć. No bo po to przecież idzie się na studia, prawda?

- Dokładnie. No, ale do tego jeszcze długa droga. Jestem dopiero na pierwszym roku.

- Trochę cierpliwości i konsekwencji, a na pewno się uda.

- Też mam taką nadzieję.

- No, to skoro ją masz, to może warto ją zanieść do Boga?

Do tego momentu ksiądz sprytnie podchodził Mateusza, ale tym pytaniem się zdekonspirował. W gruncie rzeczy wszyscy księża chodzący po kolędzie byli jak rachmistrzowie. Zliczali wiernych, sprawdzali frekwencję na mszy, oceniali sytuację finansową rodzin po zawartościach kopert, przeglądali zeszyty do religii oraz skrzętnie odnotowywali każdy przypadek niewpuszczenia księdza do domu.

- Tak myślałem, że będzie ksiądz chciał o to spytać - przejrzał go Mateusz.

- O to, czyli o co?

- Przecież to oczywiste. Nie musi ksiądz prowadzić takich gierek. Jesteśmy dorośli. Możemy rozmawiać

normalnie. Ja chętnie odpowiem.

Ton Mateusza wyraźnie się zmienił.

- Odpowiesz na co?

- Na to, czy chodzę do kościoła. Bo chyba o to księdzu chodziło?

- A chodzisz? - ksiądz spytał w końcu wprost.

- Nie.

- Rozumiem. A jest jakiś konkretny powód, dla którego nie możesz bądź nie chcesz chodzić?

- Tak - powiedział Mateusz, patrząc na księdza swoimi stoickimi oczami.

- A jaki, jeśli mogę wiedzieć?

- Jestem niewierzący.

Szok. Tylko tak można było opisać to coś, co malowało się teraz na twarzy Beaty. Nawet menopauza, którą aktualnie przechodziła, nie powodowała u niej takich uderzeń gorąca. Co za wstyd! Co za upokorzenie dla niej jako matki, która od małego zaszczepiała w synu katolickie wartości. Jej pierworodny ateista? To już lepiej, jakby miał downa!

- Masz do tego prawo, synu. Bóg stworzył nas wolnymi ludźmi. Każdy z nas robi to, co uznaje za słuszne i podejmuje decyzje, które wydają mu się najważniejsze - ksiądz o dziwo zareagował bardzo spokojnie na odważną deklarację Mateusza, ale zaczynał powoli żałować, że dał się wciągnąć w tę dyskusję. - Ale pamiętaj, że człowiek bez wiary z czasem doświadcza pustki i staje się głęboko nieszczęśliwy.

- Dlaczego?

- Bo życie bez Boga traci sens.
- A czy sensu życia należy upatrywać wyłącznie w Bogu?
- Nie, ale Bóg jest jakby dopełnieniem tego sensu. Jest tym elementem układanki, którego zawsze na końcu będzie ci brakować, choćbyś nawet ułożył już całą resztę.
- A ja myślę, że tym brakującym elementem wcale nie jest Bóg.
- A kto lub co?
- To intelekt.
- Intelekt? - spytał ksiądz, wyraźnie zbity z tropu.
- Tak, bo widzi ksiądz, do mnie nie trafiają argumenty, które nie są oparte na racjonalnych przesłankach albo takie, których w żaden sposób nie da się udowodnić. Bo chyba nie chce mi ksiądz powiedzieć, że byli sobie Adam i Ewa, mieli fajne zwierzątka, chodzili sobie z listkami na genitaliach, a potem przyszedł zły wąż i wszystko popsuł, albo że Maria zaszła w ciążę bez spermy.
- Mateusz! - nie wytrzymała Beata.
- No co? - wzruszył ramionami Mateusz. - Przecież większość dogmatów, na których zbudowano Kościół, to bajki dla dzieci.
- Proszę się nie denerwować - uspokajał Beatę ksiądz. - To naprawdę ciekawa dyskusja - chyba sam nie wierzył w to, co mówił. - No dobrze - odwrócił głowę z powrotem do Mateusza - a jak w takim razie wytłumaczysz fakt, że spora część głoszonych teorii naukowych również opiera się na domysłach?
- Na przykład jakie?

- Na przykład teoria ewolucji.

- To akurat nie najlepszy przykład. Co jak co, ale teoria ewolucji przynajmniej wydaje się być wielce prawdopodobna, w przeciwieństwie do niektórych dogmatów Kościoła. Widać to chociażby po ludzkim embrionie, który najpierw przypomina rybę, potem płaza, a potem gada.

- Ale wielu ludzi odrzuca tę teorię.

- Pewnie ci, którzy uważają się za potomków Adama i Ewy - ironizował Mateusz. - Nie wiem jak ksiądz, ale ja pochodzę od małpy.

- A ta małpa? Od kogo ona pochodzi?

- Pewnie od jakiegoś innego stworzenia, a tamto stworzenie od jeszcze innego i tak dalej, i tak dalej, aż w końcu cofniemy się do tej maleńkiej komórki, od której wszystko się zaczęło, jak w teledysku Fatboy Slima.

- A ta komórka? Skąd się wzięła?

- To proste. Prawdopodobnie w pewnym momencie na Ziemi powstały warunki sprzyjające rozwojowi życia, no i to życie rozwinęło się. To wszystko. To naturalny proces. Nie ma w tym niczego niezwykłego.

- A Ziemia? A wszechświat? Jak one powstały? - drążył temat ksiądz.

- Są różne teorie. Może jakiś wybuch, może jakieś zderzenie materii, może czarna dziura? Ja do końca nie znam się na tym. Ale nie o to chodzi. To oczywiste, że zadając kolejne pytania, zawsze dojdziemy do momentu, w którym nie będziemy znali odpowiedzi. Ale to wcale nie oznacza, że tam, gdzie kończy się nasza wiedza, zaczyna się Bóg.

Człowiek zwyczajnie nie jest w stanie odpowiedzieć na pewne pytania już teraz, ale być może będzie na nie w stanie odpowiedzieć w przyszłości.

- Czyli nie można również wykluczyć tego, że za stworzeniem wszechświata stoi jednak Pan Bóg, prawda?

- Ja coś księdzu powiem - Mateusz w tym momencie bardzo spoważniał. - Ludzie od zarania dziejów patrzyli w niebo. Jedni szukali tam gwiazd, inni siły wyższej. W każdym razie zawsze mieliśmy skłonności, żeby tłumaczyć to, co niewytłumaczalne, boskością. Właśnie tak powstały religie, czyli największe zło tego świata.

Beata była załamana. Z każdą kolejną herezją syna uświadamiała sobie, jak druzgocącą klęskę poniosła w jego wychowaniu. Miała teraz w głowie taki mętlik, że nie była pewna, czy zaprotestowałaby, gdyby Mateusz za to, co mówił, miał spłonąć na stosie.

- Czyli religia to zło? - spytał ksiądz, jakby nie dowierzając temu, co słyszał.

- Tak.

- A dlaczego tak uważasz?

- Bo religia to zniewolenie umysłowe i fizyczne. To zbiorowa schizofrenia. To zjawisko odbierające ludziom zdolność samodzielnego myślenia. Religia hipnotyzuje społeczeństwa, proszę księdza. Jeszcze nigdy w historii nie zdarzyło się, żeby religia przyniosła człowiekowi coś dobrego. Wyprawy krzyżowe, wojny, ataki terrorystyczne, palenie innowierców na stosach, tak to zawsze z grubsza wyglądało.

- Nie uważasz, że to, co mówisz, jest nieco kontrowersyjne?

- Kontrowersja to słowo wymyślone przez ludzi zamkniętych na odmienne poglądy. Dla mnie coś takiego nie istnieje. Ja tylko mówię to, co myślę, a myślę, że społeczeństwu nie jest potrzebna religia, bo ona na ogół prędzej czy później przynosi im zagładę, ale porządek, twarde prawo i zasady. Proszę sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby na świecie obowiązywały tylko prawa boskie. Byłby chaos i zezwierzęcenie. Cofnęlibyśmy się do epoki kamienia łupanego. A religie? Każda bez wyjątku została stworzona nie dla ludzi, ale dla władzy nad nimi. Jeśli Bóg rzeczywiście istnieje, to się z nas śmieje.

Z sąsiedniego pokoju zaczęło dochodzić chrapanie ojca, ale słyszał je na razie tylko Marcin, który był generalnie poza tematami typu religia, Bóg czy społeczeństwo. Co prawda przysłuchiwał się dyskusji, ale nie nadążał za kolejnymi wątkami, a ponadto nie miał w zwyczaju wypowiadać się w sprawach, które kompletnie go nie interesowały.

- Nie tak nauczał Jezus - kontrargumentował ksiądz.

- Jezus? Proszę nie brać tego do siebie, bo ja naprawdę nie mam złych intencji, ale mi osobiście wydaje się, że Jezus to postać stricte historyczna.

- Chyba posuwasz się za daleko, chłopcze - tracił zimną krew ksiądz. - W tym momencie podważasz największy i najtrwalszy filar naszej wiary. Mówię *naszej*, bo to także twoja wiara.

- Ja nie mam wiary. A przynajmniej nie takiej jak

w rozumieniu księdza.

- A jaką masz? Chyba nie masz żadnej, skoro nie wierzysz w Jezusa ani w to, że umarł na krzyżu za nasze grzechy, a potem zmartwychwstał, by żyć wiecznie po prawicy Ojca. Uważasz, że miliony ludzi na całym świecie się mylą? Przecież to nonsens. Wiara katolicka istniała i miała się dobrze na długo przed tym, zanim pojawili się tacy jak ty.

Mateusz uśmiechnął się.

- Czy ja księdza atakuję? Nie - odpowiedział sam sobie. - To niech ksiądz nie atakuje mnie. Czy te miliony ludzi się mylą? Gdybym powiedział, że tak, to tak, jakbym powiedział, że to ja mam rację. A ja tak naprawdę nie wiem, czy ją mam. Ja tylko wierzę, że ją mam, i postępuję zgodnie ze swoim sumieniem, które mówi mi, że Boga nie ma. Jeśli natomiast okaże się, że on jednak jest, to mogę już zacząć pakować się na pierwszy pociąg do piekła.

- No to w takim razie nie uzurpuj sobie prawa do podważania wiary innych. Do kwestionowania istnienia Jezusa, jego ukrzyżowania i zmartwychwstania - mówił ksiądz, a jego głos wyraźnie się zaostrzył.

- Źle mnie ksiądz zrozumiał - tłumaczył się Mateusz. - Ja nie twierdzę, że Jezus nie istniał. Wprost przeciwnie. Myślę, że ktoś taki rzeczywiście chodził po tym świecie, skoro tyle o nim napisano. Pewnie ludzie go słuchali, bo miał dar przekonywania i zdolności oratorskie. Dlatego zjednywał sobie sympatię tłumów. Ale to, że ktoś wieczorem jest w trumnie, a rano go tam nie ma, nie oznacza, że sobie wstał i poszedł. A Żydom to wcale się nie dziwię, że go

ukrzyżowali.

Po tej ostatniej, najmocniejszej tezie Mateusz spojrzął najpierw na matkę, która w tym momencie była już na granicy omdlenia, potem na księdza, który z uprzejmego, potulnego klechy stopniowo zmieniał się w żołnierza Kościoła, który krzyżem i mieczem niesie nawrócenie, a na końcu na obojętnego Marcina, który myślami był już pewnie przy Resident Evil.

- No co? - dziwił się Mateusz. - Nie ma się co oburzać, naprawdę. W dawnych czasach stosowano po prostu takie, a nie inne metody. Pomyślcie tylko, co by się działo z takim Jezusem dzisiaj? Wyobraźcie sobie, że przychodzi do was koleś z armią zwolenników, których liczba z dnia na dzień rośnie. Nie macie pewności, czy są groźni, czy nie. Może to jakaś sekta? Nie wiecie, czy będą chcieli zrobić jakiś przewrót albo coś takiego. I ten koleś wam mówi, że wasza religia jest zła, i że to on ma tę prawdziwą, a do tego publicznie głosi, że jest Synem Bożym. Co byście z takim człowiekiem zrobili? Ale szczerze. Ja myślę, że w najlepszym razie skończyłoby się to kaftanem bezpieczeństwa i psychiatrykiem. W dawnych czasach po prostu inaczej rozwiązywano takie problemy i tyle. I czemu się tu obrażać? Przecież ja tylko stwierdzam fakty. A jeśli nie fakty, to przynajmniej najbardziej prawdopodobny scenariusz. I co w tym złego? Dlaczego uważa się mnie za bluźniercę? A może to katolicy są źli, nie ja? Dlaczego ciągle piętnuje się Żydów za to, że „zabili mesjasza”? Przecież oni nawet nie wierzą w to, że Jezus Chrystus był mesjaszem. Przecież dla

nich mesjasz ma dopiero przyjść. No więc, jak to jest, proszę księdza, skoro mówi ksiądz, że każdy ma prawo wierzyć w to, co chce, i że nie wolno piętnować wiary innych? To jest właśnie ta pieprzona dwulicowość Kościoła!

Zagalopował się. Szczerze żałował tego ostatniego zdania. Ktoś, kto używa przekleństw do wyrażania swoich opinii, rzadko traktowany jest jako poważny partner w rozmowie. Tak samo ten wykrzyknik - zupełnie niepotrzebny. Coraz głośniejsze mówienie nie sprawia, że coraz uważniej cię słuchają.

- Pomódlmy się - powiedział zażenowany ksiądz, błędząc wzrokiem po dywanie w kwiatowe szlaczki.

Wszyscy, w tym również Mateusz, który pluł sobie w brodę, że dał się ponieść emocjom, spuścili głowy i złożyli ręce do modlitwy. Od tej pory mówił już tylko ksiądz. Robił to jednak szybko, sucho i beznamiętnie, jakby czytał z kartki komunikat. Dopełniwszy formalności, odwrócił się i wyszedł z pokoju, nie wzięwszy koperty.

- Niech ksiądz zaczeka - pośpiesznie chwyciła ją Beata. - Proszę, to dla księdza - dodała, próbując mu ją wręczyć.

- Nie trzeba - odparł oschłym tonem duchowny.

W przedpokoju młody duszpasterz raz jeszcze pobłogosławił domostwo i właśnie szykował się do wyjścia, gdy usłyszał chrapanie Zbyszka, które nagle przybrało na sile.

- Na drugiej zmianie? - stwierdził kąśliwie, bo z pewnością nie było to pytanie.

- Ja... - zaczęła Beata, chyba chcąc za wszystko przeprosić, ale po pierwsze nic by to już nie zmieniło, a po drugie nagość, jaką poczuła przez to, że jej kłamstwo wyszło na jaw, odebrała jej resztkę sił.

- Szczęść Boże - powiedział ksiądz na do widzenia i zamknął za sobą drzwi.

- Szczęść Boże - odparła Beata, całkowicie poddając się obezwładniającemu wstydowi, który przepalał jej skórę aż po wnętrzności.

Chciało jej się płakać - a raczej wyc jak pies - na myśl, że od tego momentu Stawiccy będą w parafii na cenzurowanym; że na długie lata wylądują u księdza w kajecie i nie pomoże nawet fakt, że jej mąż robił w zakrystii elektrykę. To było dla niej gorsze niż ekskomunika, bo człowiek ekskomunikowany nie ma już żadnych praw ani obowiązków względem Kościoła, jest poza wspólnotą, zaczyna jakby od nowa. A ona? Z pijącym mężem i życiem, w którym więcej było problemów niż radości, tak bardzo potrzebowała Kościoła, który to właśnie zamknął przed nią drzwi. Co teraz pocznie? Gdzie znajdzie ukojenie, gdy świat zwali jej się na głowę? Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie i właśnie to przerażało ją najbardziej.

marzec 2005

Jak śmierdzi ludzki kał, wie każdy. Ale jak śmierdzi ludzki kał na dywanie – już mało kto. Bo taki kał rozsiewa zapach nie tylko strawionego jedzenia, lecz także, a może przede wszystkim, groteski, absurdu, swoistej niewyobrażalności takiego zdarzenia. Ludzka wyobraźnia nie zna granic. Potrafi stworzyć i zaakceptować o wiele więcej niemożliwych wizji lub sytuacji aniżeli rzeczywistość. W tym przypadku było inaczej. To rzeczywistość stworzyła i zaakceptowała fakt, że Zbyszek załatwił się na dywanie w swoim pokoju, a wyobraźnia pozostałych domowników za nic nie mogła się z tym pogodzić.

- Ty skurwysynu! - krzyczała Beata do leżącego na wersalce Zbyszka, okładając go po twarzy. - Nie masz wstydu! Jak mogłeś coś takiego zrobić?!

- Trzeba mi było pozwolić wejść do łazienki - tłumaczył na spokojnie Zbyszek, nie broniąc się przed ciosami żony. - Nie chciałaś, to teraz masz.

- Wpuścić cię do łazienki?! Żebyś mi posadzkę zaszczał? A ja potem będę szorować te twoje szczochoy, tak?! Jesteś zwykłym bydlęciem!

- A ty zwykłą kurwą.

- Ty skurwysynu, doigrałeś się! - zaczęła bić go, gdzie popadło, z jeszcze większą zażartością.

Mateusz z Marcinem stali w progu, zasłaniając nosy koszulkami. Patrzyli na swoich rodziców i oprócz fetoru nie czuli niczego. Przez te wszystkie lata zobojętnieli na to, co działo się pod ich dachem.

- Dobra, mama, zostaw go już - powiedział Mateusz. - To nic nie da. Powiedz lepiej, co robimy z tym gównem, bo strasznie wali.

- Co robimy?! Ja ci powiem, co robimy! Zatlukę *to gówno* - wskazała na Zbyszka - tu i teraz! Jak Bóg mi świadkiem!

- Ale co ci to da?

- Święty spokój, ot co!

- Chcesz iść siedzieć za menela?

- Mogę pójść, wszystko mi jedno!

- Nie warto, wierz mi.

- A co ty niby możesz o tym wiedzieć?!

- Nic, ale wiem, że z dwojga złego wolałabyś być tu niż w więzieniu.

Beata zamilkła na chwilę. Patrzyła teraz zarówno na synów, jak i w głąbiny swojej podświadomości w poszukiwaniu rozsądku, który chował się tam, ilekroć dopadały ją skrajne emocje.

- No dobra, cholera jasna, zwijajcie ten dywan! Wywalamy go na śmietnik! Nie umiesz poszanować, to nie będziesz mieć! - odwróciła głowę z powrotem w kierunku Zbyszka, grożąc mu palcem.

Bracia zabrali się do pracy. Marcin podnosił meble, a Mateusz zwijał dywan. Matka dawała im wskazówki, jak zrobić to szybko i sprawnie, zerkając co chwila na Zbyszka wzrokiem, który, gdyby obdarzyć go zdolnością zabijania, zabiłby, nie pytając właścicielki o zdanie.

Kał był mniej więcej na środku pokoju. Zanim Mateusz doszedł do tego miejsca, fetor zdążył pokiereszować mu nozdrza, gdyż nie mógł jednocześnie zwijać dywanu i zasłaniać nosa. Zbyszek tymczasem leżał niewzruszony na wersalce, zadowolony w duchu, że po raz kolejny uprzykrzył życie rodzinie.

- Dobra, Marcin, dawaj go! - powiedział Mateusz, zakończywszy zwijanie. - Łap za drugi koniec!

- Ja nie mogę, ale wali! - krzywił się Marcin, który również musiał odsłonić nos, aby móc podnieść ciężki dywan.

- Nie narzekaj, tylko bierz!

Podnieśli dywan i wyszli z pokoju. Matka otworzyła im drzwi wejściowe i po chwili byli już na klatce.

Chcąc przemknąć się niepostrzeżenie, schodzili po schodach zwawym krokiem. Tuż za nimi dreptał fetor niczym mały skunks, którego coś wystraszyło. Na pierwszym piętrze natknęli się jednak na sąsiadkę, która właśnie wracała z targu. W jednej ręce trzymała siatkę pełną produktów spożywczych, a w drugiej duże opakowanie proszku do prania.

- O, wymiana dywanu? - spytała.

- A tak, wie pani, czasem trzeba - odrzekł krótko Mateusz, próbując nie wdawać się w dyskusję.

- A cóż tak śmierdzi?

- Pies nam się zesrał.

- Aha - pokiwała głową sąsiadka, ale po chwili zreflektowała się. - Ale wy przecież nie macie psa?

- Nie, ale ciocia do nas przyjechała ze swoim i widzi pani, jak to się skończyło.

- Rozumiem. No tak, to w sumie tylko zwierzę. Ono czasem nie rozumie, nie zna nowego miejsca, domowników. Ma prawo się wystraszyć. Co innego człowiek.

- No właśnie, tak to jest - potwierdził Mateusz.

- Wpadnę do was któregoś razu, żeby zobaczyć ten wasz nowy dywan. Też zamierzam sobie sprawić, bo już nie mogę patrzeć na mój stary!

- Oczywiście, zapraszamy. Ale na razie jeszcze nie mamy nowego. Będziemy się dopiero za czymś rozglądać.

- A skąd mielibyście mieć, skoro właśnie pies wam się zesrał? - zaśmiała się sąsiadka. - Przecież nikt nie trzyma dywanów na zapas.

- No właśnie, no właśnie.

- No dobrze, chłopcy, uciekajcie, bo już na całej klatce śmierdzi.

- Już idziemy, pani Kozłowska. Do widzenia!

- Do widzenia. Pozdrówcie mamę ode mnie.

- Dziękuję, pozdrowimy.

Zeszli na dół i wyszli na zewnątrz. Na dworze panował półmrok. Było chłodno. Podeszli do śmietnika naprzeciwko

swojej klatki i wrzucili dywan do kontenera. Wzięli kilka głębokich wdechów świeżego powietrza, a następnie stanęli obok zaparkowanych wzdłuż ulicy samochodów.

- No i z głowy - powiedział z ulgą Mateusz.
- No. Jeszcze trochę i bym się zrzygał.
- Bez kitu.
- Masz fajki?
- Mam.

Mateusz wyjął z kieszeni papierosy i poczęstował młodszego brata. Sam też zapalił. Marcin w przeciwieństwie do Mateusza nie palił w domu, ale z drugiej strony nie krył się z tym za szczególnie poza nim. Z każdym rokiem bracia mieli ze sobą coraz mniej wspólnego. Dzieliły ich już nie tylko te cztery lata w metrykach, lecz także poglądy, cechy charakteru i zachowania. Coraz trudniej było im znaleźć wspólny język, zupełnie jakby pochodzili od innych ojców.

- Wiesz co? - zagaił Marcin.
- Co?
- Chyba trzeba stąd spierdalać.
- Spierdalać? Gdzie?
- Nie wiem, na przykład do Anglii.
- No i co byś tam robił?
- Nie wiem, cokolwiek.
- Przecież ty nawet języka nie znasz.
- No i co z tego? Tyle osób wyjeżdża i jakoś dają radę.
- Jasne, a potem pokazują ich w telewizji, jak śpią na dworcach.
- Co ty pierdolisz? Zobacz, ilu ziomków wyjechało,

choćby od nas.

- No to jedź.

- No pewnie, że pojedę. Tylko skończę szkołę.

- *Jeśli* skończysz.

- Skończę, nie dygaj.

- Mam nadzieję. Ale oprócz tego musisz jeszcze podszkolić angielski, bo bez języka to lipa.

- E tam lipa, do garów nie trzeba języka.

- Do garów może i nie, ale gary to i tutaj możesz zmywać.

- Ale za mniejszą sarę.

- No tak, w twoim przypadku to akurat istotne.

- Co masz na myśli?

- Dobrze wiesz, co.

- Nie wiem.

- Mam na myśli to, że na garach to musiałbyś trochę popracować, żeby jednocześnie utrzymać się i spłacić te twoje długi.

- Jakie długi?

- Ja pierdołę, Marcin, za kogo ty mnie masz? Myślisz, że od kiedy ja tu mieszkam, od wczoraj? Myślałeś, że nie wiem?

- A skąd wiesz?

- Nieważne.

- No dobra, mam długi, i co z tego?

- Co z tego? Człowieku, ty masz niecałe osiemnaście lat! Już nie pamiętasz, jak z Piotrkiem wyciągaliśmy Karola z gówna? Też chcesz, żeby cię do lasu wywieźli?

- Nie wywiozą, nie dygaj.

- Jasne.
- Będę im spłacał w ratach, żeby się nie czepiali, a potem spierdole i już nie wrócę. Nie znajdą mnie.
- No to masz, kurwa, zajebisty plan na życie. Matka na pewno się ucieszy.
- Chyba jej nie powiedziałaś?!
- Pojechało cię? Mało ma zmartwień?
- To dobrze, bo już myślałem...
- Co myślałeś? Że cię sprzedam? Chyba jednak mało mnie znasz.
- Nie, nie o to chodzi...
- A o co?
- O to, że ona ma swoje problemy, tak jak mówiłeś...
- To są *nasze* problemy, jak byś nie zauważył.
- Nie, Mati, ja to pierdole. To nie są moje problemy. Nie będę wiecznie patrzeć, jak stary chleje i się stacza. Spierdalałam stąd.
- No to spierdalaj i chuj!
- Wyluzuj, co się tak denerwujesz? Jakoś damy radę.
- Może tak, a może nie. Ale pamiętaj jedną rzecz...
- Co?
- Że jak nie spłacisz długów i spierdolisz, to mnie się dobiorą do dupy w pierwszej kolejności.
- A co ty masz do tego?
- Jestem twoim brejdakiem, tak?
- No i co z tego?
- No właśnie to.
- No to najwyżej przyjedziesz do mnie. Jak ja tam już

obczaję klimaty, to cię wkręcę.

- Do czego mnie wkręcisz, do garów? A skąd ty wiesz, co ja bym chciał w życiu robić, co? Myślisz, że zmywanie garów to wszystko, o czym marzę?

- No, nie wiem...

- No to się zamknij, jak nie wiesz!

- No dobra, kurwa, już nic nie mówię! Ostatnio w ogóle nie da się z tobą normalnie pogadać. Ciągłe się wkurwiasz nie wiadomo o co!

- Skoro uważasz, że nie wiadomo o co, to chyba rzeczywiście nie mamy o czym rozmawiać.

- No chyba.

kwiecień 2005

Wieczorem mgła spowiła Bronowice jak zawieszona w powietrzu cukrowa wata. Zrobiło się sennie, cicho i bardzo spokojnie. Od czasu do czasu ciszę tę przerywało skrzypienie drzwi wejściowych do klatki, w której mieszkał Siatkarz. To tam niezmiennie od wielu lat podążali ludzie, którzy mgłę mieli nie tylko przed oczami, ale i w duszy. Przekonani, że alkohol pomoże im ją stamtąd przepędzić, kupowali butelkę albo dwie, po czym szli dalej w swoją stronę, nie niepokojąc nikogo.

Tymczasem wspomniana mgła, która dla pogody jest tym, czym astygmatyzm dla oka, zdawała się gęstnieć, owijając się wokół budynków i skracając najwyższe z nich mniej więcej o połowę. Warto przy tym zaznaczyć, że Bronowice we mgle były zjawiskiem pięknym, jak zamarznięty wodospad. To właśnie wtedy ta na co dzień bandycka dzielnica, przez niektórych nazywana „krainą latających siekier”, stawała się, przynajmniej na chwilę, czystsza, uśpiona i wolna od zepsucia.

Minęła dwudziesta pierwsza. Mateusz, Karol i Piotrek stali na placu zabaw przed swoim blokiem, oparci o trzepak,

który przez całe dzieciństwo służył im za jedną z bramek. I choć mecze rozegrane przez nich na tym niewielkim, ograniczonym drzewami, żywopłotem, śmietnikiem i drabinkami placu szły w setki, to te decydujące tudzież najpiękniejsze akcje pamiętali do dziś. Już sama myśl o tym, jak wielką frajdę sprawiały im zwycięstwa nad starszymi od siebie kolegami w meczach, w których stawką była dwulitrowa, jabłkowa Olimpia, wywoływała uśmiechy na ich twarzach. Ale w piłkę nie grali razem już od dawna. W pewnym momencie ich drogi z różnych powodów rozeszły się bezpowrotnie.

Piotrek poznał Adę, w której zakochał się bez pamięci. Poświęcał jej każdą wolną chwilę, odstawiając na boczny tor życie osiedlowe (tym bardziej, że Ada była spoza Bronowic, a takie dziewczyny na ogół krytycznym okiem patrzyły na towarzystwo, w którym obracali się ich ukochani). Karol z kolei dostał wyrok w zawieszeniu za pobicie kijem baseballowym sprzedawcy z obuwniczego po tym, jak ten odmówił mu zwrotu pieniędzy za wadliwy towar. W konsekwencji rzadko wychodził na dwór, by przypadkiem nie wplątać się w coś. A Mateusz? Mateusz studiował. Studiował nie tyle dla samego wykształcenia, ale bardziej po to, by zagrać na nosie ojcu, który nie przestawał nim gardzić. Tak więc chwile takie jak ta, gdy mogli wspominać stare, dobre czasy lub po prostu szczerze porozmawiać, zdarzały im się coraz rzadziej.

- No i co, usunęliście? - spytał Karol przy pierwszej nadarzającej się okazji, jakby czekał na nią od samego

początku, choć stali przy trzepaku już blisko godzinę.

Piotrek był równie ciekaw, co Karol, ale w przeciwieństwie do niego miał mniej śmiałości lub, jak kto woli, więcej taktu. Znał jednak Mateusza na tyle dobrze, by wiedzieć, że ten na pewno nie uznał tego pytania za niezręczne i nie poczuł się nim urażony. Poza tym, mimo luźniejszych ostatnio relacji, wciąż byli przyjaciółmi, a przyjaciele zasługują na to, by otrzymywać tego typu informacje z pierwszej ręki, zwłaszcza gdy osiedle huczało od plotek.

- Mówisz, jakby chodziło o grzyba na suficie - mimo że z ust Mateusza powiało chłodem, to, zgodnie z przewidywaniami, nie poczuł się urażony.

- Wyluzuj, ja tylko pytam.

- Tak, usunęliśmy. A co mieliśmy zrobić?

- Nic, ja też bym tak zrobił.

W tym momencie obaj odruchowo spojrzeli na Piotrka, który pod presją ich spojrzenia odpowiedział, że postąpiłby tak samo, choć wcale nie był przekonany co do szczerości tej odpowiedzi, a gdy nagle przypomniał sobie, że Adzie spóźniał się okres, dym papierosowy, którym chwilę wcześniej się zaciągnął, ugrzązł mu w gardle i nie potrafił go wykrztusić, jakby ktoś zacerował mu usta.

- Ale ogólnie jak poszło, dobrze? - dopytywał Karol.

- To była masakra - odrzekł Mateusz ponurym tonem.

- Masakra? A czemu?

- Bo Patrycja strasznie się darła. Musiało ją cholernie boleć.

- Boleć? Ja myślałem, że takie rzeczy to robi się ze znieczuleniem.

- Bo się robi. Ale trzeba dodatkowo becelować, a myśmy ledwo nakminili na samą skrobankę.

- Aha, czaję. Ale to z ogłoszenia było, czy ktoś dał wam namiary?

- Z ogłoszenia. Ale okazało się, że fatalnie trafiliśmy.

- To nie mogliście po prostu pójść gdzie indziej?

- W sumie mogliśmy, ale wiesz, to był już praktycznie trzeci miesiąc. Już zaczynało być widać. A ile można mówić, że ktoś ot tak tyje? Nie mogliśmy dłużej zwlekać.

- A nie myśleliście... - napomknął Piotrek, ale urwał w pół zdania.

- Żeby urodzić? - dokończył za niego Mateusz.

- No.

- A ty chciałbyś mieć dziecko z klientką, którą poznałeś na imprezie?

Piotrek speszył się. Oczywiście, że by nie chciał. W sumie z Adą też poznali się na imprezie, konkretnie na osiemnastce Mateusza, ale to było co innego.

- A jak to wyglądało, tak mniej więcej? - ciekawość Karola wciąż była niezaspokojona; wysysał z Mateusza kolejne informacje jak wyposzczony wampir, który do tej pory żywił się wyłącznie plotkami.

- To długa historia.

- Mamy czas - zapewniał. - Weź jeszcze polej - poinstruował Piotrka.

Piotrek nalał spirytus do jednorazowych kubeczków,

a następnie poczęstował kolegów papierosami, które służyły jako popitka.

- No to zdrowie! - wzniósł toast Karol.

Wypili jednym haustem. Na ich twarzach nie pojawiła się nawet najdrobniejsza zmarszczka, krzywizna czy wypiek, a ich języki nie szamotały się w gardle, jak to ma często miejsce podczas spożywania mocnych trunków.

- No, to opowiadaj - poganiał Karol.

- No więc - zaczął Mateusz, głęboko zaciągnąwszy się papierosem - wzięliśmy pierwszy lepszy numer z Anonsów, taki z napisem „zabiegi”, i zadzwoniliśmy. Odebrał jakiś koleś. Nie wiem, czy to był lekarz, może tylko przyjmował zamówienia? Tyle dzisiaj się tego robi. W każdym razie umówiliśmy się na konkretny termin. Pojechaliśmy tam w środę. To było gdzieś na LSM-ach, nie pamiętam dokładnie nazwy ulicy. No i wchodzimy, a tam normalne mieszkanie, żaden gabinet. I wita nas uśmiechnięty kolo w swetrze i dzinsach, i zaprasza na dół. Okazało się, że miał tam takie małe pomieszczenie zaadaptowane specjalnie do tych „zabiegów”. Nie wiem, czy tam była kiedyś piwnica, czy co, ale strasznie tam jebało i nie było okien, także duchota i stęchlizna na maksa. Niby były jakieś narzędzia, sprzęt, fotel, ale ogólnie to straszny syf. Sam się, kurwa, przestraszyłem, a co dopiero Patrycja!

- No i co było dalej?

- No i ten koleś kazał mi wyjść. Spytałem jeszcze tylko Pati, czy na pewno chce to zrobić tutaj, ale ona powiedziała, że tak, że miejmy to już za sobą. Więc wyszedłem.

- A ile daliście, tak w ogóle?

- Tysiąc pięćset.

- Tysiąc pięćset?! - oburzył się Karol. - Ale skurwysyn, zdzierca! Zajebałbym go gołymi rękami!

Ze słowami Karola zawsze należało się liczyć, a przynajmniej brać je pod uwagę. Był krewkim, zaciętrzewionym chłopakiem. W niczym nie przypominał już tego grzecznego, uprzejmego blondynka o łagodnych, niebieskich oczach, którym był za młodych lat. Kiedy mówił, że coś zrobi, to to robił. Gdyby był teraz na miejscu Mateusza, zapewne spełniłby swą groźbę, nawet pomimo ciężącego na nim wyroku.

- No, i to bez znieczulenia tyle chciał!

- Ja pierdolę, masakra!

- No.

- No i co, stałeś tak sam za tymi drzwiami?

- No. Na początku było cicho. Może ją wstępnie badał? Nie wiem, nie znam się na tym. Ale potem, jak się zaczęło, to na dobre. I powiem wam, że jak żyję, to kurwa nie słyszałem, żeby kobieta tak się darła. Normalnie jakby jej cycki żywcem wycinali! Jarałem szluga za szlugiem. Wypaliłem chyba z pół ramy. Myślałem, że to jakiś koszmar. Żałowałem, że ta impreza, co się na niej bzyknęliśmy, w ogóle się wydarzyła.

- Ja pierdolę, no to nieźle - Karol był pod wrażeniem opowieści.

- No. Do tej pory mam ciary na plecach, jak o tym myślę.

- Nie dziwię się. No i co było dalej?

- W pewnym momencie nie wytrzymałem i wszedłem do

środka.

- No co ty dajesz?

- Bez kitu. Mówię wam, byłem taki roztrzęsiony, że nawet szluga nie zgasilem, tylko złapałem za klamkę i wszedłem z nim do środka.

- Ja cię, ale jazda! - emocjonował się Karol.

- No, ale reszta jest już bardzo nieprzyjemna, także nie będę wam opowiadać.

- No co ty? Jak już zacząłeś, to dokończ.

- Nie, lepiej nie - opierał się Mateusz.

- No weź, nie wygłupiaj się. Codziennie gorsze rzeczy w telewizji pokazują. Nie traktuj nas jak małałatów!

- No dobra, niech ci będzie - uległ Mateusz - ale jak potem przyśni ci się to w nocy, to nie miej do mnie pretensji, OK?

Mateusz uznał bagatelizujący uśmiech Karola za wystarczająco wiążącą odpowiedź na zadane pytanie.

- No i wchodzę z tym szlugiem, a tam Patrycja leży rozkraczona na fotelu, w takim jakby półszpagacie, a ten koleś jej tam grzebie czymś, co przypominało chochlę. Ale chyba generalnie już kończył, bo szczątki dziecka pływały w misce obok z krwią i jakąś dziwną mazią czy śluzem? W sumie nie wiem, jak to nazwać, ale razem wyglądało to jak zlewki z obiadu. Myślałem, że się zrzygam.

Zapanowała cisza. Przez cały ten czas, kiedy Mateusz relacjonował wydarzenie, Piotrek nie odezwał się ani słowem. Karol też nagle zamilkł. Chyba żaden z nich nie przypuszczał, że prosty w ich mniemaniu zabieg mógł mieć

tak dramatyczny przebieg.

- Teraz to zastanowię się trzy razy, zanim włożę gdzieś kutasa. Najwyżej do końca życia będę walił konia - skwitował Mateusz.

Mgła pochłaniała kolejne budynki i elementy otoczenia, które wpadały w nią jak muchy w misternie utkaną pajęczynę. Widoczność była ograniczona, ale nie na tyle, żeby nie spostrzec coraz liczniejszych płomieni świec zapalających się w oknach okolicznych bloków. Mieszkania, będące do tej pory znajomą i nieodzowną częścią panoramy osiedla, momentalnie zamieniły się w swego rodzaju miejskie krypty, w swoiste miejsca kultu, gdzie ludzie gromadzą się wokół płomienia, by oddawać cześć swoim zmarłym władcom. Kilka chwil później rozbrzmiały kościelne dzwony - te najgłębsze i najcięższe, te, których dźwięk był jedyną rzeczą zdolną przecisnąć się przez mgielną pajęczynę. Niemal równocześnie z klatek zaczęli wysypywać się lokatorzy, którzy jak lunatycy zmierzali na drugą stronę dwupasmówki, przyzywani niecierpliwym dudnieniem dzwonów, dającym im do zrozumienia, że nie będzie tolerancji dla spóźniałstwa. Zapanowała dziwna atmosfera zbiorowej hipnozy, jakiejś niepisanej i niewysłowionej powinności, którą znał i rozumiał każdy i która kazała tym wszystkim ludziom właśnie teraz wyjść z domu i iść do kościoła.

- No chyba ich już całkiem pojechało z tymi dzwonami! - pieklił się Karol. - Która to godzina jest?

- Za dziesięć dziesiąta - odparł Piotrek, spojrzawszy na zegarek. - Jeszcze nie ma ciszy nocnej - dodał z ironią.

- To ty nie wiesz, że czarnuchów nie obowiązuje cisza nocna? Pewnie se znowu wymyślili jakąś kolejną mszę i teraz będą tak napierdalać całą noc! Ech - westchnął - nie mam już do nich siły, jak słowo daję. Niedługo zaczną sobie rozkładać dywaniki na ulicach i modlić się pięć razy dziennie jak jacyś pieprzeni muzułmanie!

- Tym razem chyba nie chodzi o mszę - powątpiewał Piotrek.

- Nie o mszę? A o co?

- Wydaje mi się, że papież pierdolnął.

Trochę to trwało, zanim mocno podpici Mateusz i Karol skojarzyli ze sobą świece, znicze, dzwony oraz tłumy przygnębionych, pogrążonych w zadumie ludzi i dotarło do nich, że hipoteza Piotrka była wielce prawdopodobna.

- Też mi się tak wydaje - rzekł Mateusz po namyśle.

- No, w sumie mógł pierdolnąć. Ostatnio nie było z nim najlepiej, z tego, co wiem - zauważył Karol.

Cała trójka przyglądała się niemrawo swoim sąsiadom i znajomym, którzy wraz z rodzinami szli opłakiwać papieża Polaka. Na ich oczach tworzyło się właśnie pokolenie JP2. W tym momencie nie mogli o tym wiedzieć, bo sam termin nie został jeszcze ukuty, ale nawet gdyby wiedzieli, to nie dołączyliby do tłumu. Żaden z nich nie uznawał bowiem autorytetów ani nie zaprzętał sobie głowy ideałami, które były dla nich jak kolekcja ubrań, a te w następnym sezonie zwykle kompletnie nie przystają do panujących trendów.

Szczególnie zaś Mateusz uważał, że każdy kult jednostki był z gruntu rzeczy zły i że nie należało bezkrytycznie przyjmować czyichkolwiek słów, a już na pewno nie tych zaangażowanych religijnie.

- No dobra, słuchajcie, ja będę już leciał - ogłosił. - Jak znam życie, to moja stara już tam pewnie pierdolca dostaje z tego wszystkiego.

- Spoko - odparł Karol. - Ale rozchodniaka to musisz pierdolnąć, w końcu nie co dzień nam papież umiera!

- Jasne.

- No, to co? - Karol wzniosł swój kubeczek zachęcającym gestem. - Ave papa!

- Ave! - zawtórowali mu koledzy.

Awanturę u Stawickich, która rozgrywała się za zamkniętymi drzwiami ich mieszkania na drugim piętrze, dało się słyszeć już na dole. Festiwal obelg, wulgaryzmów i pogroźek nie po raz pierwszy pokazywał, że ludzka natura za nic ma sobie dobre obyczaje i że to ona, a nie one, była przy człowieku wcześniej, co dawało jej prawo, by dyktować mu, co ma robić. Odkąd świat obiegła smutna wiadomość o śmierci papieża, na klatce panował spory ruch. Sąsiedzi krzatali się w tę i z powrotem, na przemian wchodząc i schodząc po schodach. Ilekroć mijali mieszkanie Stawickich, kręcili wymownie głowami, zastanawiając się zapewne, jak można było zachowywać się w tak niegodny sposób w obliczu żałoby narodowej i jakże pięknego, masowego zrywu serc. Mimo że

awantury u Stawickich wybuchały nieprzerwanie od bez mała ośmiu lat – i po tak długim czasie zdawały się zlewać w jeden niekończący się konflikt – to nigdy nie można było być pewnym, jaka scena ukaże się ciekawskim oczom po otwarciu tych wyklętych, naznaczonych drzwi.

Z taką samą dozą niepewności podszedł do nich Mateusz. Chwycił za klamkę, lecz nagle zawahał się. Ogarnęły go wątpliwości, które zaczęły przenikać każdy jego nerw, każdy skrawek skóry. Chciał zawrócić. Byłby nawet skłonny wbrew sobie dołączyć do tłumu i przeczekać tę noc w kościele na czuwaniu i modlitwie, byleby nie musieć otwierać drzwi. Miałby przynajmniej intencję. Wyrzuciłby ją w górę jak gołębia, czekając, aż ktoś ją złapie i spełni. Tylko kto? Bóg, w którego nie wierzył? Papież, którego nie uznawał? Ksiądz, z którym poróżnił się po kolędzie? A może przypadkowy wierny, którego nie znał?

- Ty kurrrwo! - ryknął głos zza drzwi, głos, którego niepodobna było pomylić z żadnym innym, szczególnie gdy akcentował te dwa konkretne słowa. - Zajebię cię! Teraz to ci nawet ten twój jebany papież nie pomoże! Wielką katoliczkę udaje, wielką panią, a jebią ją w kakałko jak zwykłą latawicę! Splunąłbym ci w mordę, ale szkoda mi śliny!

Mateusz już miał wejść, już popłynąć z prądem, dać się wessać wirowi wydarzeń, ale rozproszył go sąsiad z piętra wyżej, pan Karnowski, który nieoczekiwanie pojawił się na klatce. Poczciwy, starszy człowiek zdawał się robić więcej hałasu niż sami awanturnicy, gdyż jego roztelepana,

cierpiąca na Parkinsona dłoń bezwolnie objęła trzymaną w niej laskę o poręczce, gdy schodził po schodach. Mateusz odwrócił głowę w jego kierunku.

- Czy aby na pewno wszystko w porządku? - spytał starszy pan z troskanym głosem.

- Tak... tak... ja tylko... szukam kluczy - wymyślał w locie Mateusz.

- Wiesz co, chłopcze?

- Co takiego?

Starszy pan zamyslił się, jakby na chwilę straciwszy wątek. Może jego leciwe, stetryczące ciało po prostu się zacięło? A może próbował przywołać ze swojej zardzewiałej, perforowanej pamięci jakiś fakt bądź zdarzenie przechowywane i pielęgnowane przez trzy pokolenia, które dzieliły jego i tego młodego chłopaka, stojącego przed drzwiami do swojego mieszkania jak przed wejściem do komory gazowej?

- Wybieram się właśnie do kościoła - zaczął w zupełnie innym punkcie swojej wystrzępionej mapy kognitywnej - co w obecnej sytuacji nie powinno nikogo dziwić, choć przyznaję, że ostatnio mało wychodzę.

- I?

- I pomodłę się za was, znaczy się za ciebie i twoją rodzinę, tak samo jak za naszego kochanego Ojca Świętego.

- To miłe z pana strony - odparł Mateusz - ale obawiam się, że nam już nic nie pomoże. Szkoda intencji - zauważył gorzko. - Naprawdę lepiej będzie, jak pomodli się pan o coś innego.

- Ja już nie mam o co się modlić.

- To może o zdrowie? O to chyba zawsze warto się modlić?

- A ciort ze zdrowiem! Na co komu zdrowie, jak nie ma się dla kogo żyć?

- To chyba tak samo jak z tym odwiecznym pytaniem: „Mieć, czy być?”. Ja zawsze odpowiadam, że po co być, skoro się nie ma?

- Słucham? - pan Karnowski najwyraźniej nie dosłyszał tego ostatniego zdania, mimo że nadstawiał uszy, wychylając się zza poręczy.

- Nie, nic... nic takiego.

- Możesz powtórzyć?

- To nic ważnego, takie tam przemyślenia.

- To w takim razie ja ci coś powiem.

- Tak?

- Ja wiem, że wy młodzi to sobie życie po swojemu i nie słuchacie takich starych dziadów jak ja, ale powiem ci coś, czego nauczyłem się przez te osiemdziesiąt parę lat.

- Czego?

- Tego, że każdy człowiek ma w życiu dwie rodziny: tę, która go stworzyła, i tę, którą sam sobie stworzy. To, że jedna z nich zawodzi, to jeszcze nie oznacza, że z drugą będzie tak samo. Zobaczysz, kiedyś sam będziesz miał dziecko i sądząc po tym, co widzę, a obserwuję cię od małego, to myślę, że będziesz lepszym ojcem niż ten pan za drzwiami.

- Ten pan?

- W sensie twój ojciec.
- To dlaczego powiedział pan *ten pan*?
- Nie wiem, tak mi się powiedziało. Czy to ważne? - denerwował się staruszek, jakby nieroztropnie wyjawiał jakiś głęboko skrywany sekret.
- Dla mnie ważne - podkreślił Mateusz.
- To tylko słowa, chłopcze. Ważne jest to, jakie znaczenia się za nimi kryją.
- No właśnie, *więc*?
- Co *więc*?
- Dlaczego *ten pan*?
- Dlatego, że od wielu lat ten pan zachowuje się, jakby był dla ciebie obcym człowiekiem, a nie ojcem.
- Tyle to i ja wiem.
- To właśnie chciałem powiedzieć.
- Dobrze, panie Karnowski, wie pan co, ja już muszę iść...
- Idź, idź - powiedział z ulgą staruszek, gdyż w pewnej chwili poczuł się jak uczeń odpytywany pod tablicą. - I pamiętaj, że zawsze możesz do mnie przyjść, jak będziesz mieć kłopoty. Mieszkam sam, mogę pomóc.
- To miłe, dziękuję.
- Nie ma za co.

Ten pan. Słowa te wciąż brzęczały Mateuszowi w głowie jak elektryczna szczoteczka do zębów, gdy stanąwszy w przedpokoju, ujrzał *tego pana* trzymającego długi,

kuchenny nóż przy gardle *tej pani*.

- No proszę - powiedział *ten pan* - kogo ja widzę? Czyż to nie ten ciechanowski bękart, co nie wiezieć czemu ciągle się tu pałęta?

- Zostaw ją.

- A co mi zrobisz?

- Powiedziałem: zostaw ją!

- Obrońca się znalazł. Jesteś taki sam jak ona. Ta sama kurewska krew! - splunął na dywan.

Ta pani miała wymalowane na twarzy wszelkie możliwe oblicza strachu. *Ten pan* trzymał ją tak mocno i pewnie, że nie miała siły, by mu się oprzeć. Mateusz zdjął kurtkę i buty i podszedł dwa kroki bliżej.

- No, spróbuj szczęścia - powiedział *ten pan*.

- Zostaw ją, bo zadzwonię na policję.

- Kurwa, ile ty mnie jeszcze będziesz straszyć tą policją, co? Myślisz, że ja się ich boję? Koło dupy mi to lata!

- Jakoś, gdy przyjeżdżają, to robisz się potulny jak baranek.

Ten pan spiorunował go wzrokiem.

- Gówno prawda!

- Pewnie, że prawda. Ile razy tak było?

- Nie kłam, ty bękarcie!

- Nie kłamię. Myślisz, że nie wiem, że srasz ze strachu, że ci odwieszą wyrok?

- Ja ci zaraz pokażę, kto tu sra ze strachu!

Ten pan odepchnął *tę panią* w róg przedpokoju jak tanią tajską prostytutkę po stosunku, po czym rzucił się na

Mateusza i przystawił mu nóż do gardła tak samo jak jej, drugą ręką trzymając go za bluzę.

- No i co teraz?

- Gówno! Pierdołę ciebie i te twoje pogrożki!

- Uważaj na słowa, gnoju!

- A co, zabijesz mnie?

- Nie wierzysz?!

- No to dawaj! - krzyknął z całej siły Mateusz, przyciskając gardło do noża.

- Uspokójcie się! - szlochała *ta pani*.

- A ty się nie wpierdalaj! - warknął na nią *ten pan*. - To sprawa pomiędzy mną a tym bękartem! Ty to sobie możesz co najwyżej do Chmielewskiego jechać!

- No, dalej, pokaż wreszcie, że masz jaja - prowokował Mateusz. - Bo jak tego nie zrobisz, to pamiętaj, że któregoś ranka możesz się nie obudzić!

- Grozisz mi?

- Żebyś wiedział!

- Ty gnoju, mógłbym cię zajebać jednym ruchem! O, tak!
- pokazał, w jaki sposób by to zrobił.

- No, to zrób to.

- Mógłbym, ale szkoda mi cię, ty niedojdo.

- No to jak nie chcesz, to przestań wymachiwać tym nożem i idź walnij się spać, bo każdy ma już serdecznie dosyć tych twoich scen!

- Zobaczysz, jeszcze będziesz chodził kanałami. Obiecuję ci to! Od tej chwili pilnuj się, bo każdy twój krok na Bronowicach może być ostatnim!

- Ja też mam tu kolegów, także daruj sobie.
- No to zobaczymy, kto ma więcej!
- Zobaczymy!

Ten pan cisnął nim ze złością o szafę, po czym wszedł do swojego pokoju, trzasnąwszy drzwiami. *Ta pani* spuściła głowę i łkała głośno, a łzy spływały jej po policzkach dwiema strużkami, rozpuszczając jej makijaż. Mateusz podszedł do niej i pogładził po twarzy.

- Nie płacz - powiedział, ale ona zaczęła płakać jeszcze bardziej, a jej łzy były teraz jak deszcz, który nagle się rozpadał. - To nie będzie trwać wiecznie, zobaczysz. Jeszcze będziesz szczęśliwa. Nie płacz. Proszę cię.

Bluzgi dobiegały z pokoju *tego pana* jeszcze długo po tym, jak zamknęły się za nim drzwi. W mieszkaniu Stawickich bluzgi te jednak nigdy nie rozplywały się w powietrzu, a zamiast tego wsiąkały na stałe w atmosferę tego domu jak dym papierosowy w firanki. Mateusz warował przy *tej pani* niczym pies pocieszyciel, ciągle gładząc ją po twarzy.

- Wszystko będzie dobrze, nie martw się - przekonywał.

- Wcale nie będzie - odparła *ta pani*. - Ile to już lat się ciągnie, co? - spytała retorycznie, bo nawet ona dawno straciła rachubę. - Jeszcze trochę i nie wytrzymam nerwowo. Kiedyś rzucę to wszystko w diabły i ucieknę do Pierre'a!

- Mamo, nie możesz ciągle żyć swoją nastoletnią miłością. Przecież byłaś w tym Paryżu tylko raz i to na chwilę. On już pewnie od dawna ma swoją rodzinę, dzieci,

swoje własne życie. Zapomnij o nim. To ci nie pomaga. To jest jak czekanie na księcia na białym koniu.

- To tak chcesz mnie pocieszyć? - powiedziała przez łzy.

- Nie, nie zrozum mnie źle. Ja chcę ci tylko pomóc, żebyśmy mogli przejść przez to bagno razem. Razem, rozumiesz?

- No to nie wiem, to do Chmielewskiego pójdę. Każdy byłby lepszy niż ten łajdak!

- Mamo - westchnął Mateusz - a myślisz, że z nim jest inaczej? Zrozum, dzisiaj każdy żyje swoim życiem i my też musimy, mimo tego, co ten skurwysyn wyprawia.

- To niesprawiedliwe!

- Wiem, mamo - zgodził się Mateusz. - Ale życie ogólnie jest niesprawiedliwe. Czasem tak sobie myślę...

- Że co?

- Że ja, ty i Marcin jesteśmy jak las.

- Jak las? A dlaczego jak las?

- Bo tak jak las nie może uciec przed podpalaczem, tak i my nie możemy uciec przed człowiekiem, który podpala nasze życie.

Ta pani przytaknęła, głęboko zamyślona.

- To prawda, nie możemy. Chyba jedyna nadzieja w tym, że spadnie deszcz...

Tymczasem odgłosy z pokoju ucichły, a w mieszkaniu zapanował rzadko spotykany tu spokój.

- Dzisiaj to już chyba nie spadnie - uśmiechnął się Mateusz.

- No, chyba nie - odwzajemniła się uśmiechem *ta pani*.

- Aha, jeszcze jedna rzecz. Całkiem bym zapomniał.

- Co takiego?

- Miałem ci powiedzieć, żebyś przypadkiem nie mówiła ojcu o tym twoim Francuzie. I tak już wystarczająco dużo gada o Chmielewskim.

- Nie powiem, nie martw się. Tyle lat nic nie mówiłam, to i teraz nie powiem.

- No to dobrze.

- Możesz mi przynieść chusteczki?

- Jasne, a gdzie są?

- U niego w pokoju.

- OK.

Mateusz wstał i podszedł do drzwi pokoju *tego pana*. Otworzywszy je na oścież, stanął jak wryty, jakby niechcący uwolnił falę złodowacenia, która zmroziła jego ciało.

- Co tak stoisz? - spytała *ta pani*. - Pijanego alkoholika nie widziałeś?

Nie, tym razem to nie było to.

- Mamo...

- Co takiego?

- Chyba powinnaś to zobaczyć.

Ta pani zerwała się z kucek na proste nogi jak po wciśnięciu przycisku katapultowania w samolocie. Podbiegła do Mateusza, minęła go i wbiegła do pokoju. *Ten pan* leżał w przeciwległym rogu pokoju z paskiem od spodni zaciśniętym na szyi i przywiązany do klamki od drzwi balkonowych. Jego ciało już nie drżało, co mogło świadczyć o tym, że tlen przestał dopływać do mózgu. Bezwładne dłonie

oraz stopy nurzały się w kałuży moczu, który przesiąkł przez spodnie na podłogę. Opadłe jak kotary powieki skrywały gałki oczne, w których popękały naczynka krwionośne, rozlewając się na małe, cienkie nitki. Na wysokości jego prawego uda leżała kartka papieru, a na niej długopis. Ułożone były równo i schludnie, jakby czynność ta była dokładnie przemyślana lub była efektem przedłużania decyzji o samobójstwie. Niestety mocz na tyle zniekształcił zapisane na kartce słowa, że stały się one niezrozumiałe jak lorem ipsum. W pokoju panował straszny bałagan. Porozrzucane niedbale ubrania tak brudne, że nie pomogłoby im już żadne pranie. Niedojedzone, czerstwe pieczywo na stole. Oberwane, dyndające drzwiczki od szafki. Pożółkłe firanki. Ślady spermy na telewizorze po wczorajszym wieczorze z pornosem. Doprawdy strach było umierać w takim nieporządku. Gdyby *ten pan* teraz umarł, to stojący w progu Mateusz zapamiętałby tę datę do końca życia; o śmierci papieża za rok pewnie przypomni mu telewizja.

- Nie stój tak, dzwoń... - mówiła łamiącym się głosem *ta pani*.

Chwilę potem zemdląca.

kwiecień 2005

Blask jarzeniówki obrysowywał kontury martwej ćmy, która jakimś sposobem znalazła się w obudowie zamontowanej na suficie lampy. Przerywane, pulsujące jak stroboskop światło sprawiało, że ćma pojawiała się i znikła w ułamkach sekund, a samo światło robiło jej tysiące zdjęć, szukając najlepszego ujęcia. Zagląający sporadycznie do sali personel nigdy nie spoglądał w stronę sufitu, toteż martwego owada widzieli tylko pacjenci, godzinami wpatrujący się w różne punkty sali. Drzwi do pokoju były lekko uchylone. Na zewnątrz słychać było szuranie kapci snujących się po korytarzu pacjentów. Dwie kobiety przechodzące obok narzekały w rozmowie pół żartem, pół serio na swoich mężów. Szelest foliowych siateczek założonych na obuwie zamiast ochraniaczy, który tylko nieznacznie tłumiał stukot obcasów, wskazywał jednoznacznie, że były to osoby odwiedzające. Odgłos zwykłej, trywialnej rozmowy dochodził na salę niezwykle rzadko, gdyż odwiedzających było niewiele, a gdy już się pojawiali, czym prędzej, wręcz ukradkiem, przemykali przez korytarz ze spuszczoną głową, zamyśleni, ale czujni, próbując pokonać w sobie nieodparte

poczucie wstydu. Cokolwiek jednak, co dało się słyszeć na korytarzu, nie odbijało się długim echem, co mogło świadczyć o tym, że sal było raptem kilka, a sam korytarz najpewniej krótki. Zapach powietrza i panująca wokół atmosfera były jakby szpitalne, ale w odróżnieniu od szpitala miały w sobie coś kojącego, coś uśmierzającego, coś, co nie napawało lękiem czy niepewnością.

To coś czuł również jeden z dwóch mężczyzn leżących na sali z ómą, który zbierał właśnie siły, by unieść oporne powieki. Drugi z nich znudzony wertował magazyny sprzed kilku miesięcy, które podrzucił mu ktoś ze stolika na korytarzu. Przeglądał praktycznie tylko zdjęcia, ewentualnie czytając wstępy do wybranych artykułów. Formował przy tym dziwnie usta, raz pozwalając dolnej wardze opadać, innym razem łącząc dolną wargę z górną i wykrzywając je obie z trudnym do rozszyfrowania grymasem. Zerkał co chwila kątem oka na budzącego się mężczyznę z łóżka obok, jakby nie mogąc się doczekać, kiedy tamten będzie w stanie choćby przytakiwać, nie mówiąc już o ucięciu sobie krótkiej pogawędki.

Tymczasem mężczyzna z łóżka obok zaczął z wolna odzyskiwać przytomność. Wyglądał na zagubionego i oszołomionego. Półprzymkniętymi oczami patrzył tępo przed siebie, nie ruszając głową. Miał przed sobą nieostry jeszcze obraz ómy oraz pulsującej, popsutej jarzeniówki. Mrugał bardzo powoli, ociężale, bardziej jak przy zasypianiu niż budzeniu się. Czuł mrowienie w kończynach i ból mięśni, który promieniował na każde kolejne miejsce, w którym

odzyskiwał czucie, szybko opanowując prawie całe ciało. Resztki śliny nie były już w stanie nawet zwilżyć jego podniebienia. Usta miał nieco spierzchnięte i posiniałe. Popękane naczynka w prawym oku tworzyły odnogi przywołujące na myśl deltę rzeki. Jego szyję znaczyły otarcia, które podeszły od wewnątrz krwią, swoim wyglądem przypominając teraz bardziej bordowe plamy albo ślady po miłosnych ukąszeniach kochanki. Tuż ponad otarciami sterczało spiczaste jabłko Adama, wystające z szyi niczym góra lodowa spod powierzchni morza. Mężczyzna mlaskał, starając się zebrać ślinę. Bulgotało mu w żołądku tak donośnie, że usłyszał to nawet sąsiad z łóżka obok, który wychylił ciekawsko głowę znad stronnicy magazynu.

- Chyba wyplukali ci tam wszystko, łącznie z tym, co powinni byli zostawić - nie wytrzymał w końcu i zaczepnie zażartował, ale widząc, że żart nie był do końca trafiony, spoważniał.

- Leszek jestem - poprawił się, wyciągając rękę do sąsiada.

- Zbyszek - odparł tamten z grymasem bólu na twarzy, tylko nieznacznie podnosząc dłoń znad łóżka tak, że Leszek musiał wychylić się i sięgnąć przez całą przestrzeń dzielącą ich posłania, by mogli uścisnąć sobie ręce.

- Jaki to szpital? - spytał Zbyszek.

- Szpital? Nie, to nie szpital. Chociaż w sumie prawie jak szpital, tylko lepiej jeść dają. A przecież najlepiej tam, gdzie ci dobrze jeść dadzą, nie tak? - buchnął gromkim śmiechem, śmiechem, który zaraz potem przeszedł w przeciągły, mokry

kaszel, tak że łzy napłynęły mu do oczu.

Po dłuższej chwili Leszek opanował kasłanie, wykrztusił flegmę na język i wytarłszy ją o chusteczkę, westchnął głęboko.

- Nie szpital? To gdzie jesteśmy? - dopytywał Zbyszek.

- W Radecznicy.

- Gdzie?

- W Radecznicy, na odwyku.

Leszek przyglądał się Zbyszkowi, który począł bardziej świadomie rozglądać się po sali, ostrożnie ruszając przy tym głową, jakby w obawie, że kręgi mogą nie wytrzymać gwałtownych ruchów.

- Na odwyku? To dlaczego ta sala wygląda jak szpitalna?

- Szpitalna, nie szpitalna, co za różnica? Czy to ważne, gdzie cię trzymają? Może wygląda jak szpitalna, bo tu kładą ludzi po detoksie, jeszcze przed dopuszczeniem na terapię.

- Aha.

- Pewnie byłeś gdzieś w szpitalu na toksykologii i nawet nie pamiętasz. A teraz jesteś tu. Ale nie tylko ludzi tu trzymają.

- Jak to?

- Widzisz tę tam ćmę na suficie? Jej też przydałby się detoks - znów parsknął śmiechem i tak jak ostatnim razem wywołało to męczący kaszel. - Chyba muszę zapalić - stwierdził, ciągle pokasłując.

- To tutaj można palić?

- Nie można, ale pielęgniarki przymykają oko. Nie da się przecież walczyć z dwoma nałogami na raz, prawda? Poza

tym i my jesteśmy wtedy mniej nerwowi, i one nie muszą nas ganiać po korytarzu jak małych dzieci. Kazały tylko otwierać okno, żeby nie zakopcić sali.

- Długo spałem?

- Dość długo. Ale patrząc na to, w jakim stanie cię przywieźli, to chyba nie aż tak. Miałeś bodaj ze dwa osiemdziesiąt we krwi. Pielęgniarka mówiła, że podobno próbowałeś powiesić się na pasku na klamce od balkonu. To prawda?

- Nie wiem. Możliwe, że tak.

- Pewnie stąd te otarcia. Tylko ich nie drap, bo będzie cię boleć jeszcze bardziej.

- I co jeszcze mówiła?

- Że podobno zrobiłeś niezłą awanturę w domu. Rodzina cię znalazła i wezwała karetkę. Ledwo cię odratowali. Niewiele brakowało, bo nawet posikałeś się w spodnie. Pielęgniarka mówiła, że wtedy to już wszystko puszcza i człowiek nic nie kontroluje. Zresztą wiem, jak jest, bo sam tak miałem.

Zbyszek spuścił wzrok, pół zamyślony, pół zażenowany, próbując odtworzyć w pamięci wydarzenia, o których mówił Leszek. Ten, zauważywszy jego zmieszanie, próbował pocieszać kolegę, który miał teraz głowę odwróconą w przeciwnym kierunku.

- Spokojnie, stary, zdarza się. Mnie kiedyś, na przykład, znaleźli pod mostem na mrozie. Też ledwo z tego wyszedłem. Do dziś mogę sobie przypalać zapalniczką palce u nóg i rąk i nic nie czuję. Tak sobie, cholera, odmroziłem. Patrz!

Leszek ochoczo demonstrował to zjawisko niczym wprawiony magik swoje sztuczki, powoli ruszając dłonią w bardzo bliskiej odległości od płomienia zapalniczki. Zbyszek nie patrzył. Zawiesił wzrok na brudnej, dłuższy czas niemalowanej ścianie. Martwa ćma patrzyła na mężczyznę, którym nie kleiła się rozmowa. Podobnie jak oni większość życia błędziła w ciemnościach, próbując dotrzeć do światła, choćby nawet miało ją to zgubić.

- OK, odpoczywaj - powiedział w końcu zrezygnowany Leszek, odkładając zapalniczkę na stolik i sięgając z powrotem po swój magazyn.

Oczy Zbyszka zaszklily się. Ścisnęło go mocno w żołądku. Pewnie gdyby nie to, że był pusty, zwymiotowałby. Czuł, jak łzy zbierają się na jego źrenicach niczym drobniutkie krople rosy na łodyżkach traw o poranku. Z każdą kolejną sekundą łzy te stawały się coraz obfitsze, do tego stopnia, że zaczęły mu drgać powieki - początkowo subtelnie, następnie szybciej, aż w końcu wściekle jak wskazówka wariografu karmiona serią obrzydliwych kłamstw. Powieki te zdawały się pęcznić od nadmiaru łez napierających na nie od wewnątrz. Zbyszek zaciskał szczęki niczym amstaf, naprężając jednocześnie wszystkie mięśnie, by opanować drżenie i nie dopuścić do przerwania tamy, a tym samym powodzi łez. Było mu bardzo zimno, mimo iż przykrywał się kołdrą po samą szyję. Miał dreszcze. Kątem oka patrzył na martwą ćmę przyglądającą mu się w milczeniu.

Na zewnątrz panował przeciąg. Podmuchy wiatru raz po raz świstały na korytarzu, zaglądając do sal przez niedomknięte drzwi tudzież do innych zakamarków na swej drodze. Na dość wąskim korytarzu, wyłożonym starym linoleum, o ścianach pomalowanych farbą olejną w kolorze zamulającego écru, znajdowała się tylko jedna osoba. Młody, wychudzony, posiwiały mężczyzna o pociągłej twarzy i wystających zeń kościach policzkowych opierał się o parapet przy szeroko uchylonym oknie, szybko i łapczywie zaciągając się papierosem, jakby ktoś miałby mu go zaraz wyrwać z rąk. Popiół strzepywał przez okno, choć i tak wiatr zawiewał wszystko z powrotem na korytarz. Nerwowo rozglądał się raz w lewo, raz w prawo w obawie przed niespodziewanym najściem pielęgniarce. Drapał się przez spodnie po kroczu i dziwnie przygryzał wargi. Często mrugał. Nawet z kilkunastu metrów dało się zauważyć, że miał tik nerwowy. Wydawał się bardzo niespokojny. Gdy już dopalał papierosa, a palił go tak namiętnie, że pod koniec rozgrzany filtr parzył mu usta, usłyszał trzaśnięcie drzwiami i coraz donośniejszy, zbliżający się stukot obcasów. W jednej chwili wyrzucił niedopałek przez okno i czmychnął z powrotem do swojej sali.

Na korytarzu pojawiła się kobieta, na pierwszy rzut oka czterdziestokilkuletnia. Włosy miała farbowane na kolor kasztanowy, z licznymi i widocznymi odrostami. Unoszący się nad nią silny zapach lakieru do włosów mieszał się z wonią taniego dezodorantu oplatającą jej szyję. Ubrana była w niebieskie, nieco wytarte dżinsy oraz jasnozieloną, spraną

bluzkę o skromnym dekolcie. Na nogach miała, pod kolor spodni, niebieskie pantofle na niskim obcasie. Żuła gumę, lekko rozchylając wargi, między którymi przykuwała uwagę popsuta, szaro-granatowa jedynka, być może nawet z subtelnym odcieniem brązu, gdyby lepiej się przyjrzeć. Kobieta była niewysoka, plecy miała okrągłe, ramiona nieznacznie wysunięte do przodu, co widać było jednak wyłącznie z profilu. Jej twarz zdobił stonowany, ale starannie nałożony makijaż. Stawiała ostrożne, małe kroki, niepewnie rozglądając się po korytarzu. Zwracała szczególną uwagę na numery sal.

Nagle w jej torebce zawibrował telefon komórkowy, a po chwili panującą wokół ciszę przerwała donośna, monofoniczna melodyjka. Kobieta spojrzała na wyświetlacz pokazujący znany jej numer i odebrała telefon.

- No, cześć.

- Cześć - odezwał się głos w słuchawce - Jesteś już na miejscu?

- Tak, właśnie weszłam. Szukam sali.

- Aha.

- Tu chyba nie wolno palić, bo nie widzę popielniczek.

- To zapal sobie na zewnątrz.

- No już nie będę się wracać, jakoś wytrzymam.

- Myślisz, że będzie chciał z tobą rozmawiać?

- Nie wiem, zobaczymy. Znasz go, wiesz, jaki jest.

- No, wiem. Słuchaj...

- Tak?

- Nie gniewasz się, że nie chciałem z tobą jechać?

- A dlaczego miałabym się gniewać? Daj spokój. Sama nie wiem, po co tu przyjechałam. Pewnie usłyszę to, co zawsze i na tym się skończy - powiedziała kobieta z wyraźną nutą rezygnacji w głosie.

- Mam dosyć, wiesz?

- Wiem. Myślisz, że ja nie mam? O, chyba znalazłam. Dobra, synek, słuchaj, zadzwonię do ciebie, jak wyjdę, OK?

- OK, to czekam na telefon.

- No, to na razie.

- No, na razie.

Kobieta rozłączyła się i schowała telefon do torebki. Następnie wyciągnęła z niej paczkę chusteczek higienicznych, wysmarkała nos, po czym schowała je i przeszedłszy kilka kroków, stanęła przed salą, której szukała.

Drzwi były uchylone, jednak niewiele można było przez nie zobaczyć. Kobieta uchyliła je więc nieco szerzej i nie przekraczając progu, zajrzała do środka. Zobaczyła dwóch leżących na łóżkach mężczyzn, z których jeden był jej dobrze znany, drugi zaś obcy. Przekroczyła próg i zamknęła za sobą drzwi. A właściwie to same się zamknęły, bo w momencie, gdy chwyciła za klamkę i lekko pchnęła je do przodu, przeciąg przyciągnął je z impetem niczym pies na smyczy ciągnący za sobą swoją panią. Drzwi uderzyły z hukiem w futrynę, co sprawiło, że obaj mężczyźni, pierwszy z nich wyrwany z zaczytania, drugi z letargu, skierowali swoje spojrzenia na kobietę. Ta poczuła się niezręcznie, poniekąd z powodu trzaśnięcia drzwiami, a poniekąd dlatego, że nie

lubiła spojrzeć mężczyzn, zarówno tych z podtekstem, jak i bez.

- Dzień dobry - powiedziała nieśmiało, kierując swoje kroki w głąb sali. Powitanie to nie miało konkretnego adresata. Były to jedynie słowa rzucone gdzieś w przestrzeń, słowa same szukające sobie odbiorcy.

- Dzień dobry - odparł łagodnie nieznajomy mężczyzna, zachowując jednak ostrożność i nie dodając nic więcej.

Kobieta zareagowała spontanicznym, aczkolwiek przelotnym skinieniem głowy oraz nieco wymuszonym uśmiechem, którego wywołanie sprawiło jej nie lada trudność. Następnie spojrzała na drugiego z mężczyzn, który niemal w tym samym momencie ostentacyjnie odwrócił głowę w przeciwnym kierunku.

- Czy to krzesło jest wolne? - spytała, zwracając się do nieznajomego.

- Tak, proszę - rzekł tamten, uśmiechając się.

- Dziękuję.

To powiedziawszy, podniosła krzesło, postawiła je przy łóżku drugiego mężczyzny i usiadła. Zdjęła z ramienia torebkę i położyła ją na podłodze, opierając o nogę krzesła. Spojrzała na mężczyznę ze spokojem, wzrokiem łagodnym, niezwykłym urazy, wręcz współczującym. Mężczyzna uparcie patrzył w ścianę, choć widać było, że nie bez wysiłku. Skupianie uwagi na jednym tylko punkcie, w który wbił swój wzrok jak harpun, zdawało się wprawiać go w stan irytacji. Mimo to leżał w totalnym bezruchu niczym odlany w formie posąg. Spojrzenie miał srogie, czoło pomarszczone,

brwi zwięzały się ku nosowi. Cienka kołdra, którą był przykryty, podkreślała poszczególne części jego wychudzonego ciała. Sięgała mu po samą szyję, zasłaniając otarcia. Czuł na sobie presję wzroku kobiety, pomimo tego, że ciężar tego spotkania krył się bardziej w słowach lub w tym momencie w ich braku aniżeli w samym spojrzeniu. Widząc jego upór, kobieta westchnęła głęboko. Nieznajomy z łóżka obok zerkał kątem oka na milczącą parę, udając, że czyta. Z perspektywy postronnego obserwatora ta dwójka ludzi przypominała figury woskowe, uwięzione na wieki w tej samej przygnębiającej scence. Oczy kobiety przez dłuższą chwilę przesłonięte były mgiełką zamyślenia, przez którą gdzieś tam przebiegał autentyczny, lecz nieco przygaszony blask. Niewątpliwie sprawiała dobre wrażenie.

Wzdrygnęła się nagle, jakby szturchnięta przez niewidzialną postać. Wytracona z zamyślenia poczuła się w obowiązku zainicjować rozmowę.

- Jak się czujesz? - spytała.

Mężczyzna nie odpowiedział.

- Potrzebujesz czegoś? Może ci coś przywieźć? Będiesz tu dwa miesiące, a nie masz żadnych rzeczy.

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi ani choćby drobnego gestu, posmutniała. Mężczyzna wciąż na nią nie patrzył, a już sama jej obecność wyraźnie go drażniła. Widząc to, kobieta zmieniła ton na bardziej stanowczy.

- Nie podoba ci się, że tu jestem? Mogę sobie pójść. Ale pamiętaj - zostaniesz sam. Żaden z tych twoich, pozał się Boże, kolegów tu nie przyjedzie. Nikt, rozumiesz? I wtedy

będziesz dzwonić do mnie tak jak zawsze i błagać, żebym ci coś przywiozła. Tylko że wtedy to ja odłożę słuchawkę. Dostyc tego, Zbyszek. Słyszysz? Dostyc. Żeby twój własny syn musiał to oglądać? Nie wstyd ci? Jak ty mu teraz spojrzysz w oczy? Za grosz wstydu nie masz! Teraz, jak będziesz chciał to zrobić, to przynajmniej nie w domu, rozumiesz? *Nie w domu.* Nie wiem, wyjdź sobie na dwór, do piwnicy, czy gdzie tam chcesz. Ale nie w domu. Wiem, że pamiętasz, co zrobiłeś. Nie udawaj. Dobrze pamiętasz. Ty sobie zdajesz sprawę, człowieku, co ty wyprawiasz? Ile jeszcze, co? No powiedz, ile jeszcze? Na jakie i które z kolei dno musisz się stoczyć, żeby w końcu zrozumieć? Opamiętaj się. Przecież nikt nie jest przeciwko tobie. Wszyscy są źli, tylko nie ty, tak?

Zbyszek nadal nie odpowiadał.

- No i co robisz taką minę, jakby krzywda ci się dzieła?

Beata westchnęła, wymownie kręcąc przy tym głową. Guma w jej ustach całkowicie straciła swój smak. Wyzuta mięta nabrała cierpkiego, chemicznego posmaku. Podniosła z podłogi torebkę, założyła ją z powrotem na ramię i wstała z krzesła. Zakręciło jej się w głowie, w dużej mierze z emocji, ale również przez nagłą zmianę ciśnienia. Jej twarz była pełna rezygnacji połączonej ze złością. Przypuszczała, że wizyta nie przyniesie żadnych rezultatów, a mimo to nie kryła rozczarowania. Gorycz paliła ją od środka. Odstawiła krzesło na swoje miejsce, po czym skierowała się do drzwi. Przystanęła jednak w połowie drogi, przypominając sobie o grzecznościach.

- Do widzenia - powiedziała zdecydowanym głosem, a jej

słowa zabrzmiały bardzo ostatecznie.

- Do widzenia - odparł Leszek, wychyliwszy głowę z nad magazynu.

Podeszła do drzwi i chwyciła za klamkę z większą niż ostatnim razem ostrożnością. Drzwi idealnie wpasowały się we framugę i niesłyszalnie zamknęły za nią. Światło jarzeniówki pulsowało jakby mniej gwałtownie. Martwa ćma z uwagą przyglądała się pogrążonym w myślach mężczyznom.

Więcej na: www.ebook4all.pl

maj 2005

Gdyby przyjrzeć się odbłaskom rzucanym przez odbiorniki telewizyjne na szyby okolicznych bloków, można było śmiało stwierdzić, że w ten ciepły majowy wieczór największą oglądalność miał finał Pucharu UEFA rozgrywany pomiędzy Sevillą a Middlesbrough. Chwilę przed rozpoczęciem spotkania wszystkie podwórka i place zabaw opustoszały i tylko ci, którzy nie mieli ochoty siedzieć w domu przy tak sprzyjającej pogodzie, stali pod klatkami, a o przebiegu meczu na bieżąco informowały ich z okien rodziny lub znajomi.

Jednymi z takich osób byli Dryblas i Sebek - najlepsi koledzy Marcina Stawickiego. Dryblas pochodził z biednej, wielodzietnej rodziny. Jego ojciec pracował dorywczo przy wykończeniach wewnątrz albo na budowach. Matka była na rencie. Mieszkali w siedem osób - Dryblas, rodzice, dwaj bracia i dwie siostry - w dwóch pokojach, na niewiele ponad czterdziestu metrach kwadratowych. Żeby mieć na własne potrzeby, Dryblas handlował marihuaną. Gdy zaczął w wieku piętnastu lat, nie przypuszczał, że skończywszy

osiemnaście, będzie mieć wyrobioną renomę, stały dochód i o dziwo czystą kartotekę. Tylko raz na przestrzeni tych kilku lat zdarzyła mu się wpadka, ale nie stanowiła ona podstaw do zatrzymania czy wszczęcia dochodzenia. Otóż pewnego razu policja znalazła przy nim notes, w którym zapisywał, kto i ile pieniędzy był mu winien. Było tam około czterdziestu ksyw, inicjałów i jakichś dziwnych, trudnych do rozszyfrowania skrótów. Na szczęście notes nie zawierał żadnych nazwisk, adresów czy numerów telefonów. Dryblas zdążył ostrzec wszystkie widniejące w nim osoby, żeby przez jakiś czas miały się na baczności. Po kilku miesiącach sprawa ucichła.

Co ciekawe, większość osiedlowych dilerów zazdrościła Dryblasowi sposobu działania. Dlaczego? Bo po pamiętnym nalocie policji na mieszkanie Karola Dryblas całkowicie zrezygnował z zaopatrywania się u lokalnych dostawców i zamiast tego wszedł w bardzo korzystny układ ze swoim dobrym kolegą, który rzucił szkołę i wyjechał za pracą do Holandii. Dzięki temu raz na dwa miesiące na Bronowice trafiała pokaźna partia najwyższej jakości towaru, a Dryblas nie musiał martwić się, że ktoś będzie chciał wywieźć go do lasu.

Zgoła inaczej rzecz miała się z Sebkiem. Ten przepalał więcej, niż zdołał sprzedać. Jego dług rósł szybciej niż zaległości w szkole, w której widywano go tylko czasami i to niekoniecznie na lekcjach. Ojciec Sebka miał ciepłą, urzędniczą posadkę i długi staż pracy. W praktyce oznaczało to spokojne wyczekiwanie na emeryturę. Matka z kolei była

fryzjerką. Pracowała w jednym z najlepszych salonów w Śródmieściu. Dodatkowo odziedziczyli sklep spożywczy po babce. Ze względu na świetną lokalizację sklep ten przynosił im spore zyski. Dzięki temu ojciec Sebka jeździł prawie nowym audi, a sam Sebek zawsze nosił markowe ciuchy, wyjeżdżał na wakacje (z tym że raczej krajowe) i chętnie zapraszał kolegów na piwo. Nikt jednak nie wiedział, że Sebek finansował takie wypadki głównie z pieniędzy podbieranych ze sklepu, gdzie bywał bodaj częściej niż w szkole. Przez pewien czas straszył ekspedientki zwolnieniami, gdyby się wygadały, ale gdy zaczął podbierać coraz większe sumy, te zbuntowały się i doniosły na niego ojcu, który przykręcił mu kurek z pieniędzmi. Od tamtej pory jego sytuacja pogarszała się z tygodnia na tydzień.

- No i co, jak ten spręcik? - spytał Dryblas.

- Jak zwykle zajebisty - ocenił Sebek, zaciągnąwszy się jointem. - To jeszcze ze starej czy już z nowej dostawy?

- No gdzież ze starej, pojechało cię? Stara to już dawno poszła. Z nowej.

- To znaczy, że Łukasz przyjechał, tak?

- No, wczoraj wieczorem.

- Nie widziałem go.

- Nie musiałeś - wyjaśnił Dryblas. - Wystarczy, że fura stoi.

Sebek zmrużył oczy i przez kłęby dymu zmierzył Krańcową od lewej do prawej, samochód po samochodzie.

- A która to?

- Tamten merol - Dryblas wskazał na lśniącego

mercedesa w kolorze srebrny metalik, zaparkowanego przed piątą klatką.

- No co ty dajesz?

- Bez kitu.

- Ty, a ja myślałem, że to Prezesa!

- Prezesa? Prezes to mu go może co najwyżej popilnować.

- Ty, a skąd on ma taką furę?

- Nie wiem, najwyraźniej zarabia chłopaczyna.

- Zarabia? - zdziwił się Sebek.

- Tak mi się wydaje.

- No dobra, ale na czym tak zarabia, że stać go na merola? Bo chyba mi nie powiesz, że na truskawkach. Nawet w Holandii takich pensji nie ma.

- Może na bace?

- Nawet na bace by tyle nie zarobił, choćby nie wiem jak zajebistej.

- No to może jakieś interesy robi?

- Jakie interesy?

- Kurwa, Sebek, nie wiem! - rozzłościł się Dryblas. - Zresztą wiesz przecież, że ja w takie rzeczy nie wnikam. Najważniejsze, że mi sprzęt przywozi co dwa miechy. Tylko to mnie interesuje.

- A jak się rozliczacie?

- Normalnie. Płacę za poprzednią dostawę i biorę w kreda nową. Do tego odpalam mu procent z zysków za wyłączność. Proste, nie?

- No.

- No właśnie. Nikomu nie zależy, żeby to zjechać. Ja tam nie będę wnikać w nie swoje sprawy, czaisz?

- No - przytaknął Sebek. - Ty, a ile mu odpalasz?

- Chyba cię pojebało, że ci powiem.

- No weź, z ciekawości pytam.

- Nawet mnie nie rozwalaj. Ciesz się lepiej dobrą baczka. Póki jest, bo szybko schodzi.

- No dobra, luz, jak nie chcesz powiedzieć, to nie.

Z okna na drugim piętrze wyjrzał Mario, brat Sebka. Z takiej wysokości nie miał odpowiedniego kąta, żeby zobaczyć starszego brata oraz Dryblasę, których zasłaniał daszek nad wejściem do klatki, jednak sądząc po unoszącym się dookoła, dobrze mu znanym zapachu marihuany, ta dwójka wciąż tam stała.

- Brejdak! - zawołał.

- Co?! - usłyszał w odpowiedzi.

- Sevilla prowadzi do przerwy jeden zero!

- No i co z tego?

- To, że szykuj hajs!

Sebek wyszedł spod daszku na chodnik, trzymając jointa w dłoni. Próbował coś powiedzieć, ale nagle złapał go silny kaszel. Gdy udało mu się go opanować, podniósł głowę i pobłądził wzrokiem w poszukiwaniu swojego okna. Holenderski skun był bardzo mocny, a do tego zaczął działać niemal natychmiast po pierwszym zaciągnięciu. W takich chwilach Sebek uświadamiał sobie, dlaczego to Dryblas był najlepszym dilerem na osiedlu.

- Ty się tak nie wymądrzaj, kurwa! - pogroził młodszemu

bratu. - Jeszcze cała druga połowa jest!

- I tak przejebią! - wyrokował Mario.

- Ni chuja, dwa jeden będzie! - upierał się Sebek.

- Chyba śnisz! Sevilla ich jedzie, jak chce! Kolejne bramki to tylko kwestia czasu!

- E tam, gównu się znasz!

- Sam się nie znasz! Ekspert się znalazł! - drwił Mario. - Pochwal się lepiej Dryblasowi, ile w tym tygodniu przejechałeś na STS-ach!

- To ile przejechałeś, *ekspercie*? - wtrącił się Dryblas, śmiejąc się.

- O Jezuu, raptem parę złotych, a ten robi aferę na całe osiedle! - tłumaczył się Sebek. - Słuchaj Maria, a zajebicie na tym wyjdiesz! - spojrzał na Dryblasa.

- Dobra, dobra, już się nie tłumacz - komentował z okna Mario.

- A może byś wreszcie zamknął japę, co? - tracił cierpliwość Sebek. - Nie wpierdalaj się starszym w rozmowę! Mario odwrócił się i spojrzał na telewizor.

- O, druga połowa się zaczyna. Idę zobaczyć tę masakrę! - wybuchnął głośnym śmiechem.

- No, to idź i już nie katuj ucha!

Nastąpiła chwila ciszy. Mario co chwilę zerkał na telewizor.

- Wiesz co, brejdek?

- Co?

- Dam ci jeszcze jedną szansę.

- Szansę? Ty mi będziesz dawać szansę?

- No - potwierdził tę niedorzeczność Mario. - Możesz pójść na układ.

- Ja nie wchodzę z tobą w żadne układy!

- Ale słuchaj, mam propozycję.

- No jaką?

- Odpalisz mi trochę tego sprzętu od Łukasza, a ja odpuszczę ci dług z zakładu.

- Nie rozwalaj mnie! - wykpił propozycję Sebek.

- Jak wolisz. Drugi raz nie zaproponuję! - odparł Mario i schował się do środka.

Ostatecznie Sevilla pokonała Middlesbrough aż cztery do zera, a Mario nie omieszkał poinformować o tym fakcie rozgoryczonego Sebka. Tuż po zakończeniu meczu większość odbiorników zgasła. Miejsce odblasków zajął księżyc, który przeglądał się w szybach. Osiedle z wolna przestawiało się na swój nocny rytm. Światła mieszkań zatapiały się w mroku jak gasnące fajerwerki. Pojedynczy spacerowicze zaganiali swoje czworonogi do domu, jeszcze inni wychodzili na balkon na ostatniego przed snem papierosa. Majowa rzeźkość - ten łagodny, przejściowy stan pomiędzy surowością zimy a duchotą lata - sprawiała, że życie w blokach o tej porze roku było znośniejsze, a momentami wręcz dawało się lubić.

Tymczasem Dryblasa i Sebka ogarnęła ciężkość. Ich powieki z łatwością dały się uwieść tetrahydrokannabinolowi, słaniając się teraz w jego objęciach. Zmęczone ciągłym śmiechem wargi, zuchwy oraz

policzki obwisły jak piersi u starszej kobiety. Ich ciałami bujały fale wysokie i spiętrzone, z zaczesanymi na sztorc grzywami, na których próbowały surfować ich spragnione wrażeń myśli, za każdym razem jednak rozbijając się o brzegi zatoki. Takim niedoświadczonym surferom jak oni niezwykle trudno było wypłynąć na szerokie wody, utrzymać się na nich, a do tego zadbać o stabilną deskę, która powiodłaby ich jeszcze dalej. Za to z jakże lekkim sercem ulegali pokusie brodzenia po spokojnych i bezpiecznych, lecz otumaniająco niezmiennych wodach zatoki.

Gdy fale po raz kolejny wyrzuciły ich na brzeg, ujrzeli dwójkę mężczyzn idących chodnikiem wzdłuż bloku.

- Co to za kolesie? - spytał Sebek, ocknąwszy się z zamyślenia.

- Nie wiem. Nie czaję ich - odrzekł Dryblas. - Chyba nie stąd.

- Jacyś najebani.

- No.

Chód mężczyzn rzeczywiście mógł na to wskazywać. Szli trochę niepewnie, momentami odchylając się na różne strony, ale bynajmniej nie sprawiali wrażenia, jakby nie wiedzieli, dokąd idą. Zajęli całą szerokość chodnika i było pewne, że nie zamierzali komukolwiek schodzić z drogi.

- Co robimy? - spytał strwożonym głosem Sebek, choć teoretycznie to tamci, będąc spoza Bronowic, powinni byli się bać.

- Nic, stoimy - uspokajał Dryblas. - Tylko nie gap się na nich. Może się nie przyjebią.

- Dobra.

Pech chciał, że gdy mężczyźni przechodzili obok klatki, pod którą stali Dryblas z Sebkiem, jednemu z nich wypadła z ręki zapalniczka, którą bawił się, idąc. Mężczyźni zatrzymali się. Właściciel zapalniczki schylił się i podniósł ją z chodnika. Unosząc głowę, zobaczył przyglądającego mu się Sebka, który będąc pod silnym wpływem holenderskiego skuna, najwyraźniej zapomniał o jednym z podstawowych, niepisanych praw, jakie obowiązywały na Bronowicach. Prawo to mówiło, że nie należało patrzeć obcym ludziom w oczy, gdyż była to oznaka wrogości, a w najlepszym razie - przesadnego zainteresowania czyimiś sprawami.

- Co się patrzysz, frajerze? - rzucił mężczyzna z zapalniczką. - Wyjebać ci?

Słowa te niczym potężny cios wgniotły Sebka w ścianę bloku, o którą się opierał. Czuł się teraz jak zapędzony w narożnik bokser; doskonale wiedział bowiem, że gdy na Bronowicach usłyszało się coś takiego, to było już za późno na tłumaczenia, a jakakolwiek odpowiedź, lub jej brak, i tak zostałyby potraktowane jak afront.

- Nie - wydusił ciężko, spuszczaając głowę jak skarcony pies.

- To po chuj się gapisz?!

Dopiero teraz, gdy obaj mężczyźni zwróceni byli w kierunku chłopców, widać ich było w całej okazałości. Wystarczyło jedno spojrzenie, by ich wygląd, który nie bez powodu budził strach, na długo wrył się w pamięć. Właściciel zapalniczki miał na oko jakieś trzydzieści lat. Był średniego

wzrostu, ale rekompensował to sobie krępą, klockowatą sylwetką. Nie wiadomo, czy była ona efektem ciężkiej, wielomiesięcznej pracy na siłowni, czy anabolików, w każdym razie jego mięśnie wypychały białą, obcisłą koszulkę, tak jak obfity biust wypycha mocno zawiązany gorset. Jego głowa była łysa jak jałowa ziemia, zupełnie jakby nigdy przedtem nie rosły na niej włosy. W blasku latarni jej skóra lśniła łojem. Jednak najbardziej przykuwał uwagę wielki skorpion na jego szyi, tuż nad prawym barkiem. Tatuaż był świeży, z ostrymi, bijącymi po oczach konturami. Rany w większości już się zagoiły. Sądząc po porywczosci mężczyzny oraz po tym, jak nerwowo przebierał palcami, był albo naćpany, albo po prostu szukał zaczepki.

Drugi z mężczyzn był wyższy od swojego kompana, ale niewątpliwie młodszy i raczej drobnej budowy. Miał na sobie czarne dresy, sportowe buty oraz pasiastą polówkę jakiegoś mniej znanego klubu piłkarskiego. Przedramię jego lewej ręki znaczyły sznyty, ułożone równolegle względem siebie niczym linie w zeszyście. Widać miał je od dawna, bo ani nie próbował ich ukrywać, ani też przesadnie ich nie eksponował, co mogło sugerować, że były one dla niego tak naturalne jak owłosienie. Jednak to nie sznyty były najbardziej charakterystyczną cechą jego wyglądu. Bardziej niż cokolwiek innego przyciągało wzrok jego zimne, przeszywające spojrzenie, które rzucał na ludzi wedle uznania jak ajatollah fatwę.

- Uważaj, co mówisz, bo może ci się krzywda stać - powiedział Dryblas do mężczyzny z tatuażem, wprawiając

Sebka w osłupienie.

- Chyba nie wiesz, z kim rozmawiasz, małolat - odrzekł mężczyzna z tatuażem.

- Gównu mnie to obchodzi - nie przebierał w słowach Dryblas. - Nie będziesz obrażał mi tu ziomka na mojej ulicy.

W tym momencie mężczyzna z tatuażem dziarskim krokiem podszedł do Dryblasa i po chwili stanął z nim twarzą w twarz. Wszystko działo się bardzo szybko. Za szybko. Spojrzeli sobie głęboko w oczy jak Izraelczyk z Palestyńczykiem, jakby szukając w nich czegoś, co zdradzałoby słabe strony przeciwnika. Spojrzenia te były pełne buzującej wewnątrz nienawiści, gotowej rozlać się na nich, gdy tylko odkręci się korek.

- Wyjebać ci? - mężczyzna z tatuażem zadał Dryblasowi to samo pytanie, co chwilę wcześniej Sebkowi.

- Tylko spróbuj, lamusie - ten jednak wciąż nie dawał się zastraszyć, twardo odpowiadając na każdą zaczepkę.

Ta taktyka polegająca na postawieniu się znacznie silniejszemu od siebie przeciwnikowi okazała się błędna. Mężczyzna z tatuażem nie był bowiem gołosłowny i w tej samej sekundzie, w której Dryblas wypowiedział te słowa, uderzył go z główki tak mocno, że jego kość nosowa trzasnęła jak łamana gałąź. Krew zaczęła płynąć mu z nosa rzęsiście i gwałtownie jak lawina błotna, pochłaniając wszystko, co stało na jej drodze: usta, podbródek, szyję, koszulkę. Dryblas próbował tamować ją ręką, ale teraz już nic nie było w stanie jej zatrzymać.

- Ty skurwysynu zajebany! Złamałeś mi nos! -

wykrzyczał, z przerażeniem patrząc na zalewającą go krew.

- Na drugi raz, kurwa, nie sadź się tak - powiedział mężczyzna z tatuażem.

Nie zastanawiając się, Sebek nacisnął przycisk na domofonie. Sześćdziesiąt trzy. Jego mieszkanie.

- A ty co, kurwa, po starą dzwonisz? - spojrzał na niego mężczyzna z tatuażem, po czym odwrócił głowę w kierunku swojego kolegi i obaj zaczęli głośno się śmiać.

Korzystając z tej chwili nieuwagi, Sebek doskoczył do barczystego oprawcy i kopnął go wyprostowaną nogą najmocniej, jak umiał. Odrzucony tym silnym uderzeniem mężczyzna zahaczył o barierkę oddzielającą chodnik od trawnika i runął w krzaki. W tym samym momencie domofon wydał z siebie dźwięk oznajmiający otwarcie drzwi. Sebek złapał za klamkę i zaciągnął skołowanego Dryblasa do środka. Drzwi zdążyły zamknąć się tuż przed nosem rozwścieczonego mężczyzny ze sznytami, który rzucił się do ataku, widząc swojego kolegę lądującego w krzakach.

- Już nie żyjesz, frajerze! - pomstował, szarpiąc za klamkę.

Mężczyzna z tatuażem po chwili wygramolił się z krzaków i dołączył do kolegi. Kipiał ze złości. Na jego skroniach uwidoczniły się i zaczęły pulsować żyły. Jego mięśnie napięły się do tego stopnia, że mogły w każdej chwili rozpruć koszulkę i wyrzeć spod niej jak balon spod łąty w piłce, gdy puszczają szwy.

- Nie daruję skurwysynom! - zarzekał się.

Rozjuszeni mężczyźni zaczęli szturmować drzwi,

zasypując je kopniakami. Na szczęście dla Dryblasas i Sebka, którzy schronili się na półpiętrze między parterem a pierwszym, otwierały się one na zewnątrz, przez co niezmiernie trudno było je wyważyć.

- Dzwon po Lewego - wyszeptał Dryblas do Sebka.

Sebek jak uszczypnięty wyjął z kieszeni telefon i wystukał z pamięci numer do Lewego. Czekał na połączenie, przyglądał się Dryblasowi. Obaj wystraszyli się nie na żarty, ale to serce Sebka łomotało jak szalone. Sebek nigdy przedtem nie widział żadnego ze swoich kolegów w stanie, w jakim znajdował się teraz Dryblas. A trzeba przyznać, że ten wyglądał tragicznie. Co prawda jakimś cudem udawało mu się opanować jęczenie, ale ból był mimo to tak silny, że wyciskał łzy z jego źrenic jak wyciskarka sok ze świeżych pomarańczy. Ponadto krew cały czas przesiąkała mu przez koszulkę, którą zdjął z siebie i przyłożył do nosa.

- No co tam? - Lewy odebrał telefon.

- Zbieraj chłopaków, zadyma jest - Sebek krótko przedstawił sprawę.

- No co ty gadasz?! Gdzie?

- U mnie pod klatową.

- O w kurwę, a ilu ich jest?

- Dwóch. Ale jeden niezły kozak. Musicie tu szybko przyjść!

- Dojebali wam?

- Tak. Dryblas ma złamany nos.

- Dobra, będziemy za pięć minut.

- OK, to czekamy. Nara.

- No, nara.

Dokładnie cztery minuty upłynęły od momentu, gdy Sebek i Lewy zakończyli rozmowę. Rozsierdzeni mężczyźni wciąż nie potrafili dostać się do klatki, mimo że próbowali przeróżnych, czasem nawet bardzo zmyślnych metod. Trzeba też przyznać, że sąsiedzi cierpliwie znosili te nocne ekscesy i zadzwonili na policję dopiero po tym, jak mężczyzna ze sznytami wybił pięścią szybę w drzwiach. Tyle że policja, swoim zwyczajem, potrzebowała czasu, by obsłużyć zgłoszenie, i nie po raz pierwszy miało się okazać, że to ulica jest bardziej rychliwa w wymierzaniu sprawiedliwości. Gdyby oddać ją w jej ręce, połowa spraw w ogóle nie trafiałaby do sądów.

- Dobra, Łysy, spadamy. Nie ma co - stwierdził w końcu mężczyzna ze sznytami.

- No dobra, może i masz rację - niechętnie, ale przystał na to mężczyzna z tatuażem. - Ale ja i tak im, kurwa, nie daruję! - zaznaczył.

- No proste. Ale teraz lepiej spierdalajmy, bo społeczniki już na bank po psy zadzwoniły!

Mężczyzna z tatuażem chwilę się zastanowił.

- No dobra, chuj im w dupę. Dojedziemy ich kiedy indziej. Dawaj, zawijamy się!

Mężczyźni odwrócili się i żwawym krokiem przeszli spod klatki na ulicę przed blokiem. Już mieli ruszyć dalej, gdy spostrzegli, że z każdego z trzech kierunków, w które

potencjalnie mogli się oddalić, zmierzała do nich sprawiedliwość. Rozejrzeli się wokoło, jakby chcąc przeanalizować swoje możliwości. A te z każdą sekundą topniały niczym lód.

- Ty, Łysy, obczaj - odezwał się mężczyzna ze sznytami.
- Widzę, nie jestem ślepy.

Nie wiadomo, który z nich poczuł go pierwszy, ale tak jednym, jak i drugim zawładnął nagle ten wrodzony, instynktowny, najbardziej podstawowy ze wszystkich rodzajów strachu: strach przed fizycznym bólem. O ile ból zadany zniecka nie powoduje strachu, tak ból, który zbliża się do nas, jest nieuchronny i namacalny, sprawia, że boimy się podwójnie.

- Niech mnie tylko któryś spróbuje tknąć! - odgrażał się mężczyzna z tatuażem, ale po jego słowach dało się poznać, że wspomniany strach zdążył już opanować nie tylko jego struny głosowe, lecz także i ciało.

Jak wiadomo, sprawiedliwość przybiera różne formy. Tego wieczoru jej ucieleśnieniem było sześć osób idących w kierunku mężczyzn, po dwie z każdej strony. Część z nich miała w rękach kije i butelki - nieodzowne na Bronowicach oręza ulicznego zadośćuczynienia, decydujące o tym, kto miał rację, a kto był w głębokim błędzie.

- Spierdalamy? - spytał mężczyzna ze sznytami, w tym momencie balansujący już między dwoma światami - opanowania i paniki - które dzieli linia tak cienka, że człowiek rzadko kiedy orientuje się, że właśnie ją przekroczył.

- Chyba cię pojebało. Myślisz, że będę uciekać przed jakimiś gówniarzami? - odparł tamten.

Te dywagacje i tak nie wносиły niczego nowego do ich sytuacji, bo w tym momencie, nawet gdyby zdecydowali się na taki krok, nie mieli już dokąd uciekać.

Tymczasem sprawiedliwość, przekonana o swej słuszności, zacisnęła wokół nich swą pętlę. Jako pierwsza do mężczyzn podeszła dwójka kolegów Dryblasa i Sebka idąca od strony hotelu Polonia. Jednym z nich był Lewy.

- No i co teraz, cwaniaczku? - powiedział Lewy do mężczyzny z tatuażem. - Taki chojrak jesteś?

Mężczyzna z tatuażem popatrzył na niego lekceważąco.

- Myślisz, że się ciebie boję, bo masz butelkę po piwie? Kurwa, małolat, kto ci w ogóle piwo sprzedał?

- A wyjechać ci?

- Nie no, nie mogę. Czy wy, banda jebanych małolatów - mężczyzna rozejrzał się dookoła i ruchem ręki wskazał na pozostałych chłopców, którzy właśnie docierali na miejsce - naprawdę myślicie, że się was wystraszę?

- A chcesz się przekonać?

- Kurwa, gówniarzu, wypierdalaj stąd, bo jak cię zaraz jebnę!

To były ostatnie słowa, jakie wypowiedział, zanim Lewy rozbił mu butelkę na głowie. Mężczyzna padł nieprzytomny na chodnik. Niemal w tym samym momencie z klatki wybiegli Dryblas i Sebek, którzy obserwowali rozwój wydarzeń przez szybę na półpiętrze. Ten pierwszy przewiązał sobie koszulkę przez głowę, by zatamować krew

z nosa i jednocześnie mieć wolne obie ręce.

- Macie, kurwa, przejebane! - krzyczał mężczyzna ze sznytami, trzymając gardę w górze. Był otoczony. Właściwie nie miał nawet, jak się ruszyć.

- Co ty nie powiesz? - odparł Lewy z cynicznym uśmiechem na twarzy.

- No to zobaczymy! Ty wiesz, skąd ja jestem?! Za dwa dni zrobimy wam tu taki wjazd, że będziecie, kurwa, błagać o litość!

Całe towarzystwo wybuchło śmiechem, oprócz Lewego, który gestem rąk uspokajał kolegów jak herszt gotującą się do linczu bandę.

- Powiem ci tak - rzekł Lewy. - Chuj mnie obchodzi, kim i skąd jesteś. Jebie mi też, kogo tam znasz. Ale jak przeprosisz moich ziomków - wskazał na Dryblasa i Sebka - to może wyjdiesz stąd żywy.

Mężczyzna ze sznytami odrzucił propozycję, nawet jej nie przemyślał. Nie wiadomo, czy uniósł się w tym momencie honorem, który jakże często jest mylony z bezsensownym uporem, czy też po prostu w wyniku zbyt dużej dawki adrenaliny zatracił trzeźwość myślenia.

- Chyba śnisz! - wykrzyczał.

- Jak wolisz - westchnął Lewy.

Nagle jeden z chłopców stojących po prawej stronie mężczyzny uderzył go kijem w nogę tak mocno, że ten mimowolnie osunął się na kolana.

- Aaaa! - wydarł się mężczyzna. - Już nie żyjesz, ty kurwo zajebana!

Chwilę potem Lewy kopnął go w klatkę piersiową. Odrzucony tym uderzeniem mężczyzna upadł na plecy. Pozostali chłopcy obleźli go niczym mrówki jabłko i zaczęli zadawać ciosy. Jedni kopali go w głowę, twarz i brzuch, inni bili kijami po żebrach, rękach lub udach. Po kilkunastu sekundach męki mężczyzna przestał się bronić i tylko skamlał. Mimo to żaden z chłopców nie przestawał. Gdy człowiek leży bezbrinnie na ziemi, jest bity i kopany gdzie popadnie, to jego ciało i wnętrzości zmieniają się w ubijane ciasto. Z czasem napastnicy zaczynają czuć, że ciało ofiary staje się miększe, odkształca się, formuje. Ciosy zaczynają być amortyzowane, a ta początkowa, dzika, pierwotna przyjemność z zadawania bólu zaczyna ustępować wyrzutom sumienia. Napastnikowi wydaje się, że kopie nie człowieka, a materac. Nie bolą go stopy, nie słyszy chrzęstu kości ofiary, traci sens tego, co robi. Każdy normalny człowiek w takiej sytuacji odpuszcza. Tylko niepoczytalni pastwią się dalej.

- Dobra, starczy! - Lewy wydał komendę. - Spierdalamy!

Cała grupka wyrwała się z amoku i rzuciła do ucieczki. Lewy na koniec splunął na mężczyznę ze sznytami, który, podobnie jak jego kolega, w międzyczasie stracił przytomność.

- Nie ma, kurwa, wożenia się po Krańcowej! - wykrzyczał i dołączył do uciekających kolegów.

Po chwili na ulicy nie było już nikogo. Bronowice znów stały

się ciche, drzemiące, ale wciąż zmienne jak pogoda w górach. Zdolność tej dzielnicy do nagłych, niespodziewanych zmian, do zwrotów i przeobrażeń mogłaby zafascynować niejednego artystę. I tak jak artyści często flirtują z szaleństwem, by potem mieć większą świadomość tego, co jest prawdą, a co fikcją, tak i ona potrzebowała tego typu zdarzeń, by być sobą i zachować swój charakter.

maj 2005

Trzy dni po tamtych wydarzeniach pod tym samym blokiem, tyle że dwie klatki dalej, stali Dryblas, Sebek i Marcin. Pogoda była równie piękna, jak wtedy. Powietrze pachniało młodością liści, a czas płynął wolno niczym statek z porwanymi żaglami, dryfujący samotnie po oceanie. Mimo że zaczynało się ściemniać i słońce leniwie staczało się za horyzont, matki z wózkami wciąż przechadzały się alejkami, zaś ciut starsze od tych w wózkach dzieci harcowały wokół piaskownicy i drabinek. Na całej długości ulicy stały auta mieszkańców. Powiedzieć, że były zaparkowane, byłoby nadużyciem, bo były poupychane jak ciuchy w walizce, ściśnięte niczym ludzie w metrze w godzinach szczytu. O tej porze pod blokiem niezwykle trudno było znaleźć wolne miejsce. Spóźnialscy próbowali jeszcze wciskać się pomiędzy auta sąsiadów, w absurdalnie wąskie przesmyki, ale zniechęceni niepowodzeniami odjeżdżali, by spróbować szczęścia gdzie indziej.

- Jaki czas? - spytał Marcin.
- Siedemnasta dochodzi, a co? - odparł Dryblas.
- Nic, chyba będę spierdalać.

- No co ty, zostań jeszcze - namawiał go Sebek. - Co będziesz robić na kwadracie?

- Nie wiem, może trochę położę.

- Daj spokój, ciągle tylko łoisz.

Zaciągali się papierosami i patrzyli na osiedle. Codziennie mieli przed oczami te same widoki, te same podwórka, bloki, place zabaw, tych samych ludzi. Jedyne, co zmieniał się tu, to umiejscowienie ławek, na których przesiadywali i które przenosili z miejsca w miejsce w poszukiwaniu tego najciemniejszego, tak aby być jak najmniej widocznym dla policji. Takie gapienie się na osiedle było czasem nudniejsze niż patrzenie, jak schnie farba na suficie.

- A jak tam nos? - spytał Marcin Dryblasa.

- No dzisiaj już trochę lepiej.

- No to dobrze.

- No, ale dalej napierdala.

- Wiadomo, tak szybko nie minie. Ale trochę poboli i przestanie. Najważniejsze, że te skurwysyny dostały za swoje - przypomniał Marcin.

- Bez kitu - zgodził się Sebek.

Z klatki wyszła pani Kozłowska, sąsiadka Marcina. Parę lat temu w wypadku zginął jej mąż. To był dla niej ogromny szok. Od tamtej pory przyjęła wycofaną postawę. Unikała rozmów, często miewała huśtawki nastrojów albo reagowała w niezrozumiały i nieprzewidywalny dla sąsiadów sposób. Mimo to Marcin zawsze mówił jej dzień dobry. Kobieta odpowiedziała, ale jednoznacznym gestem, rozwiewając ręką

papierosowy dym, dała chłopcom do zrozumienia, że nie podobało jej się, że palili pod klatką.

- Ty, a co tam u Błatego? - zmienił temat Marcin. - Dawno go nie widziałem.

- To ty nie wiesz? - zdziwił się Dryblas.

- Czego nie wiem?

- Za dużo na konsoli łośi - ironizował Sebek.

- No jak to czego? Że go zawinęli.

Marcin był kompletnie zaskoczony. Nie doszły go słuchy o tym wydarzeniu. Zdał sobie sprawę, że chyba rzeczywiście ostatnio mało wychodził.

- Zawinęli go? Ale jak to? - nie dowierzał.

- No, normalnie.

- No co ty gadasz? Kiedy to się stało?

- Bo ja wiem, jakiś tydzień temu.

- Więcej będzie - precyzował Sebek.

- No dobra, może z dwa - poprawił się Dryblas.

- OK, ale za co go zawinęli?

Gdy tylko Dryblas z Sebką pomyśleli o powodzie aresztowania Błatego, nie mogli się powstrzymać i wymienili między sobą uśmiechy.

- No mów, kurwa. To wcale nie jest śmieszne!

Dryblas zaciągnął się papierosem, trzymając Marcina w niepewności jeszcze przez kilka kolejnych, ciągnących się niemiłosiernie sekund.

- Napadł z siekierą na kiosk - zdradził w końcu.

- Co?! - Marcin otworzył szeroko oczy. - Nie no, rozpierzdziłeś mnie w tym momencie! Powiedz, że sobie jaja

robisz. - spojrzał pytająco na Dryblasę.

- Nie robię - zaprzeczył tamten.

- Bez kitu. Wziął siekierę i napadł na kiosk - wszedł im w słowo Sebek.

- Na który?

- Ten u nas.

- Przy nocnym?

- No.

- Ja pierdolę - Marcin nie przestawał kręcić głową. - Co mu, kurwa, odjebało?

- Nie mam pojęcia - stwierdził Dryblas.

- No i co teraz?

- No i nic. Czeka na sprawę chłopaczyna.

- Kurwa, mam nadzieję, że zawiasy dostanie.

Dryblas z Sebką popatrzyli po sobie, ale tym razem bardziej poważnie, bo i śmiać się nie było już z czego.

- Nie liczyłbym na to - uciął spekulacje ten pierwszy.

- A czemu?

- Zawiasy? Z jego kartoteką? Przestań.

- A skąd wiesz? Może akurat dostanie?

- Nie ma szans. Baba z kiosku go rozpoznała. Poza tym złapali go raptem z pół godziny po całym zdarzeniu. Dojebią mu parę lat jak nic.

- Ale chujnia, ja pierdolę - westchnął Marcin.

Blady był jednym z jego bliskich kolegów. I choć ostatnio mieli ze sobą gorszy kontakt, to ta wiadomość naprawdę nim wstrząsnęła.

- Ja tam go tak dobrze nie znam - włączył się Sebek - ale

jak dla mnie, to było bardzo nierozsądne z jego strony. Jak można zasłonić sobie twarz koszulką, w której chwilę wcześniej przyszło się do kiosku po fajki, żeby wyczaić co i jak, wziąć siekierę i na ten kiosk napaść? Przecież to od razu wiadomo, że prędzej czy później cię złapią. Psy nie są aż tak głupie.

- Może po prostu potrzebował hajsu?

- Każdy potrzebuje hajsu, Marcin. Ja też potrzebuję hajsu. Ale jest przecież wiele innych sposobów, żeby go nakminić, nie?

- Na przykład jakie?

- Na przykład trochę baki pogonić czy coś.

- A może był w desperacji?

- To znaczy co?

- No, nie wiem, cokolwiek. Miał długi czy coś?

- Z tego, co wiem, to nie miał.

- A skąd ty możesz wiedzieć takie rzeczy? - w słowa Marcina zakradło się w tym momencie zdenerwowanie. - Co ty, kurwa, jego ojcem jesteś?

- Wyluzuj. Ja tylko mówię, co myślę - tłumaczył na spokojnie Sebek. - Poza tym, jak by miał długi, to chyba prędzej by powiedział ziomkowi niż staremu, nie? Ale generalnie nie o to chodzi.

- A o co?

- O to, że nie napada się z siekierą na kiosk, a już na pewno nie w tej samej koszulce, w której chwilę wcześniej przyszło się do niego. To zwykła głupota. Przecież wiadomo, że czegoś takiego ci psy nie odpuszczą.

- A skąd wiesz, że ty byś nie złapał za siekierę, jak byłbyś w desperacji?

- Bo wiem.

- Chuja tam wiesz! Ciekawe, co byś zrobił, jak by cię mieli do lasu wywieźć albo ci wjazd na chatę zrobić. Założę się, że kombinowałbyś flotę, jak tylko się da. Więc nie pierdol!

Marcin mówił tak dlatego, że sam miał długi, a ostatnio coraz trudniej było mu je spłacać. Musiał nawet zatrudnić się dorywczo na nocne zmiany w pobliskim supermarkecie przy rozładunku, bo ludzie, u których kupował towar, wciąż go nękali. Tylko na przestrzeni tego miesiąca kilka razy spuścili mu porządny łomot. Nie powiedział o tym jednak ani Dryblasowi, ani Sebkowi.

- Dobra, zmieńmy temat, bo widzę, że cię to wkurwia - zaproponował ten ostatni.

- Nie wkurwia mnie. Po prostu nie lubię takiego gadania.

- Jakiego gadania?

- Takiego, że oceniasz kogoś, a w ogóle go nie znasz!

- Kurwa, Marcin, ja nikogo nie oceniam. Powiedziałem tylko, że to głupota napadać na kiosk, bo są inne sposoby, żeby nakminić flotę - i tyle.

- Na przykład podpierdolić starym ze sklepu?

To była jasna, niezawołowana aluzja do Sebka i tego, że podkradał rodzicom pieniądze.

- No chociażby - ten jednak najwyraźniej nie wziął tego do siebie. - Albo, nie wiem, wyjechać za granicę. Cokolwiek, byleby nie wpierdalać się w takie bagno.

- Każdy robi to, co uważa za słuszne.
- No właśnie.
- No właśnie, więc nie powinno się nikogo oceniać.
- Ale Marcin, ja nikogo nie oceniam, zrozum. Sam mam swoje na sumieniu.
- Oj, masz - wtrącił żartobliwie Dryblas.
- No mam, i co z tego? Ale ja przynajmniej tego nie ukrywam.
- Bo nie masz już czego. I tak wszyscy wiedzą.
- A niech sobie tam wiedzą. Wali mi to - Sebek zaciągnął się papierosem, przerywając na chwilę swoją wypowiedź. - W każdym razie jak bym był na miejscu Bladego, założmy, że chłopak miał jednak ten nóż na gardle, to bym spierdolił za granicę. Zostawiłbym to wszystko w pizdu i po prostu wyjechał. Nikt by mnie tam nie szukał.

Marcin powtórzył sobie w myślach to ostatnie zdanie. Nie chciał póki co wyjawiać, że po wakacjach wyjeżdża do Anglii, że właściwie ma już wszystko zaplanowane i za niedługo opuści Bronowice na dobre, choć nie bez żalu i bardziej z konieczności aniżeli z wyboru.

Pół godziny później cała trójka nadal stała pod klatką. Stanie było dla nich swoistym rytuałem, który odprawiali codziennie zaraz po przyjsciu ze szkoły, niezależnie od pory roku czy pogody. Był to nieodzowny element osiedlowego życia, sposób zabicia czasu, ale też warunek bycia na bieżąco, pozostawania w obiegu, zachowania przynależności do

grupy. Dłuższe, nieusprawiedliwione nieobecności powodowały wykluczenie, odtrącenie, nieufność. Nawet jeśli grupa zgodziła się przyjąć cię z powrotem na swoje łono, to potrzebowała czasu, by na nowo przyzwyczać się do ciebie, podobnie jak żona czekająca latami na powrót męża potrzebuje czasu, by ponownie całkowicie mu się oddać, ze wszystkimi swoimi zaletami, ułomnościami, nawykami i tajemnicami, tak ciałem, jak i duchem.

- Muszę się odlać - oznajmił Dryblas.

- Spoko - odpowiedzieli koledzy.

Podczas gdy Dryblas szedł za potrzebą w stronę śmietnika, Marcin z Sebkiem męczyli na spółkę kolejnego papierosa, gapiąc się na osiedle. Oczy, które codziennie widzą ten sam obraz, bez trudu zarejestrują każdy detal, który nie wpisuje się w niego, który go burzy, zniekształca, który kłóci się z sąsiednimi elementami. Takim detalem był mężczyzna z rottweilerem, który wyłonił się zza winkła naprzeciwległego bloku, oddalonego o jakieś czterdzieści metrów od śmietnika, do którego szedł Dryblas.

- Ty, co to za koleś? - spytał Marcin, szturchając Sebka w ramię.

- Który?

- No ten, tam - skinieniem głowy wskazał na nieznanego.

Sebek strzepnął popiół i mrużąc oczy, przyjrzał się mężczyźnie, ale nie rozpoznał w nim nikogo, kogo znał.

- Nie wiem. Nie czaję go.

- No właśnie.

- Co właśnie?

- Że go nie czaisz.

- No i co z tego? Na Bronowicach jest w chuj osób, których nie czają.

- Ale ten jest jakiś dziwny.

- Czemu dziwny? Normalny kolo z psem.

- No nie wiem. Coś mi tu śmierdzi.

Sebek uśmiechnął się do niego nonszalancko.

- Czy ty przypadkiem nie zrobiłeś się za bardzo wydygany po tej ostatniej zadymie?

- Nie wydygany, tylko mówię ci, że coś jest nie tak.

Nieznajomy zatrzymał się w połowie drogi, wyciągnął z kieszeni telefon i zaczął wystukiwać na nim SMS-a. Groźnie wyglądające, dorodne psisko o czarnej jak noc sierści i cerberowskich ślepiach stanęło posłusznie przy nim.

- Widzisz tamtą klientkę?

- Którą? - odrzekł Sebek, rozglądając się.

- No tamtą, na drugim placu.

- No, widzę. I co?

- Obczaj, jak dziwnie się zachowuje.

Kobieta, o której mówił Marcin, stała na drugim z tutejszych placów zabaw, położonym nieco w głębi. Z tamtego miejsca dokładnie widziała, co działo się za winklem bloku, zza którego chwilę wcześniej wyszedł mężczyzna z rottweilerem.

- Ty, na co ona tak ziora?

- Nie wiem, chyba na blok.

- Na blok? A po co miałyby ziorać na blok?

- Nie mam pojęcia.

- Co może być ciekawego w bloku? - zastanawiał się Marcin.

- Nie wiem, chyba nic.

- Coś się kroi, mówię ci.

- Idziemy zobaczyć?

- Nie, czekaj.

W pewnym momencie kobieta zakryła usta dłonią w geście przerażenia, po czym wzięła swojego synka na ręce, drugą chwyciła za wózek i w pośpiechu zaczęła oddalać się spod piaskownicy. Nie pozbiierała nawet zabawek.

- Obczaj, co ona robi.

Marcin z Sebkim przez chwilę z uwagą przyglądali się kobiecie, wymieniając spostrzeżenia na temat jej dziwnego zachowania.

- Coś się kroi, mówię ci - powtarzał Marcin.

- Chyba masz rację - przyznał w końcu Sebek.

- Wołam Dryblasa.

Marcin wziął głęboki oddech i zawołał Dryblasa.

- Co jest?! - krzyknął tamten ze śmietnika.

- Wyłaż stamtąd!

- Czekaj, kurwa, strasznie mnie ciśnie!

Tymczasem nieznajomy nachylił się nad swoim psem i zaczął mówić mu coś do ucha. W reakcji na to psisko podniosło swoje cielsko z asfaltu, wyszczerzyło zęby i zaczęło warczeć.

- Dryblas! - zawołał ponownie Marcin.

- No zaraz, kurwa jego mać! Nie dadzą się człowiekowi

spokojnie odlać!

Po kilku sekundach Dryblas wyszedł ze śmietnika, stanął przed wejściem do niego i spojrzał na kolegów.

- Musicie, kurwa, taką oborę robić? - rzekł, zapinając pasek od spodni.

W tym momencie nieznajomy spuścił psa ze smyczy. Zwierzę wyrwało się do przodu jak koń spięty ostrogami. Po indoktrynacji ze strony swojego pana było gotowe zagryźć każdego, kto stanął na jego drodze. Pierwszy w kolejce był niestety Dryblas.

- Dryblas! - wrzasnął Marcin.

- No idę, idę, kurwa...

- Orient!

- Spierdalaj stamtąd! - wydarł się Sebek.

Dryblas popatrzył przez ramię jakby od niechcienia i zobaczył rottweilera gnającego wprost na niego jak gepard na niczego niepodejrzewającą gazelę. Gdyby zobaczył go, będąc jeszcze w śmietniku, najpewniej obsikałby sobie spodnie.

- O w kurwę... - powiedział sam do siebie, po czym rzucił się do ucieczki, nie dopiąwszy rozporka.

Jednocześnie zza wspomnianego winkła wybiegło kilkanaście osób. Wśród nich był także mężczyzna z tatuażem. Zabrakło natomiast jego kompana, mężczyzny ze sznytami, który najwyraźniej ucierpiał w ostatniej awanturze bardziej od niego. Grupa szybko wchłonęła właściciela psa niczym protestujący tłum maszerujący na parlament, tłum, do którego przyłączają się inni, aby powalczyć o wspólną

sprawę. W tym przypadku tą sprawą była zemsta. Powietrze zapachniało nią jak nadchodzącym deszczem, deszczem, którego nie zapowiadano w żadnej prognozie, takim, co to przychodzi nagle i niespodziewanie, spada gwałtownie, a jego zacinające krople chłostają ciało niezliczoną ilość razy.

- Szybciej, kurwa!

- Dawaj!

Sebek z Marcinem pokrzykiwali na Dryblasa, uciekającego co sił przed śliniącą się bestią. Pierwszy obgryzał z nerwów paznokcie, a drugi przytrzymał drzwi do klatki. Pies był już naprawdę blisko. Zdawało się, że jeszcze chwila i jego szczęki zatrzaskną się na nodze Dryblasa jak sidła.

- Trzymaj te drzwi, kurwa! - krzyczał w biegu Dryblas.

Zdążył dosłownie w ostatniej chwili. Gdyby Marcin z Sebką nie złapali za klamkę i nie przyciągnęli drzwi do siebie, samozamykacz spowolniłby je i psisko wśliznęłoby się do środka jak pirania do basenu pełnego turystów, a tak tylko rozbiło się o nie i zapiszczało.

- Ja pierdolę, co to za bydlę?!

- Kurwa, nie wiem!

- To te skurwysyny!

Ta mieszanina spanikowanych, nastoletnich głosów oraz psiego ujadania zaalarmowała sąsiadów, którzy zaczęli wyglądać przez judasze. Na szczęście dla chłopców drzwi do klatki otwierały się na zewnątrz, co dawało im niewątpliwą przewagę nad zwierzęciem. Przewaga ta była jednak bezużyteczna w odniesieniu do ludzi, a jeśli do tego

weźmiemy pod uwagę fakt, że w klatce Marcina nie było domofonu, tragedia wydawała się nieunikniona. Sąsiedzi z pewnością nie przypuszczali, gdy kilka lat temu jako jedyni w bloku nie zgodzili się na pokrycie kosztów montażu domofonu, że mógłby on przydać się w takiej chwili jak ta. Jeśli istnieje jedna definicja ironii, to w tym momencie ich strach oraz bezsilność w patrzeniu, jak grupa łobuzów z kijami biegnie do ich klatki, mogłyby spokojnie za nią posłużyć.

- Co robimy?!

- Spierdalamy do mnie! - rzucił Marcin, co w tej sytuacji było jedynym rozsądnym wyjściem.

Pobiegli schodami na górę. Serca waliły im jak po mocnej kawie. Pokonując po dwa stopnie naraz, szybko znaleźli się przed drzwiami do mieszkania Marcina.

- Zamknięte! - krzyknął Marcin, szarpnąwszy za klamkę jakby trochę zaskoczony.

- Ja pierdolę! Powiedz, że masz klucz! - błagał Dryblas.

- Mam! - powiedział, ale zaraz potem zawahał się. - Gdzieś miałem!

- Szybko!

- Czekaj! - Marcin gorączkowo macał się po kieszeniach, szukając klucza, co najmniej jakby otwierał on wrota do raju, azylu, jakiegoś świętego miejsca, gdzie nie dosięgnie ich żadne zło.

- Szybciej, kurwa, bo nas zajebią! - ponaglał Sebek, nerwowo przebierając rękami i nogami.

Miał powody. Została im tylko chwila. Jeśli ich strach dał

im takiego kopa, że w kilka sekund znaleźli się na drugim piętrze, to co dopiero furia ich prześladowców.

- No, dawaj, kurwa! Gdzie go masz?! - wychodził z siebie Dryblas, gotów sam wyłuskać klucz z kieszeni kolegi.

- Już, kurwa, czekaj!

Tymczasem na dole otworzyły się drzwi. Chłopcy zamarli. Trwało to około pół sekundy, może całą. Powietrze na klatce cofnęło się, jakby zassane przez płomień, który tylko czekał na taką pożywkę. Od tego momentu od ich prześladowców dzieliło ich zaledwie kilka uderzeń zegara.

- Jest! - zatryumfował Marcin, znalazłszy klucz.

Tumult wbiegających po schodach ludzi oraz stres zgodnie potrząsały jego dłonią trzymającą klucz. Mimo to zdołał trafić nim do dziurki i przekręcić. To nie była ani zręczność, ani zimna krew. To był zwykły fart; fart, o którym opowie kiedyś swoim dzieciom; fart, bez którego mógłby ich nigdy nie mieć.

- Otwieraj! - krzyknął Dryblas rozpaczliwie.

Gdy drzwi otworzyły się przed nimi, wbiegli do środka pojedynczo, choć gdyby były szersze, pewnie przekroczyliby próg niemal w jednej linii - jak sprinterzy na finiszu. Natychmiast zamknęli je za sobą, zasunęli zasuwę i z całej siły wsparli rękami. Następnie czekali w napięciu, wsłuchując się w piętrzącą się na klatce wrzawę.

- Już po nas - prorokował Sebek.

- Zamknij się, bo nas usłyszą - wyszeptał Marcin.

Wrzawa wspinała się po piętrach, a gdy osiągnęła swój punkt kulminacyjny - opadła. Wszystkie odgłosy, w tym

bluzgi i obijanie kijami o poręczce, rozpląnęły się w powietrzu i ulotniły przez pochylane na klatce lufciki.

- To tu? - spytał głos za drzwiami.

- Tak - odpowiedział mu inny.

- Jesteś pewien?

- Na sto procent.

Jeden z nich złapał za klamkę i spróbował otworzyć drzwi.

- Skurwysyny, zamknęli się od środka!

- Odsuń się, kurwa. Jedziemy z drzwiami!

W tym momencie mięśnie chłopców napięły się bardziej niż pupa dziecka przed zastrzykiem. Mimo to ich los zależał teraz w głównej mierze nie od mięśni, a od tych starych, rozklekotanych drzwi, które tak gorliwie przytrzymywali.

- Nie puszczajcie, choćby nie wiem co - Marcin poinstruował kolegów niczym generał dowodzący obroną reauty.

Pierwsza okazja do sprawdzenia wytrzymałości drzwi nadarzyła się już po chwili, kiedy to mężczyźni zaczęli na zmianę w nie kopać. Huk, jaki roznosił się w wyniku tych uderzeń na sterylnie cichej klatce, był podobny do tego towarzyszącego wystrzałom z dział. Wydawać by się mogło, że drzwi nie będą stawiać większego oporu. Ale te trzymały się mocno. Nie wiadomo, czy była to zasługa chłopców, czy też tego, że zahartowały je setki kopniaków, jakimi przez lata zasypywał je ojciec Marcina.

- Skurwysyny jebane! - zdierał gardło jeden z mężczyzn. - Wyłazić, bo was pozabijam!

Po tych słowach, po których nastąpiła jeszcze jedna, bezskuteczna seria kopnięć, na klatce słychać było tupanie. Ktoś wszedł z półpiętra po schodach. W chwilę później dało się rozróżnić już trzy głosy.

- Spróbuj tym - powiedział trzeci głos.

- Kijem? W drzwi? Po chuj?

- Nie w drzwi.

- A w co?

- W klamkę.

- W klamkę? A co ci to da?

Po drugiej stronie Marcin, Dryblas i Sebek zadawali sobie to samo pytanie, spoglądając na siebie nawzajem ze zdziwieniem.

- Nie wiem, zaraz zobaczymy - powiedział trzeci głos. - Odsuń się - po czym rąbnął kijem w klamkę tak, że ta obróciła się wokół własnej osi i odpadła.

- No i co ci to dało? - spytał retorycznie drugi głos.

- No to, kurwa, sam coś wymyśl, jak żeś taki mądry! - denerwował się pomysłodawca.

- Wyluzuj. Wiem, co zrobimy.

- Co?

- Pierdolniemy w te drzwi jednocześnie. Wtedy na pewno polecą.

- No dobra, to dawaj.

- To wasza ostatnia szansa! - powiedział do chłopców przez drzwi drugi głos. - Wyłazić, kurwa, albo lećcie z drzwiami!

Chłopcy milczeli jak zakłęci.

- Jak chcecie!

Zrobili krok do tyłu, by przygotować się do ostatecznego natarcia. Kto wie, jak by się to skończyło, gdyby ktoś z półpiętra nagle nie krzyknął „Psy!”. W jednej chwili znów podniósł się tumult, który wypełnił całą klatkę. Awanturnicy zaczęli prędko zbiegać po schodach, tak aby zdążyć wybiec z budynku, zanim policja odetnie im drogę. Z kolei sąsiedzi wytrzeszczali oczy przez judasze, by zapamiętać choćby fragmenty rysopisów ludzi, którzy w tak bezczelny sposób zmącili ich spokój.

Gdy na klatce zrobiło się cicho, Marcin powiedział Sebkowi, żeby poszedł do pokoju i dyskretnie wyjrzał przez okno. Sam zaś popatrzył przez judasza, by upewnić się, że nikt nie czaił się za drzwiami.

- Chyba spierdolili! Nikogo nie widzę! - zaraportował Sebek.

- A psy?! - krzyknął z przedpokoju Dryblas.

- Gdzieś biegną! Pewnie za nimi!

- No dobra, to chodź tutaj!

Sebek wrócił do kolegów.

- Poczekamy jeszcze chwilę. Nigdy nic nie wiadomo - powiedział Marcin.

- Dobra.

- Kurwa, ale było blisko, co?! Niezły fart! - podniecał się Sebek.

- To cię bawi? - zganił go Marcin.

- Nie... - speszył się tamten. - Tak mi się powiedziało...

- Nie ciesz się tak, bo następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia.

Wraz z upływającymi minutami z Marcina zaczęły powoli schodzić emocje, ustępując miejsca smutkowi. Kiedy pomyślał, że mógł w ten zwykły, majowy dzień stracić zdrowie lub, co gorsza, życie, i to we własnym domu, Bronowice po raz pierwszy jawiły mu się jako miejsce obce i nieprzyjazne, nie to, w którym się wychował i w którym czuł się bezpiecznie. Po raz pierwszy również uświadomił sobie, że decyzja o wyjeździe była jednak słuszna.

listopad 2006

W pijaństwie Zbyszka zawsze najgorsze były jego śmierdzące skarpety. Potrafił nosić jedną i tę samą parę nawet tydzień. Latem nasiąkały one potem, a zimą – śniegiem wdzierającym się do przechodzonych, rozklejonych butów. Zbyszek jednak uparcie odmawiał ich zmiany, twierdząc, że akurat nie miał żadnej świeżej pary albo że nie stać go było na proszek, choć tak naprawdę robił to na złość. Patrzenie, jak domownicy się męczą, jak pocą się w tej dość osobliwej saunie, w jaką zamieniał mieszkanie wszechobecny smród, zdawało się sprawiać mu radość. Bawiła go ich irytacja. Naprzykrzanie się im było jedną z ostatnich prymitywnych, chorych przyjemności, jakie w życiu miał. Jemu samemu smród nie przeszkadzał. Wiadomo, człowiek na ogół nie czuje smrodu, który sam wydziela, a przynajmniej nie tak, jak czują go inni.

W przypadku Zbyszka wystarczyło jedno pociągnięcie nosem, by wiedzieć, czy był w swoim pokoju. Aktualnie był, bo smród jego skarpet, który dla rodziny Stawickich był tak znajomy, jak dla kobiety znajomy jest zapach ciała jej mężczyzny, dało się wyczuć już na klatce. Mimo że w mieszkaniu pootwierane były wszystkie okna, to powiewy

powietrza nie neutralizowały go, a jedynie przenosiły z miejsca w miejsce jak wiatr radioaktywną chmurę. Zresztą takie wietrzenie nie mogło trwać wiecznie, ponieważ był już późny listopad i na dworze zrobiło się bardzo zimno. Koniec końców i tak było lepiej niż w lecie, kiedy to przy stojącym powietrzu w mieszkaniu nie sposób było wytrzymać.

Beata zmywała w kuchni naczynia – pod zimną wodą, jak to miała w zwyczaju. Nie zasłaniała nosa. Przywykła. Podśpiewywała sobie przy tym swoje ulubione przeboje Trojanowskiej, które puszczała sobie z kaset na starym Kasprzaku. Do niedawna słuchała radia, ale pewnego razu obejrzała na Vivie teledyski do kilku utworów z polskimi napisami i ją odrzuciło.

Było jej teraz trochę lżej, przynajmniej jeśli chodziło o obowiązki domowe. Odkąd Marcin wyjechał do Anglii, miała mniej zmywania, mniej prania, prasowania, mniej gotowania. Ale miała też jednego syna mniej, męża prawie wcale. Ostatnio coraz częściej zbierało się jej na płacz. Rozklejała się przy byle okazji. Rozpadała się na kawałki po jednej negatywnej myśli, po jednym złym przeczuciu. Coraz więcej paliła. Coraz mniej jadła. Coraz bardziej przeciągała proste, codzienne czynności, byleby choć na chwilę wyłączyć umysł, odciąć go od dręczących ją spraw, od życiowego bagna, w którym każdy jej ruch wciągał ją jeszcze głębiej pod powierzchnię. Mimo to zawsze potrafiła szybko pozbierać tę rozsypankę uczuć i nie dawała po sobie poznać, że już dawno nie zaznała w życiu szczęścia. Cierpiała w ciszy, wewnątrz, wieczorami bądź nocami. Cisza była

teraz jej jedyną przyjaciółką. Rozumiały się bez słów, bo tylko w ten sposób mogły ze sobą szczerze porozmawiać. Beata nie dzieliła się z nikim swoimi troskami, a sukcesy i porażki rozliczała wyłącznie przed własnym sumieniem. Nie chciała, by ktokolwiek pomagał jej nosić ten ciężki, emocjonalny bagaż, jaki wpychał jej do ręki Zbyszek. Na osiedlu mówili o niej „twarda kobieta”. Lubiała to słyszeć. Pochlebiało jej to. Podnosiło na duchu. Właściwie już chyba tylko to dawało jej siłę, by dalej ciągnąć ten wózek, który wciąż nazywała rodziną, choć coraz bardziej wątpiła, czy to aby na pewno trafne określenie.

- Synek, otwórz, proszę! - krzyknęła do Mateusza, usłyszawszy pukanie do drzwi.

- Idę! - odpowiedział Mateusz ze swojego pokoju, podniósłszy głowę znad kartki.

Ta i inne kartki od jakiegoś czasu towarzyszyły mu na każdym kroku. Miał je zawsze przy sobie, często w nadmiarze. Walały mu się w plecaku albo gniotły w kieszeniach. Czasem któraś z nich pozostawiona w spodniach wyprała się w pralce. Nosił ze sobą także wysłużony, króciutki ołówek, który specjalnie trzymał w paczce papierosów, bo tych nigdy nie zapominał zabrać z domu. A wszystko przez to, że odkrył w sobie pewną umiejętność. Nie wiedział, jak to możliwe, i prawdę mówiąc, trochę wstydził się tego, ale okazało się, że potrafił pisać wiersze. Pisał je bez opamiętania - na przystankach,

w autobusach, na wykładach, w kolejkach do kas. Mniej lub bardziej składne wersy lądowały wszędzie tam, gdzie dało się je zapisać. Nie uważał się za poetę. Po prostu uzależnił się od ulgi, jaką dawało mu pisanie. Przelewanie myśli na papier było dla niego czymś na wzór spuszczenia powietrza z napęczniałego balona. Im bardziej zagłębiał się w tę gęstwinę myśli, tym ciaśniej ta oplatała go i tym mniej wiedział, którądy zawrócić. Ale nie potrafił przestać. Robił to tylko dla siebie. Nie potrzebował rozgłosu. Nie szukał wydawcy. Dlaczego? Bo w chwilach umysłowej trzeźwości, gdy na spokojnie przeglądał zapisane kartki, sam nie wiedział, co to wszystko miało znaczyć - a co dopiero inni, co dopiero osiedle.

W momencie, gdy matka zawołała go, by otworzył drzwi, właśnie skończył kolejny wiersz. Ten był sto dwunasty:

Nakreślić te istoty żywe
niechciane niczym podrzucone cyganiątko
skłonić się siewcy furii
który za nimi stoi

Gotów bądź gdy nadejdę
krocząc z huraganami
gotów bądź gdy płucom podpowiem
że trzeba oddychać

Spotkanie wzrokiem którego nie przegrasz
przestwór wiatru w który nie wpadniesz

krocę lekko jak w baletkach
z diabłami moich oczu

Gotów bądź gdy nadejdę
krocząc z huraganami
gotów bądź gdy płucom podpowiem
że trzeba oddychać

W majestacie woli
adept wietrznych sztuk
i ostatni pucz jego nieziszczalny
bo nieba nie ma - są huragany

Gotów bądź gdy nadejdę
krocząc z huraganami
gotów bądź gdy płucom podpowiem
że trzeba oddychać

Podszedł do drzwi i popatrzył przez judasza. Na klatce stał niski mężczyzna z zaczesanymi do tyłu rudymi włosami, około pięćdziesiątki. Nieznajomy. Ubrany był schludnie, nawet można by rzec - elegancko. Miał na sobie czarne mokasyny, spodnie pod kolor i modny płaszcz, spod którego wystawała koszula z kołnierzykiem. W ręku trzymał kwiaty. Piękny, duży bukiet. Gustownie przystrojony. Prawdopodobnie drogi. Pod jego wrażeniem musiała być też sąsiadka z góry, która właśnie wchodziła po schodach i bez większego skrępowania, za to z ogromną ciekawością,

odwracała głowę w kierunku nieznanego.

Mateusz odsunął zasuwę. Wyrobił w sobie nawyk jej zasuwania po tamtym feralnym dniu, kiedy to banda oprychów goniących za jego młodszym bratem omal nie wtargnęła mu do domu. Nowe przyzwyczajenia przychodziły mu z łatwością. Wierzył, że życie składa się w dużej mierze właśnie z nawyków – zarówno tych dobrych, jak i tych złych – a nieszablonowość szkodzi. Powoduje, że człowiek się gubi; staje się jakby rozdarty między tym, co chce, a tym, co może. Uważał, że wyrobienie w sobie odpowiednich nawyków pozwala nie tyle „osiągnąć” sukces, co zbudować go samemu, od podstaw, konsekwentnie i bez ryzyka. Nieszablonowość to domena ryzykantów, do których on nie należał; ludzi, którzy jednym ruchem chcą postawić okazałą budowlę, zapominając o fundamentach.

- Dzień dobry – powiedział nieznanomy, gdy tylko Mateusz otworzył przed nim drzwi.

- Dzień dobry – odpowiedział Mateusz, zastanawiając się, kim był ów mężczyzna.

- Tadeusz Chmielewski – przedstawił się tamten, wyciągając rękę, by się przywitać.

To nazwisko. Jego dźwięk, barwa, ton. Wielosylabowe, bardzo męskie. W ustach człowieka, który je nosił, było o wiele silniejsze, niż gdy wypowiadał je ojciec. Nabierało konkretnego znaczenia. Miało swoją ekspresję, swój własny, wyrazisty styl. Każda jego sylaba po kolei przebijała mu bębenki. CHMIE-LEW-SKI. I niby je znał. Nawet bardziej niż nazwiska swoich kolegów czy sąsiadów. Ale dotąd było ono

jedynie wyobrażeniem. Od dziś miało swą postać.

- Czy zastałem może mamę? - spytał mężczyzna, widząc rozkojarzenie Mateusza.

- Mamę? - plątał się Mateusz.

- Tak - potwierdził mężczyzna, choć już nie z taką samą dozą pewności, z jaką tu przyszedł. - Domyślam się, że Beata Stawicka to twoja mama, prawda? - upewniał się jeszcze, bo kompletnie zaskoczona mina Mateusza nieco zbiła go z tropu, mimo że przed przyjściem sprawdzał adres trzy razy.

- Tak, tak, proszę wejść - wyjąkał Mateusz.

- Dziękuję.

Mężczyzna wszedł do środka i stanął w przedpokoju. Pochylił się, żeby ściągnąć buty, ale Mateusz odwiódł go od tego zamiaru.

- Nie, nie, proszę nie ściągać.

Wystarczyła chwila, by mocny zapach perfum mężczyzny zmieszał się ze smrodem skarpet Zbyszka tak bardzo, że trudno było jednoznacznie stwierdzić, co było pachnące, a co śmierdzące. Mężczyzna też zdawał się to czuć, ale grzeczność nie pozwalała mu tego skomentować.

- Mamo! - krzyknął Mateusz w stronę kuchni. - Do ciebie!

Szum wody w kuchni nagle ustał. Przez chwilę słychać było jeszcze dźwięk naczyń obijających się o siebie nawzajem i o zlew. Kilka sekund później Beata pojawiła się w przedpokoju, trzymając w ręku szmatę.

- Tadeusz? - powiedziała w ciężkim szoku, choć czy było to pytanie, czy raczej stwierdzenie, wiedziała chyba tylko jej

dusza.

- Witaj - powiedział mężczyzna ze szczerym, sympatycznym uśmiechem, takim, co to nie domalowuje się go sztucznie w różnych sytuacjach społeczno-towarzyskich, tylko co wypływa prosto z serca.

- Mój Boże, Tadeusz! Co ty tu robisz?

Tadeusz. To słowo w myślach Mateusza, który przyglądał się rozmówcom z dyskretną ciekawością, brzmiało tak niepokojąco dziwnie, że na pewno nie przeszłoby mu przez gardło, a sam jego dźwięk wywoływał u niego dreszcze.

- Byłem w okolicy. Pomyślałem, że cię odwiedzę.

- To miłe z twojej strony. Kurczę, nic się nie zmieniłeś! Szmat czasu!

Matka była tak podekscytowana, że najchętniej rzuciłaby mu się w objęcia. Ale po tylu latach zwyczajnie nie wypadało, mimo że Tadek przyjąłby ją z otwartymi ramionami, tak jak Chrystus Zbawiciel każdego ranka przyjmuje w objęcia Rio de Janeiro.

- To może ja zostawię was samych? Muszę jeszcze zrobić parę rzeczy, a wy pewnie macie sobie sporo do opowiedzenia - zaproponował Mateusz.

- Dobrze, synek - uśmiechnęła się do niego matka.

Dawno nie widział u niej takiego uśmiechu. Była to najczystsza, wręcz poetycka forma radości, rozświeclającej najciemniejsze zakamarki zgnębionej duszy. Idealna do sto trzynastego wiersza.

- Kawy? Herbaty? - spytała nieoczekiwanego gościa.

- Kawę poproszę, jeśli to nie kłopot.

- Kłopot? Nie żartuj!

Podczas gdy Mateusz zniknął w swoim pokoju, Tadeusz spojrział na drzwi od pokoju Zbyszka, jakby zakładając, że właśnie tam ugości go z dawna niewidziana przyjaciółka.

- Chodź, zapraszam do kuchni. Tam niestety mamy mały remont - wskazała na pokój męża.

Nie po raz pierwszy zaryzykowała na całego. I choć otwarcie skłamała, to jednak nie do końca minęła się z prawdą, bo „remont” w tamtym pokoju trwał już przeszło dziewięć lat. W tym czasie Zbyszek zdążył wynieść zeń wszystko, co przedstawiało i co nie przedstawiało wartości. W środku pozostały gołe ściany i to w dosłownym tego słowa znaczeniu, bo bez gniazdek elektrycznych, a jedynym meblem była kanapa, na której spał. Pustka i echo wzmagaly chrapanie i inne dźwięki, jakie z siebie wydawał. Ale dziś nie chrapał. Nie dlatego, że wspaniałomyślnie pozwolił żonie ten jeden raz nacieszyć się gościem w domu i nie najeść się przy tym wstydu, ale dlatego, że od tygodnia był w największym cugu swojego życia. Ocierał się o śmierć. Sikał i wymiotował pod siebie. Nie jadł ani nie wstawał z łóżka. Jedynym ruchem, jaki wykonywał, było sięganie po butelki, które stały na podłodze. Pokonywał właśnie ostatni odcinek drogi, na której końcu była brama do wieczności. I na tym etapie było mu naprawdę obojętne, czy na szyldzie ujrzy napis „NIEBO”, czy „PIEKŁO” i, czy w ogóle będzie w stanie go rozczytać.

- Jasne - odparł Tadeusz w odpowiedzi na zaproszenie Beaty. - Ładne mieszkanie - rozejrzał się.

- A dziękuję - skinęła głową gospodyni, uśmiechając się.

Smutny i pogrążony w myślach Mateusz leżał na kanapie w swoim pokoju. Nie co dzień człowiek dowiaduje się, kto jest jego prawdziwym ojcem. Jedno było pewne: w jego przypadku na pewno nie był nim Tadeusz Chmielewski. Rudy, niewysoki, o zupełnie innych rysach twarzy. Takie rzeczy w przyrodzie po prostu się nie zdarzają. Jednak kamień, który spadł mu z serca, gdy to sobie uzmysłowił, za chwilę znowu mu na nim zaciążył, gdy tylko przypomniał sobie, że przecież z mężczyzną, który od tygodnia leżał w sąsiednim pokoju i ocierał się o śmierć, nie łączyło go nic poza nienawiścią. Niczym stado nosorożców przez jego myśli kolejno zaczęły przewalać się wszystkie złe momenty, które były ich wspólnym udziałem. Bójki, wyzwiska, noże, życzenia śmierci. Wzajemna niechęć załęgła się tak głęboko, że ich relacja przypominała już bardziej tę śmiertelnych wrogów niż ojca i syna. Ale coś w środku podpowiadało mu, że wizyta Chmielewskiego wszystko zmieniała. Wydawało mu się, jakby ojciec na nowo go spłodził, a on na nowo mu się urodził. Na pewno nie było jeszcze za późno, by wszystko odwrócić, wszystko zmienić.

REDAKCJA: Anna Wilkowska
KOREKTA: Dorota Rybak
OKŁADKA: drudesign.pl
FOTOGRAFIA NA OKŁADCE: Foton Studio
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

© Kamil Cywka i Novae Res s.c. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-7942-617-1

NOVAE RES - WYDAWNICTWO INNOWACYJNE
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

